



REŻIM SANITARNY KONTRA WOLNOŚĆ

**Walka z COVID-19: co nie ma sensu,
a co ma sens – ocenia Wojciech Cejrowski**

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 44/397 26 PAŹDZIERNIKA–1 LISTOPADA 2020

**Prezydent Andrzej Duda
– jak blisko, jak daleko od PiS**

DODATEK SPECJALNY:

**NIEMIECKA
MACHINA
PROPAGANDY
HISTORYCZNEJ
W AKCJI**

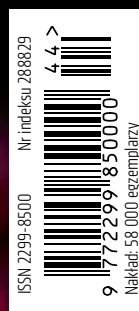


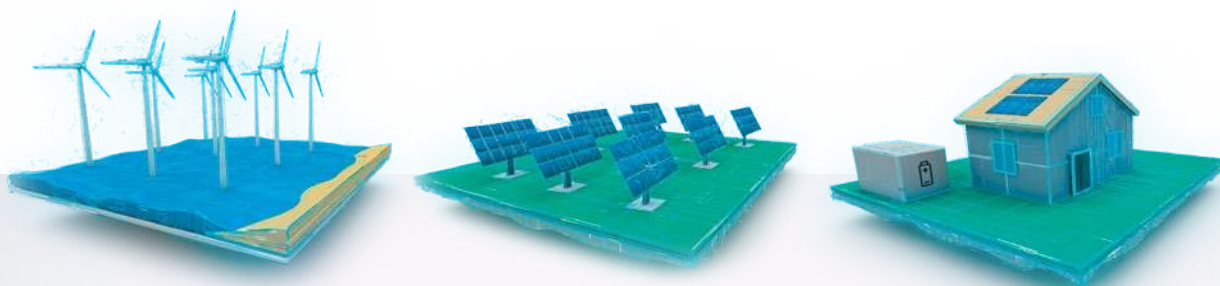
**Krzysztof Masłoń żegna
Wojciecha Pszoniaka**



INFILTRACJA?

**Ks. prof. Dariusz Oko i Taylor R. Marshall
o przyczynach kryzysu w Kościele**





#PGE2050

to neutralność klimatyczna
oraz 100 proc. zielonej energii dla Klientów



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Bunt wsi?

W cieniu walki z pandemią toczy się inna, nie mniej ważna rozgrywka – o polską wieś. Tyle że o ile tej pierwszej sprawie media poświęcają bardzo dużo uwagi – publiczne: chwaląc wysiłki podejmowane przez rząd, liberalne: pomstując na nieudolność – o tyle o kwestii rolniczych protestów przeciw tzw. piątce dla zwierząt informują znacznie mniej bądź w ogóle. A przecież, niezależnie od tego, jak się je ocenia, jest to największa od lat, być może w ogóle największa po 1989 r. w Polsce seria demonstracji, blokad i marszów chłopskich przeciw władzom. Sznury traktorów blokujące drogi dojazdowe do miast, kilkadziesiąt tysięcy (niektórzy utrzymują, że ponad 100 tys.) demonstrantów w Warszawie – to musi robić wrażenie. Tym bardziej że jeszcze kilka tygodni temu nic nie wskazywało na to, że do oporu przeciw rządowym pomysłom dojdzie na taką skalę.

Jaki będzie ich efekt? Według niektórych komentatorów nic wielkiego się nie stanie: ustawa w formie z niewielkimi poprawkami zostanie przyjęta i PiS osiągnie

swoje. Rolnicy nieco się poburzą, ale ostatecznie i tak nie mają wyboru – po kilku miesiącach chłodna kalkulacja spowoduje, że władze odzyskają poparcie.

Mało to jednak prawdopodobne. Gdyby ta teza była prawdziwa, protesty nie miałyby ani takiej skali, ani takiej trwałości. Co więcej, można sądzić, że rządowi udało by się podzielić protestujących: na właścicieli farm ze zwierzętami futerkowymi, hodowców bydła i drobiu. Na razie jednak ta strategia nie wypaliła. Przeciwnie: mimo pewnych ustępstw premiera przeciw rolników nie zmalął. Być może zatem rację mają ci znawcy, którzy twierdzą, że ogłaszając „piątkę dla zwierząt”, PiS stracił wieś?

Wiele przemawia za tą interpretacją. Po pierwsze, jak wiadomo, przed przedstawieniem projektu nowego prawa jego twórcy w ogóle nie konsultowali się z... rolnikami. Projekt został przygotowany też, jeśli wierzyć słowom Jana Krzysztofa Ardanowskiego, bez wiedzy byłego już ministra. Nie przygotowano żadnej kalkulacji kosztów, nie sprawdzono efektów gospodarczych i społecznych. Po drugie, w uzasadnieniu do ustawy, a także podczas dyskusji nad nią, zwolennicy zmian posługiwali się językiem ideologicznym i moralnym, odsadzając sceptyków od czci i wiary. Gdyby wziąć za dobrą monetę wypowiedzi niektórych przedstawicieli władzy, wyszłoby na to, że polscy rolnicy – do tej pory jedna z najbardziej prężnie nastawionych grup elektoratu – to ludzie bez serca, moralnie niegodziwi, a znacząca ich grupa to chciwi okrutnicy, maltretujący z sadystyczną pasją zwierzęta. Sądzę, że to właśnie te słowa są prawdziwą przyczyną tak masowego protestu: nie dość, że znaczącą grupę rolników pozbawiono prawa do normalnie wykonywanej pracy, bez

liczenia się z kosztami społecznymi, to jeszcze ją potępiono. Nic tak nie boli jak poniżona godność.

Po trzecie, mimo wszelkich możliwych prób wyjaśnienia nie sposób pojąć, czemu wprowadzane zmiany miały służyć. Wszelkie analizy, które mówią, że w ten sposób PiS próbuje pozyskać młodych mieszkańców wielkich miast, uważam za wtórne racjonalizacje. Raczej, i to jest zapewne dla protestujących najbardziej bolesne i dotkliwe, stali się oni ofiarą fanaberii. Okazało się, że dla rządzących „dobrostan zwierząt” (cokolwiek by się kryło pod tym określeniem) jest ważniejszy niż dobrostan tysięcy ludzi. A to, jako żywo, może wynikać wyłącznie z ideologicznego uprzedzenia i kłóci się z całą wcześniejszą, pravicową retoryką władz. Rolnicy mieli prawo poczuć się oszukani. Przedstawiciele władzy nie podjęli z nimi żadnego prawdziwego dialogu, a jedynym argumentem był argument siły wyrażony w prostym przesłaniu: „My wiemy lepiej niż wy, co jest w waszym interesie”.

Po czwarte wreszcie, nic dziwnego, że za projektem tym głosowała zgodnie duża część najbardziej totalnej opozycji, doskonale wyczuwając, że przyjęcie ustawy uderzy w poparcie dla nienawidzonego PiS na prowincji. Jedynym prawdziwym wygrany awantury o „piątkę dla zwierząt” może być, sądzę, Konfederacja, która skutecznie występuje w roli obrońców polskich rolników.

Jeśli wziąć to pod uwagę, to trudno nie uznać, przynajmniej z politycznego punktu widzenia, że ustawa może być klasycznym przykładem seppuku lub, mówiąc bardziej po polsku, strzałem we własne kolano. To całkiem prawdopodobne. Koszty tego mogą być zatem duże – tym większe, im bardziej uparczywie PiS będzie przy nowych przepisach obstawał. ©©

RYСУNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

22 PAWEŁ LISICKI

UDERZENIE OD ŚRODKA

Książka o infiltracji Kościoła

26 ROZMOWA Z KS. PROF. DARIUSZEM OKO

TO PRZED WSZYSTKIM GEJE SĄ AGRESORAMI W KOŚCIELE



KRAJ

30 KAMILA BARANOWSKA

TAJNY PLAN DUDY?

Relacje pałacu prezydenckiego z Nowogrodzką

34 ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM HORBANEM

SZPITALA POŁOWE SĄ NA TRZECI ETAP EPIDEMII

36 ROZMOWA Z DR. PAWŁEM BASIUKIEWICZEM

ZREZYGNUJMY Z KWARANTANNY

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

LECZENIE PRZESZYBĘ

40 CEZARY GMYZ

JAK PŁYNĘŁY PIENIĄDZE

42 PIOTR SEMKA

BATALIA O MUZEUM

KULTURA

44 KRZYSZTOF MASŁOŃ

WYTRAWNY SMAKOSZ ŻYCIA

Wojciech Pszoniak 1942–2020



NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 2

55

NIEMIECKA POLITYKA HISTORYCZNA – ODPOWIEDZIALNOŚĆ POD ZNAKIEM ZAPYTANIA



OPINIE

72 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

ALGORYTMY TRYBALIZACJI

Niczym Tutsi i Hutu



74 PAWEŁ CHMIELEWSKI

KOŚCIELNA REWOLUCJA

76 BARBARA NOWAK

ZOSTAWILIŚMY ICH SAMYCH

HISTORIA

80 ROZMOWA

Z KRZYSZTOFEM
SZUJECKIM

BIAŁO-CZERWONE

Pierwsze polskie
sportsmenki



ŚWIAT

84 OLIVIER BAULT

FRANCUSKA DZIWNA WOJNA Z ISLAMIZMEM

Emmanuel Macron wreszcie
zauważył problem?

EKONOMIA

90 ŁUKASZ WARZECHA

ATOMOWA ZAGADKA

Skąd weźmiemy energię?

92 JACEK PRZYBYLSKI

RAJ DLA NURKÓW

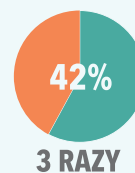


FELIETONY: JUREK (8), SEMKA, ZIEMKIEWICZ (10), KOWALCZUK (12), GMYZ, GOCIEK (20), ZYCHOWICZ, KOPER (82), PRZYBYLSKI (88), GABRYEL, WARZECHA (94), KOMUDA (100), ZALEWSKI, MAKOWSKI (104), SIEDLECKA (105), CEJROWSKI (106)

JAK POWSTRZYMAĆ ROTAWIRUSY?

- najważniejsze informacje:

PRAWDOPODOBIENSTWO WYSTĄPIENIA ZAKAŻENIA ROTAWIRUSEM U DZIECKA DO 5. ROKU ŻYCIA¹:



GŁÓWNE OBJAWY CHOROBY²:



Wymioty (często gwałtowne) – trwające ok. 2 dni,



Wodnista biegunka – trwająca 4-8 dni,



Gorączka do 40° C.

DROGI ZARAŻENIA² – poprzez kontakt z:



osobą zakażoną (dzieckiem lub dorosłym)



osobą, która przenosi wirusy na rękach



przedmiotem zanieczyszczonym wirusami

POWYŻSZE OBJAWY CZĘSTO PROWADZĄ DO ODWODNIENIA³.

W EFEKcie:

2 NA 5 DZIECI WYMAGA KONSULTACJI LEKARSKIEJ¹
1 NA 20 WYMAGA POBYTU W SZPITALU¹



ROTAWIRUSAMI ŁATWO SIĘ ZAKAŻIĆ, BO:



występują powszechnie – zakażeniu ulega ok. **95% dzieci do 5. roku życia**³



do zakażenia dochodzi po **20 min** kontaktu z wirusem¹

wystarczy **10 cząsteczek** wirusa



trudno je zabić środkami dezynfekcyjnymi, **mogą długo przetrwać na powierzchniach**⁴:



na rękach ponad **4 godz.**



na zabawkach do **10 dni**



ZACHOROWALNOŚĆ WŚRÓD DOMOWNIKÓW¹:



1 OSOBA
z chorobą
rotawirusową



choruje **1 na 2** dzieci



choruje **1 na 3** osoby dorosłe
(WYMAGAJĄ ŚREDNIO **3,5 DNIA**
ZWOLNIENIA Z PRACY⁵)

SPOSOBY ZAPOBIEGANIA BIEGUNCE ROTAWIRUSOWEJ²:

NIESKUTECZNE²:

mycie rąk, karmienie dziecka piersią,
unikanie kontaktu z chorymi.



SKUTECZNE³: SZCZEPIENIE OCHRONNE

90-100% dzieci jest chroniona przed ciężką
biegunką rotawirusową i hospitalizacją.

70-90% dzieci wcale nie zachoruje.



Materiał powstał w ramach kampanii informacyjnej „Powstrzymaj rotawirusy”

1. Szymański H., Chmielewska A., Szajewska H., „Powikłania zakażenia rotawirusowego – przegląd piśmiennictwa”, w: Standardy Medyczne/Pediatrica, nr 3, tom 14, 2017,
2. Red. Chybicka A., Dobrzańska A., Szczapa J., Wysoki J., „Pierwsze 2 lata życia dziecka. Przewodnik dla rodziców. Jak dbać o rozwój, pielęgnować i zapobiegać chorobom”, Medycyna Praktyczna, 2012,
3. Jackowska T., Kowalska-Kuassi D., Oldak E., Wysocki J., „Zakażenia rotawirusowe – aktualne zalecenia i propozycje dotyczące zapobiegania w: Pediatrica Polska, tom 89, nr 3, maj-czerwiec 2014,
4. Mrukowicz J., Szajewska H., Vesikari T., Options for the Prevention of Rotavirus Disease Other Than Vaccination, w: Journal of Pediatric Gastroenterology and Nutrition,
5. Szczepienia przeciwko rotawirusom w pytaniach i odpowiedziach, Medycyna praktyczna – Szczepienia, wydanie specjalne 1/2015,

Szczepienie, podobnie jak podanie leku, może wiązać się z wystąpieniem działań niepożądanych. Wszystkie działania niepożądane produktów leczniczych należy zgłaszać do Departamentu Monitorowania Niepożądanych Działań Produktów Leczniczych Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych, Al. Jerozolimskie 181C, 02-222 Warszawa, tel. (22) 492-13-01, fax (22) 492-13-09, zgodnie z zasadami monitorowania bezpieczeństwa produktów leczniczych. Formularz zgłoszenia niepożądanego działania produktu leczniczego dostępny jest na stronie Urzędu www.urpl.gov.pl lub Podmiotu Odpowiedzialnego za produkt, którego zgłoszenie dotyczy. Treści zamieszczone w materiale mają wyłącznie charakter informacyjny, nie mogą być traktowane jako forma konsultacji medycznej i nie mogą zastąpić konsultacji lekarza, do którego należy ostateczna decyzja o sposobie i zakresie stosowanego leczenia.

Drodzy Czytelnicy,

Zapraszamy do dyskusji. Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Instrukcja obsługi ogórka”, Joanna Bojańczyk, „DRZ” 40/2020

Pani Joanna Bojańczyk opisuje, jakie nam grożą bezsensowne etykiety na żywności sprzedawanej w sklepach.

Założę się, że NIE będą zawierały najważniejszej wiadomości: KIEDY zerwane (z krzaka, drzewka czy innej rośliny).

To jest najpoważniejsze zastrzeżenie, jakie mam do dzisiejszych praktyk; pomidory czy gruszki zerwane wiosną spędzają miesiące w dojrzwalniach niczym jakieś banany. Tęsknię do dawnych czasów, gdy klapsy dojrzewały na drzewie do 15 sierpnia, po czym ostrożnie zerwane wprost do skrzynek wyłożonych wiórami jechały w tychże skrzynkach wprost do sklepu w Warszawie!

Ciekawe, że takiego luksusu nikt nie oferuje – widać nieoptycalny. Chociaż

więc dowiedzmy się przynajmniej, kiedy zerwane.

Z poważaniem
Jan Stecki

Od autorki

W supermarketach nie można liczyć na świeżo zebrane owoce i warzywa. Ale na lokalnych targach – tak. Tam można poznać, który sprzedawca ma towar z własnego gospodarstwa, a który z hurtowni. W Internecie jest też sporo lokalnych inicjatyw oferujących dostawę do domu – tu też można się dowiedzieć, skąd pochodzą produkty i kiedy je zebrać. Niestety chłodnia jest nieunikniona, jeśli chcemy jeść jabłka w lutym...

Joanna Bojańczyk

„Tak dla rodziny, nie dla gender”

Szanowna Redakcjo, gratuluję inicjatywy zamieszczenia w tygodniku „Do Rzeczy” karty do zbierania podpisów poparcia dla obywatelskiego projektu ustawy „Tak dla rodziny, nie dla gender”, której celem jest „wypowiedzenie przez Polskę genderowej konwencji stambulskiej i rozpoczęcie prac nad konwencją o prawach rodziny”.

To ważna inicjatywa, którą popiera wielu Polaków. Ale potrzebna jest nasza mobilizacja, by w warunkach pandemii zebrać wymaganą liczbę podpisów. Dlatego dziękuję, że Wasz tygodnik przyczynił się do powodzenia tej sprawy. Sama zebrałam wśród najbliższej rodziny i sąsiadów te 10 podpisów, na które było miejsce na karcie z „Do Rzeczy”. Ale nie zamierzam na tym poprzestać. Także znajomi pytali mnie, skąd wziąć więcej kart. Ja im drukuję, a pozostałych czytelników „Do Rzeczy” pragnę zachęcić do pobierania i drukowania (zawsze można poprosić kogoś o pomoc, jeśli ktoś nieinternetowy lub bez drukarki) kart ze strony chronimyrodziny.pl. Bądźmy ostrożni, pamiętając o epidemii, ale nie pozwólmy, by koronawirus pogrzebał tak ważną sprawę.

Życzę wszystkim zdrowia
Alina, Łódź

Grażyna, szybko! Złapali tego skur...
...a już nie... wypojcili...



...a już nie... wypojcili...



ce 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: Paweł Lisicki
I zastępca redaktora naczelnego: Piotr Gabryel
Zastępca redaktora naczelnego: Piotr Zychowicz
Sekretariat redakcji: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Radosław Wojtas

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemięcki

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ciołt (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Małkowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel,
Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkos, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Toralski, Szwach Weiss,
Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Woźniak, Tomasz Wróblewski,
Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Karol Gac z zespołem: Zofia Magdziak
(zastępca), Antoni Trzmiel (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Anna M. Piotrowska,
Małgorzata Puzyr, Sandra Skibińska, Marcin Bugaj, Damian Cygan,
Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”).

Studio graficzne: Wojciech Niedziółko (szef studia), Jakub Tański,
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotorekty: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz
Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krystofa
Okładka: Beata Zawrzel/REPORTER

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; Monika Doros, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 58 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułów tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



ROAMER
OF SWITZERLAND

7
YEAR
WARRANTY



Competence Skeleton III



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Drugie orzeczenie

Trybunał Konstytucyjny przypomniał, że już raz – 23 lata temu – wystąpił w obronie prawa do życia od poczęcia, uznając je za warunek konieczny rządów prawa w państwie demokratycznym. Wartość symboliczną ma fakt, że tamtą sentencję, zredagowaną przez

przeciw aborcyjnemu bezprawiu, skumulowane w wielkiej manifestacji warszawskiej z udziałem kilkudziesięciu tysięcy ludzi. Wcześniej jeszcze, zanim przyjęto ustawę w 1993 r., przez kraj przetoczyła się głęboka debata społeczna, której głosowanie sejmowe było zwieńczeniem.

zaangażowani byli najwybitniejsi politycy, np. późniejsza marszałek Senatu – Alicja Grzeškowiak. W tak pogardzanej dziś III Rzeczypospolitej uruchomiono siły społeczne, które prawu zapewniały społeczną wykonywalność. Dzisiejsze orzeczenie przychodzi po latach paraliżowania społecznego oporu antyaborcyjnego, gdy oficjalna doktryna władzy redukowałą prawo do życia do „światopoglądowej kwestii (subiektywnego) sumienia”, a ponurą normą zaczęło być umieranie na stołach szpitalnych dzieci niedobitych w czasie tzw. aborcji.

Trzeba mieć tego świadomość, bo już dziś musimy się przygotować na obronę przywróconego prawa, która w przyszłości będzie konieczna. Ale jeśli odbudujemy siły społeczne, wówczas wygramy i to drugie starcie. A wtedy zagwarantujemy Polsce, że ład przywrócony stanie się naprawdę trwały. ©©

Już dziś musimy się przygotować na obronę przywróconego prawa, która w przyszłości będzie konieczna.

Ale jeśli odbudujemy siły społeczne, wówczas wygramy i to drugie starcie

prof. Andrzeja Zolla, trzeba było w Trybunale jeszcze raz powtórzyć. Przypomina to, jak często rządy i parlamenty uważały partyjną politykę za ważniejszą od obrony prawa i ludzi.

Oczywiście różne są okoliczności obywateli. 23 lata temu pierwsze orzeczenie poprzedziły masowe protesty

Choć przyjęte wówczas przepisy były o wiele lepsze od przywróconych w 1997 r., to i tak istniało szerokie poczucie społeczne, że są jedynie materialnym wyrazem normy absolutnej, zobowiązującej nie tylko administrację, lecz także poszczególnych ludzi we własnym sumieniu. W debatę tę

TRYBUNAŁ STANĄŁ PO STRONIE ŻYCIA

– Artykuł 4a ust. 1 pkt 2 ustawy z dnia 7 stycznia 1993 r. o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży [...] jest niezgodny z art. 38 w związku z art. 30 w związku z art. 31 ust. 3 konstytucji – ogłosiła prezes Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska. Wyrok Trybunału mocno podzielił publicystów oraz internautów, a także wywołał protesty uliczne. Wniosek o zbadanie zgodności z konstytucją dopuszczalności aborcji w przypadku dużego ryzyka ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu lub nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu złożyło 119 posłów PiS, PSL-Kukiz'15 i Konfederacji. (jap) ©©



FOT. MARCIN OBARA/PAP



TAK DBAMY O TWOJE BEZPIECZEŃSTWO



Jedyne w Polsce stacje wyposażone
w specjalistyczne urządzenia
oczyszczające i filtrujące powietrze*



Maseczki i płyny do dezynfekcji w ofercie stacji



Płatności na odległość ORLEN PAY



Mobilny kasjer dostępny
na podjeździe stacji

* Według aktualnego stanu na dzień 16.10.2020 r.

#bezpiecznyORLEN



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Bez znieczulenia

Mało co zirykowało mnie w ostatnim czasie bardziej niż filuterny wpis na Twitterze ambasadora Niemiec w Warszawie, Arndta Freytag von Loringhova, będący podziękowaniem dla ambasador Stanów Zjednoczonych, Georgette Mosbacher, za „przyjacielskie” przyjęcie go na kolacji. „Tematy naszych rozmów – uznał za stosowne poinformować wszem wobec pan ambasador – to stosunki międzyatlantyckie, Trójmorze oraz wolność mediów w Polsce”.

Trudno to nazwać inaczej niż skądinąd, sami od dawna zachęcamy potulnym znoszeniem różnych afrontów, ustawiających nas na pozycji pouczanego i „cywilizowanego” przez państwa obce protektoratu – by wspomnieć tylko

coroczne strofowanie w kwestii LGBT. Aż się nie chce przypominać, że jest coś takiego jak konwencja wiedeńska, ustalająca zasady dyplomacji – między innymi tę, że ambasadorom państw obcych nie wolno wtrącać się ani słowem w wewnętrzne sprawy państw ich goszczących. Zresztą, może i nie ma po co wspominać, bo konwencja ta mówi o ambasadorach, a nie generałach-gubernatorach i namiestnikach, które to określenia pełnionych w Warszawie funkcji byłyby właściwsze.

Przełożony na mowę prostą komunikat ambasadora Niemiec znaczy tyle: namiestnik USA, protektor kontrolowanej przez Discovery i jej prezesa Davida Zaslava (osobistego przyjaciela pani Mosbacher) antyrządowej stacji telewizyjnej TVN, przyjęła

ambasadora Niemiec, protektora innych antyrządowych mediów w Polsce, i zapewniła go, że zakazując Polakom „dekonztruktoryjnego” podsłukiwania im, Amerykanom, nie ograniczy się do partykularnych interesów swego kraju, ale zadba też o niemieckie. Ergo, że uznaje zasadność podziału wpływów i narzędzi sprawowania „rządu dusz” nad Wisłą. Co niniejszym ambasada niemiecka nie wprost, ale jednoznacznie Polakom ogłasza.

Mnij więcej w czasie, gdy państwo ambasadorowie miło sobie gwarzyli, Jarosław Kaczyński udzielał wywiadu „Gazecie Polskiej”, zapowiadając twardo, że „Polska nie będzie niczyją kolonią”. Piękne słowa, ale zastanawiam się, czy aby nie zapomniał uzgodnić ich wcześniej z panią Mosbacher. © ©

NA PIERWSZY OGIEŃ

Słowa, które przychodzą lekko



PIOTR SEMKA

Cały tęczy i postępowy Internet szaleje z radości i poczucia triumfu. „Papież Franciszek popiera związki partnerskie osób tej samej płci i mówi, że takie osoby mają prawo stworzyć rodzinę”.

Być może cały film zmodyfikuje nieco kontekst. Nic nie zmienia bardzo gorzkiego dla katolików faktu – Franciszek kolejny raz wypowiada się w sposób, który obóz zmian obyczajowych może przedstawiać jako zgodę na zmianę doktryny Kościoła. Po raz kolejny papież nie liczy się z tym, jaki jego słowa mogą spowodować zamęt.

Słowa rzucane od niechcenia, wieloznaczne zdania wygłaszane do dziennikarzy na pokładzie samolotów. To wszystko dezorien-

tuje wiernych. To tylko prywatne opinie? Papież nie mają prywatnych opinii.

Z każdej lekko rzuconej opinii wynikają skutki. Skoro papież popiera związki homoseksualne, to jak może w tej sytuacji nie akceptować heteroseksualnych związków bez ślubu lub osób rozwiedzionych? A skoro nie można wykluczać osób tej samej płci ze związków cywilnych, to czy można ich wykluczać z sakramentu małżeństwa? A skoro osoby tej samej płci mogą tworzyć rodzinę, to dlaczego nie mają adoptować dzieci?

Furda niegdysiejsze wieloletnie debaty. Furda synody biskupów. Furda Kongregacja Nauki Wiary. Mamy ochotę na zmiany, to coś

rzucamy od niechcenia w wywiadzie. Media świeckie nagłośnią takie słowa lepiej niż jakąkolwiek encyklikę.

Część publicystów z goryczą zwraca uwagę, że mało kto z katolików doceniał luksus sytuacji, w której przez ostatnie ponad 500 lat negacja dogmatów wiary szła z zewnątrz Kościoła. Od reformacji, oświeceniowców, scjentystów, komunistów. Teraz nowy kryzys i podział może wywołać ktoś, kogo powołaniem jest wzmacnianie Kościoła i czynienie go jednością. Nikt mnie nie przekona, że udzielanie wywiadu filmowcowi z Ukrainy to cel ważniejszy niż wszystkie te obowiązki papieskie. A przecież to właśnie się dzieje. © ©



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

Nagroda
im. Przemysława Gintrowskiego
za wolność w kulturze

MECENAS KONCERTU:

PARTNERZY

PARTNER WSPIERAJĄCY:





PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O młodzięzy chowaniu

We włoskiej Izbie Deputowanych postępowcy złożyli projekt ustawy postulującej utworzenie specjalnego obserwatorium, które będzie czuwać nad treścią podręczników szkolnych w zakresie LGBT i gender. Ma być związane z ministerstwem edukacji. Jako że postępowcy posiadają w parlamencie większość, można śmiało założyć, że prędzej czy później ustawa zostanie przyjęta.

Stonoga o datki płać jeszcze
Polaków, ale o szyl już
Notwegów...



c e z e t y z t y j j t o n a

Nazywa się to „Dyspozycje dotyczące promocji odmienności w podręcznikach szkolnych, jej akceptacji i ustanowienie w tym celu ogólnokrajowego obserwatorium”. Dalej czytamy, że ta inicjatywa ma służyć prewencji i walce ze stereotypami dotyczącymi płci, kultury i pochodzenia

etnicznego. Kto ma wejść w skład tych gremiów? Oczywiście sami zainteresowani.

Obserwatorium miałoby za zadanie analizę podręczników, zredagowanie wytycznych i skorygowanie ewentualnych błędów. Ocenie miałyby podlegać wszystkie podręczniki we wszystkich szkołach wszystkich szczebli. Co więcej, obserwatorium miałoby też prawo decydować, które podręczniki należy wycofać. Jako że ciągle pojawiają się nowe, ich weryfikacja powinna się odbywać nie rzadziej niż co trzy lata. W rezultacie już w nieodległej przyszłości każdy używany w szkołach podręcznik ma posiadać imprimatur obserwatorium i informujący o tym nadruk. Żeby uniknąć kłopotów i druku podręczników, które pójdą na przemiał, obserwatorium w razie potrzeby posłużyłoby wydawnictwom pomocą już na etapie redakcji tekstu. Co więcej, projekt ustawy przewiduje specjalne kursy dla wydawców.

Nie koniec na tym. Postępowcy w projekcie ustawy nie kryją, że mają ambicję opracowania programów specjalnych kursów dla nauczycieli i całego personelu szkolnego, które powinno wdrożyć ministerstwo oświaty. Mają być również regularnie organizowane kursy uzupełniające. Chociaż nie napisano tego jasno, to można się domyślać, że kursy mają być obowiązkowe. O egzaminach i obozach reedukacyjnych dla opornych pedagogów na razie cisza. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

W oparach polskiego nowiczoku

Chyba nic nie oddaje lepiej schyłkowości współczesnej polityki niż sprawa zatrzymania Romana Giertycha, która jak w soczewce skupia esencję III RP. Wysłuchajmy głosu ekspertów.

„Rodzinie Giertychów przesyłam serdeczne słowa otuchy. To nie może tak wyglądać. Roman, walczyć” – napisał Szymon Hołownia, który tak się przejął, że po chwili opublikował kolejnego tweeta. „Państwo odczytujące zarzuty człowiekowi bez kontaktu, w ciężkim stanie (co potwierdza zastępczyni RPO) – straciło już wszelkie hamulce. Jedziemy z Kaczyńskim na ścianę. Giertychowi zabrakło zdrowie. Komu zabierze życie?” – pisownia oryginalna.

O ile ze zdrowia nie należy żartować, i tutaj skłamałam życzenia powrotu do formy panu mecenasowi, o tyle w przypadku niektórych komentatorów na ratunek może być za późno. „Roman Giertych przewieziony do szpitala. Zemsta, gdy wyszedł do łazienki z funkcjonariuszem... Pamiętacie Barbarę Blidę?” – napisał np. Przemysław Szubartowicz. „Ja nie lubię sensacji ani nie hołduję spiskowej teorii. Tylko przypominam: w latach 2005–2007 rząd sprawowali: premier Kaczyński i wicepremierzy Lepper oraz Giertych. Pierwszy nie żyje, drugiego czeka śmierć zawodowa. Kaczyński wrócił do rządu, Ziobro jest ministrem” – dodała Iwona Śledzińska-Katarasińska.

Jeśli komuś mało stężenia absurdu, to jeszcze taki tweet na dokładkę. „Co ma wspólnego zasłabnięcie Giertycha z polskim »nowiczokiem«? Były agent CBA ujawnia” – pyta portalik wieści24.pl.

Na szczęście ostatek się jeszcze oazy rozsądku.

„Wystarczyła doba, żeby zatrzymanie Giertycha stało się Smoleńskim antypisu: mamy już zabójczą toksynę, groźby śmierci z Cypru, seryjnego samobójcę od Blidy i Leppera, kompromaty tudzież sugestie, że mecenas czeka »Wiedeń«, czyli nagły zgon mimo opieki medycznej à la doktor Jan” – stwierdził Łukasz Najder. „To jest naprawdę przeżabawne, jak opozycyjni komentatorzy chcą beatyfikować Giertycha, zamiast uznać, że jest to paskudna postać, której mimo wszystko należy bronić przed niesprawiedliwością i upolitycznionym aparatem ścigania. A potem będzie płacz, że jednak nie jest posagowy” – dodał Leszek Jażdżewski. Uff. © ©



POMAGAMY
SPRAWIEDLIWIE



SZYBCIEJ, SKUTECZNIEJ, BEZPIECZNIEJ

DZIĘKI NOWEJ USTAWIE ANTYPRZEMOCOWEJ

**Nie będziesz musiała uciekać z mieszkania,
w którym jesteś narażona na przemoc domową!**

Do tej pory, jak wiele kobiet, mogłaś ratować się przed przemocą tylko ucieczką z mieszkania. Teraz się to zmienia! Zgodnie z nową ustawą to sprawca przemocy będzie musiał natychmiast opuścić mieszkanie i zostanie zakaz zbliżania się do Was. Policja tego dopilnuje, a sąd w błyskawicznym trybie zajmie się sprawą.

Nowa ustawa antyprzemocowa, przygotowana przez Ministerstwo Sprawiedliwości, to przełomowe rozwiązanie prawne, które gwarantuje Ci szybką, skuteczną pomoc i zapewnia realne poczucie bezpieczeństwa.

Więcej informacji na www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl

Każdą przemoc charakteryzuje jej intencjonalność, a także nierówność sił. Silniejszy sprawca działa celowo, aby podporządkować sobie ofiarę. Przemoc w rodzinie jest szczególnie – często jej nie widać, a ofiary rzadko kiedy same zgłaszają się po pomoc. Jak rozpoznać takie sytuacje? Jak ofiarom może pomóc państwo?



FOT. ADRIAN BOSTOCK

Przemoc w domu.

Charakter, objawy, pomoc dla ofiar

Trudno jest dokładnie oszacować liczbę ofiar przemocy w rodzinie. W Polsce – według policyjnych statystyk – każdego roku doświadcza jej ćwierć miliona osób. W większości są to kobiety, dzieci oraz osoby starsze. Osobami poszkodowanymi w wyniku stosowania przemocy w domu mogą być współmałżonkowie, partnerzy żyjący ze sobą w związkach nieformalnych, osoby starsze i niepełnosprawne, a także dzieci (stosowanie przemocy ma ogromny wpływ na dorosłe życie dziecka). Jeśli chodzi o sprawców, to według danych policji i Ministerstwa Sprawiedliwości zdecydowanie najczęstszymi sprawcami przestępstw polegających na znęcaniu się nad rodziną są mężczyźni (ok. 97 proc. przypadków).

Oczywiście zdarza się, że również mężczyźni padają ofiarami przemocy – np. policzkowania, popychania i szarpania oraz bicia – ale badania pokazują, że przemoc wobec mężczyzn ma dużo częściej charakter przemocy psychicznej (poniżanie, wyzywanie) niż fizycznej.

PRZEMOC WEDŁUG PRAWA

Zgodnie z ustawą z 29 lipca 2005 r. „przemoc w rodzinie narusza podstawowe prawa człowieka, w tym prawo do życia i zdrowia oraz poszanowania godności osobistej, a władze publiczne mają obowiązek zapewnić wszystkim obywatelom równe traktowanie i poszanowanie ich praw i wolności”. Według ustawodawcy, przez przemoc w rodzinie „należy rozumieć jednorazowe albo powtarzające się umyślne działanie lub zaniechanie naruszające prawa lub dobra osobiste”, a w szczególności działanie „narażające te osoby na niebezpieczeństwo utraty życia, zdrowia, naruszające ich godność, nietykalność cielesną, wolność, w tym seksualną, powodujące szkody na ich zdrowiu fizycznym lub psychicznym, a także wywołujące cierpienia i krzywdy moralne u osób dotkniętych przemocą. Zalicza się tu także naruszanie praw osób pracujących jako pomoc domowa: więzienie ich, brutalność fizyczną względem nich, niewolnicze warunki pracy i przemoc seksualną”.

W Deklaracji o Eliminacji przemocy wobec kobiet przyjętej przez ONZ w 1993 r. przemoc w rodzinie zdefiniowano jako „maltretowanie przez partnerów, wykorzystywanie seksualne dziewczynek, przemoc związana z posagiem, gwałt małżeński, okaleczanie

żeńskich narządów płciowych i inne tradycyjne praktyki, które są szkodliwe dla kobiet”. Przemoc wobec kobiet od lat 90. ubiegłego wieku jest też uznawana za poważne naruszenie praw człowieka, a jednocześnie za dyskryminację ze względu na płeć. Przemoc może występować nie tylko w domu, lecz także np. w ramach wspólnoty społecznej i przybierać formę m.in. gwałtu, wykorzystania seksualnego, molestowania seksualnego czy zastraszania w miejscu pracy, instytucjach oświatowych, a także w innych miejscach publicznych.

FORMY PRZEMOCY

Przemoc w rodzinie może więc objawiać się na wiele sposobów. Generalnie uznaje się, że przemoc domową charakteryzuje:

- intencjonalność – postępowanie sprawcy jest zamierzone i ma na celu podporządkowanie sobie ofiary;
- nierównomierność sił – silniejszy sprawca narusza prawa i dobra osobiste słabszej ofiary (w tym np. jej prawo do nietykalności fizycznej czy szacunku);
- cierpienie i ból – sprawca przemocy domowej świadomie naraża na szkodę zdrowie i życie swej ofiary;

Najbardziej jaskrawą formą przemocy jest naruszenie nietykalności fizycznej. Sprawcy przemocy fizycznej celowo uszkadzają ciała swych ofiar. Wśród zachowań będących przejawem tej formy przemocy można wymienić m.in. obezwładnianie, popychanie, szarpanie, odpychanie, ciągnięcie, szturchanie, klepanie, klapsy, ciągnięcie za uszy, włosy, szczypanie, kopanie, bicie ręką, pięścią, policzkowanie, przypalanie papierosami, duszenie, krępowanie rąk i nóg, a także polewanie substancjami żrącymi. To wszystko są – niestety – przykłady z życia wzięte.

Groźna jest także przemoc psychiczna. Jest ona najczęstszą, najtrudniejszą do udowodnienia formą przemocy. Do zachowań uznawanych za przemoc psychiczną uznawane są drwiny, krzyki, wulgarne wyzwiska, zastraszanie, szantażowanie, zawstydzanie czy groźenie. Ta forma przemocy może również przybierać formę codziennej krytyki i upokarzania, wyśmiewania opinii, przekonań czy religii, narzucania własnego zdania jako jedynego właściwego, a także zdradzanie sekretów ofiary czy krzywdzenie należących do niej zwierząt. Sprawcy tej formy przemocy niekiedy próbują wmawiać

Chociaż prawidłowo funkcjonująca rodzina powinna dawać jej członkom poczucie bezpiecznego schronienia i emocjonalnego wsparcia, to nie zawsze tak jest. „Przemoc domowa”, nazywana też „przemocą w rodzinie” – mimo że jest zabroniona przez kodeksy karne wielu państw na świecie – wciąż występuje praktycznie we wszystkich krajach i we wszystkich grupach społecznych, niezależnie od wykształcenia czy pozycji społecznej sprawców i ich ofiar.

■ swoim ofiarom chorobę psychiczną. Posuwają się także do formułowania kolejnych zakazów (np. zakazując kontaktu z rodziną i przyjaciółmi lub wręcz wychodzenia z domu), a także śledzą swe ofiary, pozbawiają je snu i pożywienia.

Przemoc seksualna polega z kolei na zmuszaniu osoby do jakiegokolwiek aktywności seksualnej wbrew jej woli, a także na kontynuowaniu aktywności seksualnej bez pytania o zgodę partnerki lub partnera lub gdy ofiara działań sprawcy obawia się mu odmówić.

Do działań naruszających intymność ofiary zalicza się nie tylko gwałt, wymuszenie pożycia seksualnego, zmuszanie do seksu z osobami trzecimi czy też sadyzm podczas uprawiania seksu. Formą przemocy seksualnej jest także obmacywanie, zmuszanie do niechcianych praktyk seksualnych, nieliczenie się z oczekiwaniami partnerki lub partnera, wyśmiewanie wyglądu lub też krytyczne ocenianie sprawności seksualnej partnerki lub partnera.

W przypadku przemocy ekonomicznej sprawca narusza prawo własności ofiary lub celowo ją zaniedbuje. Chodzi o takie zachowania, jak np. okradanie, celowe niszczenie własności czy uniemożliwienie podjęcia pracy zarobkowej. Może to być również zmuszanie do zaciągania kolejnych kredytów i pożyczek, zaciąganie długów bez zgody współmałżonka czy też odmawianie dostępu do niezbędnych do życia pomieszczeń, takich jak kuchnia, łazienka czy sypialnia.

Formą przemocy ekonomicznej jest także zaniedbanie, czyli niewywiązywanie się z obowiązku opieki nad bliskimi. Chodzi m.in. o pozbawianie jedzenia, ubrania czy dachu nad głową, brak pomocy w chorobie czy też zaniedbania emocjonalne polegające na braku fizycznego wyrażania uczuć i braku wsparcia emocjonalnego.

PRZYCZYNY I FAZY PRZEMOCY W RODZINIE

Jakie są przyczyny przemocy w rodzinie? Często ma ona związek z nadużywaniem alkoholu, narkotyków i innych środków odurzających. W wielu przypadkach sprawcy negatywny wzór postępowania wobec bliskich wnieśli z własnego domu rodzinnego, gdzie byli ofiarami tego typu zachowań. Przyczyną przemocy mogą być także kłopoty małżeńskie, brak wiedzy i umiejętności wychowawczych etc.



FOT. ADOBE STOCK

Amerykańska psycholog Lenore E. Walker, pracująca z osobami dotkniętymi przemocą domową, w 1979 r. opublikowała słynną pracę „The Battered Women”, w której opisała trzy główne, następujące po sobie fazy występowania przemocy w rodzinie.

Pierwsza z nich to faza narastania napięcia. Charakteryzuje się ona rosnącą liczbą sytuacji konfliktowych. Sprawca przemocy staje się drażliwy i coraz częściej wyładowuje emocje na swej partnerce lub partnerze (trzeba pamiętać, że sprawcami przemocy bywają także kobiety), szukając pretekstów do wszczęcia awantury. Chociaż zarówno współmałżonka, jak i dzieci sprawcy robią co mogą, aby spełnić jego najbardziej nawet absurdalne zachcianki, ten i tak wszczyna kłótnie z byle powodu.

U niektórych ofiar z powodu nieustannego napięcia pojawiają się takie objawy, jak: apatia, bezsenność, zaburzenia oddychania, utrata apetytu, bóle głowy i żołądka.

Jako druga – zdaniem dr Walker – następuje faza ostrej przemocy. Dochodzi w niej do aktów niekontrolowanej agresji. Sprawca przemocy szuka możliwości rozładowania napięcia na najbliższych pod byle pretekstem, często wpada w szał. W tej fazie często dochodzi nie tylko do agresji słownej – poniżania, wyzwisk etc. – ale także do przemocy fizycznej. Agresor może bić swoje ofiary pięściami, kopać, a także uderzać je książkami, kablem, przyduszać, grozić

nożem etc. Oszołomieni poszkodowani starają się chronić siebie i swoje dzieci, przepraszać i uspokajać sprawcę, ale nie przynosi to oczekiwanych rezultatów: sfrustrowany agresor wciąż dąży jedynie do wyładowania swojej złości.

Przemoc może być „gorąca” (jej przejawem jest furia i wybuch skumulowanych uczuć złości, który doprowadza do aktu przemocy w formie bezpośredniej agresji fizycznej czy psychicznej) albo „chłodna” (sprawca spokojnie realizuje scenariusz sprawienia cierpienia współmałżonkowi lub dziecku, a następnie na chłodno sam przed sobą się usprawiedliwia).

Ofiary przemocy w tej fazie odczuwają wstyd, głębokie poczucie winy, a także przerażenie i bezradność. Faza ostrej przemocy wywołuje depresję, a także myśli samobójcze.

Zawstydzeni poszkodowani boją się reakcji znajomych i rodziny, próbują więc np. ukryć widoczne ślady przemocy (siniaki, otarcia, podbite oko). Bywa, że skutki przemocy fizycznej są tak wielkie, że ofiara trafia do lekarza z połamanymi kośćmi i obrażeniami wewnętrznymi. Niekiedy atak agresji jest tak gwałtowny, że prowadzi do śmierci ofiary.

Faza trzecia cyklu opisanego przez amerykańską psycholog to faza miesiąca miodowego. Sprawca kompletnie zmienia wówczas swoje zachowanie, nagle zdając sobie sprawę z faktu, że przekroczył wszelkie granice. Agresor zaczyna wówczas przepraszać, deklarować, że żałuje

tęgo, co zrobił. Przynosi kwiaty, kupuje miłe prezenty i zapewnia o swej ogromnej miłości do ofiary i wspólnych dzieci.

Faza miesiąca miodowego – choć trwa zazwyczaj bardzo krótko – prowadzi do tego, że ofiara znów wierzy, że jej partner potrafi być kochającą, czułą osobą, że przemoc była tylko przypadkiem lub jednorazowym incydentem, i że tym razem naprawdę się zmieni. Ofiara najczęściej wybacza wówczas sprawcy. Nie odchodzi więc od niego (nawet jeśli wcześniej to planowała), wycofuje na policji złożone wcześniej zeznania lub wycofuje pozew rozwodowy. Niestety, przemoc domowa rzadko jest tylko jednorazowym incydentem i bez podjęcia stanowczych kroków wobec sprawcy agresja szybko się powtarza.

Agresor po każdej fazie miesiąca miodowego, gdy wybaczone mu wszystkie dawne winy, czuje się zaś coraz bardziej bezkarny. W kolejnych cyklach fazy miesiąca miodowego stają się więc coraz krótsze, wydłużają się zaś fazy pierwsza oraz druga. Po wielu latach faza trzecia może zaś zupełnie zaniknąć.

JAK POMÓC OFIAROM?

Czy to, co się dzieje u mnie w domu, to już przemoc czy jeszcze „norma”? A może sama/sam sobie jestem winna/winien? Czy mogę coś z tym zrobić? – takie pytania codziennie zadają sobie tysiące ofiar przemocy domowej.

Wiele poszkodowanych osób cierpi w milczeniu. Ofiary przemocy w wyniku izolacji, ciągłego poniżania i gróźb poddawane są przez sprawcę regularnemu „praniu mózgu”. Po latach życia pod jednym dachem ze sprawcami przemocy ofiary zaczynają uznawać takie obrazy samych siebie, które wmawiają im agresorzy. Zdominowane, poniżone i zastraszone, nie szukają pomocy i nie potrafią uwolnić się od sprawcy przemocy. Żyjąc pod ciągłą presją, starają się zachowywać tak, aby w jak najmniejszym stopniu ryzykować wzbudzeniem agresji u oprawców.

Do uwięzienia ich w krzywdzącym związku prowadzi m.in. syndrom wyuczonej bezradności, który przejawia się w zaprzestaniu podejmowania jakichkolwiek działań. Takie zachowanie wynika z przekonania, że cokolwiek się zrobi, i tak nie uda się zniwelować przyczyn agresywnych zachowań sprawcy.

Cierpienia ofiar często widzą osoby trzecie, podejrzewają, że coś jest nie tak,

ale bywa, że mają wątpliwości albo nie chcą się wtrącać.

Na szczęście z roku na rok rośnie świadomość społeczna, a także skłonność do reagowania i wspierania ofiar przemocy w rodzinie. Dzięki temu przybywa osób, którym udało się raz na zawsze wyrwać z kręgu przemocy domowej. Warto uświadomić ofiarom przemocy, że taka sytuacja wcale nie musi trwać wiecznie, że przemoc jest przestępstwem, a вина zawsze leży po stronie sprawcy przemocy, a nie jej ofiary, nawet jeśli ona sama siebie obwinia za zaistniałą sytuację.

Dobrze jest zwracać uwagę na ślady fizyczne (np. siniaki i obrzęki na twarzy, ramionach, plecach, otarcia na żebrach, krwawe pręgi na plecach, nogach, stopach czy dłoniach, ślady po gaszeniu papierosa na skórze ofiary, a także blizny po ranach). Co prawda ślady takie trudno zawsze jednoznacznie zidentyfikować, ale jeżeli pojawiają się z pewną regularnością, to mogą świadczyć o tym, że ktoś jest ofiarą przemocy domowej.

Warto także rozprawić się z mitami związanymi z przemocą. Przede wszystkim nie jest prawdą twierdzenie, że przemoc w rodzinie to sprawa prywatna i w związku z tym nikt obcy nie ma prawa się wtrącać. Fałszywy jest także mit mówiący, że gdyby ofiara naprawdę cierpiała, to szybko odeszłaby od sprawy – w wielu przypadkach ofiary są uzależnione od sprawcy przemocy, nie mają innego mieszkania, do którego mogłyby uciec ani pieniędzy na rozpoczęcie nowego życia.

Dobrze jest również pamiętać, że ofiary przemocy nie zawsze mają widoczne ślady na ciele.

Jak więc rozpoznać objawy przemocy? Obniżona samoocena, ogromne poczucie winy, negatywne myślenie oraz ogromne napięcie emocjonalne – to tylko niektóre cechy charakterystyczne dla osób będących ofiarami przemocy w rodzinie.

Poszkodowani cierpią również często na zaburzenia lękowe, depresję, złe samopoczucie, osłabienie i spadek energii, zaburzenia snu czy brak apetytu. Ze wstydu wycofują się też z życia społecznego. Szacuje się, że nawet u jednej czwartej osób doświadczających przemocy może rozwinąć się syndrom stresu pourazowego (PTSD). W konsekwencji cierpią one wówczas m.in. na zaburzenia snu, problemy z koncentracją i opanowaniem własnego gniewu. Często do-

świadczą też ponownego przeżywania traumy (m.in. poprzez koszmary senne, iluzje i halucynacje). Osoby cierpiące na PTSD mają też często mniejszą zdolność racjonalnej oceny sytuacji, przez co jeszcze trudniej jest im bronić się przed sprawcą przemocy.

Rozpoznanie objawów przemocy jest szczególnie istotne w przypadku dzieci, które same nie mogą zgłosić się po pomoc specjalistyczną – ich los leży więc głównie w rękach członków rodziny, nauczycieli, wychowawców oraz lekarzy, którzy potrafią dostrzec nie tylko fizyczne objawy przemocy, ale także objawy emocjonalne i społeczne (dzieci będące ofiarami przemocy mogą częściej być nieposłuszne, wdawać się w bójkę z innymi dziećmi, sprawiać wrażenie zobojętniałych nawet na dotkliwe kary etc.). Takie dzieci mają też często problemy z opanowaniem podstawowej wiedzy, są pozbawione miłości i poczucia bezpieczeństwa, a jedyny znany im mechanizm obronny to agresja.

PAŃSTWO NA POMOC OFIAROM

W ostatnich latach wzrosło także realne wsparcie dla ofiar przemocy ze strony państwa. Już w listopadzie w życie wchodzi opracowana przez ekspertów z Ministerstwa Sprawiedliwości tzw. ustawa antyprzemocowa, która znacząco poprawia sytuację prawną ofiar przemocy domowej (umożliwia m.in. natychmiastowe odizolowanie przez policję lub żandarmerię sprawcy przemocy w rodzinie od jego ofiar, bez konieczności długiego oczekiwania na wyrok sądu).

W Polsce działa także wiele profesjonalnych instytucji, które pomagają ofiarom przemocy domowej. Wśród nich jest niemal 260 punktów pomocy pokrzywdzonym finansowanych ze środków Funduszu Sprawiedliwości. Aby otrzymać pomoc, wystarczy do nich przyjść, wysłać e-mail lub zadzwonić. Adresy i kontakty do wszystkich ośrodków dla pokrzywdzonych w całej Polsce są dostępne na stronie internetowej Funduszu Sprawiedliwości: www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Lista punktów pomocy jest też dostępna na interaktywnej mapie: www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl/pl/znajdz-osrodek-pomocy/

Można również zadzwonić i uzyskać wstępną poradę oraz adres najbliższego ośrodka (Linia Pomocy Pokrzywdzonym 222 309 900).

MUSZĘ, BO SIĘ UDUSZĘ

Celebrytka Ania Wendzikowska na jednym z czatów z fanami na Instagramie została zapytana o to, czy jako dziecko miała wsparcie swoich rodziców. Odpowiedziała, że nie do końca. – Dostałam wszystko, co im się wydawało ważne. Nie dostałam tego, czego potrzebowałam. Tak często bywa. Żeby było jasne, nie mam żalu ani poczucia krzywdy. Ale do tej pory pracuję nad skutkami warunkowej miłości. Tego, że muszę być „jakaś”. Mieć superoceny, osiągnięcia, sukcesy. Być kimś. Takie to były czasy, wszyscy to znamy. Teraz dopiero się uczę, że nic nie muszę – odpowiedziała. O tym, że nic nie musi, musiała koniecznie opowiedzieć światu w Internecie. Sama, bez przymusu.

SEKSIZM NASZ POWSZEDNI

Niegdyś popularny aktor, dziś nieco mniej popularny prezydent Jarosław Jakimowicz ubolewa nad nowymi restrykcjami dotyczącymi zamknięcia siłowni, basenów i ograniczenia godzin działalności barów, pubów i innych lokali gastronomicznych. – I znowu za wszystko zapłacą faceci. Zero knajp, zero sportu, zero kumpli. A kobiety nadal z radością piorą, prasują, gotują i sprzątają! I gdzie tu sprawiedliwość? – pożałował się na Instagramie celebryta. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Dziwne, że pan Jarosław tego nie wie. Przecież jego obecność w telewizji jest tego najlepszym przykładem.

KTO OLAŁ GWIAZDĘ

Aktorka Katarzyna Cichopek zadebiutowała niedawno jako nowa prowadząca „Pytanie na śniadanie”, ale dopiero w minionym tygodniu przeszła prawdziwy chrzest bojowy. I to na antenie! Podczas trwania programu i rozmowy o plotkach z show-biznesu prowadząca Cichopek trzymała na kolanach uroczego szczeniaczka, który niespodziewanie ją... obsikał. – Słuchajcie, ja się nie gniewam. Jestem doświadczoną mamą, mam również psa, także przeżyłam już wszystko – stwierdziła nieco zmieszana Cichopek, próbując wytrzeć z siebie to, co zostawił na jej sweterku piesek. W przerwie musiała iść się przebrać i podobno przeżywała całą tę nieprzewidzianą sytuację. Zupełnie niepotrzebnie. Powinna to po prostu... olać!

PORADY WARTÉ MILIONÓW

Projektantka Joanna Przetakiewicz, była partnerka Jana Kulczyka, a od niedawna szczęśliwa żona producenta Rinke'a Rooyensa, pochwaliła się na Instagramie nową sesją zdjęciową. Pod

zdjęciami, na których prezentuje swoją zgrabną sylwetkę, zamieściła, jak zwykle, długi motywacyjny wpis. „Często pytam mężczyzn, jaką cechę uznają w kobietach jako najbardziej atrakcyjną. I wiecie co? To wcale nie długie nogi czy super biust. To urok osobisty i radość życia. Kochanie siebie i innych” – zapewnia pod zdjęciami prezentującymi m.in. jej długie nogi. „Kobieta z wiekiem nie staje się przeczysta, tylko bardziej wyrazista. Mówię to często, od kiedy skończyłam 50 lat, i będę powtarzać dla



FOT. RADOŚĆ WAWROCKI/FOTUM

utrwalenia, między innymi po to, żeby 30/40-latkci zauważyli, że przed nimi jeszcze dekady nowych szans i możliwości” – przekonuje celebrytka. Nie wszyscy jednak dali się przekonać jej wywodom. – Dzisiaj za kasę można być szczupłym i młodym, taka jest prawda – skwitowała jedna z internetek na Instagramie. Joanna postanowiła odpowiedzieć. – Za kasę można bardzo wiele, warto zarabiać – poradziła. Takie rady ze strony milionerki to naprawdę coś. Bezcenne po prostu!

ROSÓŁ Z TUPETEM

Tymczasem jest afera związana z restauratorką Magdą Gessler, a konkretnie z cenami, jakie serwuje klientom w swojej nowej restauracji. Podobno słoik rosółu na wynos, sygnowany jej marką, kosztuje tam 60 zł. „Karuzela plotek, szaleństwa medialnego... Nakręcona spirala... Uwaga! Afera zupowa! Puszczam do Was oko z sympatią i niedowierzaniem... Cóż... Można to przeżywać, a można też podziękować za reklamę i szum!” – napisała sama zainteresowana na Facebooku. „Znacie od lat moje przepisy, pasję, jakość... Te miejsca są jak spiżarnia smaku, zapachu, który wydobywa się i kusi już na ulicy... Do tego dążyłam, aby przyciągać was prawdą. Każde danie w karcie, każda słodkość to nabyty jak bomba w dobre składniki kulinarny rarytas. To nas różni od innych: pustych, pozbawionych smaku i dobrych składników posiłków” – tłumaczy się. Zastanawiamy się, jakie składniki musi zawierać rosół, by kosztował 60 zł za słoik. Pewnie tupet. Dużo tupetu. ©©



FOT. PAMEŁ GROMADA



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, trwają poszukiwania personelu do pracy w szpitalu organizowanym na Stadionie Narodowym. Czujemy się w obowiązku podpowiedzieć rządowi, jakimi benefitami można przyciągnąć kandydatów:

A jeśli chodzi o wymagania, to:

- zorientowanie na cele i zadaniowość;
- wysoka kultura osobista (iżby ktoś umiał jednak wytrzymać bez przeklinania przy pacjentach);

Wysoki Sąd wyraża najgłębsze ubolewanie ze mimo najszerszych chęci, nie jest w stanie skazać pobitego operatora TVP...



- owocowe wtorki, wprowadzamy w ten sposób element kreatywny i zaskakujemy kandydata, iż nie czwartki;
- praca w młodym i dynamicznym (przez pierwszą dobę) zespole;
- pakiet szkoleń niezbędnych do przeprowadzenia udanej sedacji pacjenta;

- mile widziane wykształcenie medyczne i prawo jazdy kategorii B, własna działalność gospodarcza będzie dodatkowym atutem.

Jeśli wydaje wam się, że żyjemy w ciemnym katotalibańskim zaścianku, to oczywiście macie świecą rację.

Jednak od soboty żyjemy w jeszcze ciemniejszym katotalibańskim zaścianku, iż zegarki zostały cofnięte o godzinę i szybciej zapada zmrok. I tak sobie będziemy po ciemku siedzieć, aż obejrzymy całego Netflixa, włącznie ze „Świnką Peppą”.

Zdumiewa nas przy tej okazji tylko to, do jak wielkiej inwigilacji dopuszcza my. Ktoś cofnął nam o godzinę zegarki w ajfonach, sami na pewno tego nie robimy. Poza tym zmiana czasu następuje w środku nocy, bez żadnych konsultacji społecznych... Nie wygląda to znajomo?

Jednak rząd się ugiął pod presją społeczną i tegoroczny grobbing się odbędzie – zupełnie jak co roku.

Na szczęście nie musimy się martwić tym, iż w świeckim kraju co roku dochodzi do takich sytuacji, zamiast tego skoncentrujemy się na zabawie w Halloween, podobnie jak cała postępową rodziną.

W tym roku będziemy się przebierać za maseczkę, Tuska wracającego z Brukseli i związek partnerski, a więc wszystko to, czego się przeciętni janusze boją.

A po domach będziemy chodzić z hasłem: „Konstytucja albo psikus”, który spotka każdego, kto nie wyrecytuje fragmentu z rozdziału o źródłach praw. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Marketing na Narodowym

Michał, jak my nazwiemy ten szpital na Narodowym?

Nie rozumiem, Mariusz. Jak to: jak? „Szpital na Narodowym”. A to musi mieć jakąś specjalną nazwę?

Ja też tak myślałem. Ale rozmawiałem ostatnio z panem Erykiem – wiesz którym? – i on

mi wyjaśnił, że takie rzeczy mają znaczenie.

Eryk? Ten pływak od tego pisemka?

Ten sam, od marketingu, więc się chyba zna.

Ja myślę. Za takie pieniądze... Ale nazwy konkretnej ci nie poda?

Zaproponował, żeby zorganizować na ten temat seminarium, w ramach którego odbyłby się konkurs na najlepszą nazwę, a potem jej kampania promocyjna. I to wszystko naprawdę tanio, mówił, że zmieścimy się w dwustu tysiącach.

To faktycznie, jak darmo...

Ja zresztą i bez tego mam kilka pomysłów. Na przykład: „Narodowy Szpital Tymczasowy im. Solidarności”. Albo: „Polskie Dzieło Szpitalne Wspólnoty i Porozumienia” – to takie bardziej w stylu Jana Pawła II.

I ty to wszystko wymyśliłeś sam z siebie, bezpłatnie?

Tak.

Widzę przed tobą wielką karierę w marketingu narracyjnym. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kiedyś Trybunał Konstytucyjny zabezpieczał przestrzeganie konstytucji. Teraz »zabezpiecza« łamanie praw kobiet”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

Nie mamy dobrych wieści. Może słyszeliście o niejawnym rządowym szacunkach, wedle których szkuje się 15 tys. zakażeń koronawirusem dziennie? Cóż, mamy nieco bardziej niejawne szacunki, nieco bardziej wprost z rządu. Wedle nich szkuje się 35–40 tys. zakażeń dziennie, zanim nadejdą święta.

Żli ludzie rozpowiadali, że SWP (szeregowy wicepremier) Jarosław Kaczyński trafił na kwarantannę, gdyż z osobnikami zarażonymi zetknął się poprzez Moskala. Wiecie, tego młodziaka na krzywej wznoszącej. Rozumiemy ludzi, którzy uważają, że w Polsce wszystko, co złe, dzieje się przez Moskali lub Niemców, ale dementujemy te plotki. Osobą, przez którą Kaczyński SWP trafił na kwarantannę, był niejaki poseł Michał Jach, szef Sejmowej Komisji Obrony Narodowej.

Równie wredne plotki roznosili źli ludzie próbujący kojarzyć ze sobą bliskie czasowo kwarantanny: Kaczyńskiego SWP oraz ministra obrony Mariusza Błaszczaka. Wyciągając z tego daleko idący wniosek, że to Mariusz naraził prezesa. Pudło – z dobrze poinformowanych źródeł wiemy, że Błaszczak trafił na kwarantannę z powodu kontaktu zupełnie innego niż Jach i innego niż SWP.

Wiemy wreszcie, co jest najważniejszym punktem walki z koronawirusem w agencji Rafcia Trzaskowskiego, znanego też jako Czajkowski. Jest to wspólna lista opozycji w wyborach. Lekarze są nieco zaskoczeni, ale podobno niektórzy uważają, że to ma sens, że gdyby była jedna lista opozycji, to w Polsce wszyscy byłiby zdrowi, szczęśliwi i bogaci, a koronawirus nigdy nie wychyliłby nosa z Chin. Sarkazm sarkazmem, ale podejrzewamy, że gdyby jakiś lekarz myślał tak serio, to nazywałby się Tomasz Grodzki.

Apropos Senatu. W Peezelu narasta przekonanie, że skoro bez zielonych braci większości w Senacie nie ma ani PiS, ani Eine Totalopposition, to Peezel powinien mieć marszałka. Najbardziej chciałby nim być Piotr Zgorzelski. W tej sprawie sondowano PiS. Kaczyści nie są jednak szczęśliwi. „Po Grodzkim to przynajmniej zawsze



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

wiadomo, czego się spodziewać – mówił nam jeden kaczysta z Senatu. – A po Zgorzelskim – nigdy nie wiadomo”.

Wspólna Polska – tak nazywać się będzie teraz dawny ruch Nowa Solidarność. A coś, co dotąd nie nazywało się w ogóle, bo nie istniało, będzie się nazywać Nowa Solidarność. Wszystko dlatego, że miszcz Rafał zużył pierwszą nazwę w trzy miesiące. Dlatego – jak opowiadają wiewiórki – spece od wizerunku podpowiedzieli PeŁo, że na ruch obywatelski potrzebna jest nowa nazwa, a Nową Solidarność należy wycofać do drugiego szeregu. Ciekawi nas, co podpowiedzą spece, kiedy Rafcio w trzy miesiące zużyje nazwę Wspólna Polska.

Wpełni rozumiemy nie tylko nazwę Wspólna Polska i jej etymologię. Chodzi o to, żeby coś, co było dotąd tylko czyjeś, było teraz bardziej wspólne. Na przykład sprawa Romana G. i Ryszarda K. Zdaniem CBA pracowali ciężko nad tym, żeby to, co było tylko Polnordu, było bardziej wspólne. Trzeba to docenić. A na

przykład Lolo Pindolo Sławek N. to nawet prowadził akcję Wspólna Ukraina.

Musimy teraz dodać do długiej kolekcji ksywek Rafcia nową: Rafał ze Wspólnej. Pamiętacie, jak zaczął się ten serial? „Przeszło dwadzieścia lat temu w pewnym sierocińcu splotły się losy siedmiorga dzieci”. Oczywiście są pewne różnice. Owszem, PeŁo powstała niemal 20 lat temu, ale zaczęło się od trójki, a nie od siódemki. Co więcej, Rafcio jest już z drugiego pokolenia „Na Wspólnej”, a nie z oryginalnej załogi. Pozostaje pytanie, kto w prawdziwym życiu odegrał rolę Wiktora, który dał im wszystkim wspólny dom. Wychodzi na to, że inicjator budowy PeŁo, generał Gromosław Czempiński.

Ważna wiadomość. Niektórzy zastanawiają się, jak traktować zapowiedzi mec. Jakuba Wendego, wedle którego mec. Giertych przejdzie badania toksykologiczne, ale za granicą. Żeby sprawdzić, czy go CBA nie otruło podczas zatrzymania. Otóż wielu zastanawia się, za którą granicą. Odpowiadamy: za granicą zdrowego rozsądku.

Apropos Giertycha. Zupełnie nas nie zdziwiła informacja, że w kontakcie z rozmaitymi firmami-krzakami miał posługiwać się od lat pseudonimem Jacek Krzesiński. Roman uwielbia pseudonimy. Za młodu na przykład, zdaniem złych ludzi, pod pseudonimem Roman Bertowski wydał antyutopijną powieść fantastyczną „Za błękitną kurtyną”. Roman się wypiera, ale my czytaliśmy (i to nieraz), więc wiemy lepiej. Te piękne zdania o gejowskiej, eutanazyjnej, aborcyjnej, zdegenerowanej totalitarnej Unii Europejskiej gnębiące młodych, szczupłych, pięknych patriotów z Polski... To musiał być Roman, bo Krzysiu Bosak miał wtedy dopiero 14 lat.

Wracając do CBA, nazywanego w wewnętrznych kręgach „Abecadłem”. Po tym, jak sprawdziły się nasze doniesienia zapowiadające wielki tydzień tej służby, którymi poprzedziliśmy dni niesławny Romana i Ryszarda, liczni czytelnicy pytają: „Co dalej?”. Odpowiadamy: teraz będzie głośno o transporcie publicznym, nie tylko w kontekście Sławka N. (choć jego też). Pojawiają się jednak nowe, znane nazwiska. W końcu dlaczego „Abecadło” miało być ograniczać tylko do odcinków, których sponsorami są literki G., K. czy N.? © Wszelkie prawa zastrzeżone

Polskie prawo a konwencja stambulska

Polskie prawo chroni kobiety przed przemocą lepiej niż konwencja stambulska – podkreślał w mediach minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, zapowiadając rozpoczęcie formalnych prac nad wypowiedzeniem tzw. konwencji stambulskiej, którą w 2015 r. ratyfikował prezydent Bronisław Komorowski.

Te słowa wywołały prawdziwą burzę w środowiskach popierających ideologię błędnie pojmowanej wolności i propagujące równość w rozumieniu genderowskim. Tymczasem argumenty, mające ukazywać konwencję jako jedyną i najlepszą metodę przeciwdziałania przemocy w rodzinie i przemocy wobec kobiet w szczególności, są z gruntu fałszywe. Konwencja budzi bardzo uzasadnione wątpliwości, które dotyczą kwestii jej niezgodności z polską konstytucją, ideologicznego charakteru, a także błędnej identyfikacji przyczyn przemocy.

GENDER NIE CHRONI OFIAR

Konwencja stambulska – która zawiera m.in. definicję „płci społeczno-kulturowej” – upatruje źródeł przemocy nie w prawdziwych przyczynach – w tym uzależnieniach od narkotyków czy alkoholu oraz w dezintegracji i atomizacji rodziny – lecz w tzw. stereotypach płciowych. Według ideologii stojącej za twórcami zapisów konwencji stambulskiej, aby zwalczać przemoc wobec kobiet, należy więc odłożyć na bok walkę z patologiami społecznymi i skupić się na zmianie patriarchalnej struktury społeczeństwa. Konwencja nakazuje więc m.in. wykorzenianie „tradycji, zwyczajów i stereotypów” dotyczących ról męskich i żeńskich. Jej zwolennicy krytykują także „silne poszanowanie dla tradycyjnej rodziny” i „konsekwent-



FOT. ADRIAN STOK

Zmodyfikowana w tym roku ustawa o zapobieganiu przemocy domowej zawiera korzystniejsze zapisy z punktu widzenia obywatela Polski niż konwencja stambulska. Bez narzucania genderowskiej ideologii daje praktyczne rozwiązania, które sprawiają, że ofiary przemocy mają realną ochronę, opartą na właściwym zrozumieniu przyczyn takich przestępstw.

ne przypisywanie kobietom tradycyjnych ról płciowych matek i żon”. Parlament Europejski w jednym ze sprawozdań dotyczących realizacji zapisów konwencji stambulskiej wezwał zaś do zniesienia przepisów gwarantujących ochronę życia, uznając je za formę „przemocy wobec kobiet i dziewcząt”.

Tymczasem ideologiczne podejście do kwestii przemocy wobec kobiet jest podwójnie szkodliwe. Po pierwsze, może osłabiać realne działania zmierzające do ich ochrony, a po drugie może wzmacniać zjawisko przemocy. Wystarczy bowiem rzut oka na policyjne statystyki, aby przekonać się, że w regionach, w których przestrzegane są tradycyjne wartości i gdzie silne są zdrowe więzy rodzinne, odnotowuje się mniej przestępstw, w tym także mniej przypadków przemocy domowej niż w regionach, w których obserwuje się rozpad tradycyjnej rodziny. Podobną zależność widać w statystykach europejskich. Najczęściej na przemoc skarżą się mieszkanki krajów skandynawskich (46–52 proc.), podczas gdy w Polsce wskaźnik ten wynosi 19 proc. (średnia unijna to 33 proc.).

„Konwencja stambulska mówi o religii jako przyczynie

przemocy wobec kobiet. Chemy wypowiedzieć ten genderowski bełkot ratyfikowany przez PO i PSL” – zapowiedział wiceminister sprawiedliwości Marek Romanowski, zauważając, że przeciw ratyfikacji konwencji stambulskiej opowiedziały się niedawno m.in. parlamenty Węgier i Słowacji.

– Metodą walki z przemocą nie jest uczenie kilkuletnich chłopców, że mogą chodzić w sukienkach i bawić się lalkami. Konwencja stambulska to ratyfikowana przez rząd @Platforma_org i @nowePSL neomarksistowska propaganda, która przewraca do góry nogami nasz świat wartości – zauważył minister Romanowski.

REALNA POMOC W MIEJSCIE IDEOLOGII

Konwencja stambulska – wbrew temu, co twierdzą jej zwolennicy – nie zawiera norm prawnych oraz rozwiązań, które nie byłyby stosowane w Polsce. Przepisy prawa karnego od wielu lat przewidują co najmniej taki sam standard ochrony jak ten postulowany w konwencji. Również w praktyce polskie władze prowadzą działania wykraczające ponad jej zapisy.

Polski rząd prowadzi m.in. Krajowy Program Przeciwdzia-

łania Przemocy w Rodzinie na lata 2014–2020. O skuteczne narzędzia do walki z przemocą wobec kobiet i przemocą w rodzinie od lat zabiega również Ministerstwo Sprawiedliwości. 30 kwietnia 2020 r. Sejm niemal jednogłośnie uchwalił przygotowaną w Ministerstwie Sprawiedliwości tzw. ustawę antyprzemocową, która wchodzi w życie już w listopadzie tego roku.

Dzięki znowelizowanym przepisom sprawcy przemocy domowej będą mogli być natychmiast izolowani od swych ofiar. To niezwykle istotna zmiana, ponieważ wcześniej tego typu sprawy ciągnęły się miesiącami i to ofiara, a nie sprawca, musiała szukać nowego schronienia dla siebie i dla swych dzieci. Dzięki nowelizacji przepisów ofiara nie musi już nagle opuszczać własnego domu. Znowelizowane ustawy o policji i żandarmerii wojskowej pozwalają bowiem policjantom na podjęcie decyzji o natychmiastowej eksmisji sprawcy przemocy domowej z zastosowaniem zakazu zbliżania się do ofiar. Nowe prawo połączone jest z bardzo szybką ścieżką kontroli tej decyzji przez sąd. Zapisów tego typu próżno szukać w zdominowanej przez lewicową ideologię konwencji stambulskiej.

W tzw. ustawie antyprzemocowej zawarto również przepisy zwalniające z kosztów sądowych osoby poszkodowane w wyniku przemocy domowej. Ministerstwo Sprawiedliwości pracuje już nad projektami zmian kolejnych ustaw, w tym np. nad zaostrzeniem kar za przestępstwa seksualne, a zwłaszcza za brutalne gwałty.

Dzięki zmianom w prawie obywatelskie Polski już mogą cieszyć się jednym z najwyższych poziomów ochrony w Europie i na świecie, a kolejne przepisy jeszcze bardziej wzmocnią tę kontrolę.



Paweł Lisicki

**Fragment wstępu
do polskiego wydania
książki Taylora R. Marshalla
„Infiltracja. Spisek, który
ma zniszczyć Kościół od środka”**

Każdy, kto próbuje zrozumieć historię Kościoła katolickiego ostatnich kilkudziesięciu lat, staje przed niebywałym wyzwaniem. Musi rozwiązać zagadkę. Musi zmierzyć się z faktem nowym i w dziejach Kościoła nieznanym. Musi odpowiedzieć na pytanie, jak to się stało, że deklarowane intencje i zamiary pomysłodawców Soboru Watykańskiego II tak dramatycznie rozmięły i rozmięły się z jego skutkami. Nigdy jeszcze tak wielka przepaść nie pojawiła się między tym, czego chciano, a tym, co osiągnięto.

ŚMIERTELNA CHOROBA

Od chwili ogłoszenia decyzji o zwołaniu Soboru w 1959 r. przez Jana XXIII zarówno on, jak i jego współpracownicy podkreślali wielkość, mądrość i doniosłość tego zdarzenia. Równie entuzjastycznie spoglądali na niego następcy. Jedni mówili o nowej wiosnie Kościoła, inni widzieli w Soborze nowe Zielone Świątki, Zstąpienie Ducha Świętego. Jednak stwierdzenia te, co stało się szybko widoczne i oczywiste, miały się z faktami. Masowa rezygnacja wiernych z udziału w mszach świętych i innych praktykach religijnych, gwałtowny i dramatyczny spadek liczby powołań, częste przykłady porzucania kapłaństwa – zjawiska te następowały jeszcze w czasie obrad biskupów w Rzymie, chociaż nasiliły się po nich.

Dość powiedzieć, że podczas spotkania w marcu w 2020 r. w Rzymie z papieżem Franciszkiem jeden z francuskich biskupów przyznał, że we Francji są diecezje, gdzie nie ma już ani jednego chrześcijanina! W Niemczech od wielu lat rośnie liczba osób występujących z Kościoła katolickiego – rocznie osiąga ona nawet 200 tys. Podobne zjawiska nie dotyczą tylko kościołów lokalnych za Zachodem, ale wyraźnie są dostrzegane także w Ameryce Południowej. Do tego dochodzi też kryzys pedofilski, wołające o pomstę do Nieba przykłady nadużycia zaufania przez księży, a nawet czasem hierarchów wobec dzieci.



Uderzenie od środka

Uzasadnione jest też podejrzenie, że wśród kościelnej hierarchii działa tzw. homolobby czy też „lawendowa mafia”, sprytnie i przebiegle kryjąca oraz wspierająca siebie siatka homoseksualistów. Wszystko to zjawiska straszne i niszczące autorytet. Badając przejawy życia Kościoła, dochodzi się do wniosku, że mamy do czynienia ze stanem poważnej, śmiertelnej może choroby.

To samo zjawisko występuje nie tylko w życiu wewnętrznym wspólnoty kościelnej, lecz także, a może jeszcze wyraźniej, w stosunkach Kościoła i świata zewnętrznego. Od lat 60. XX w. wszystkie państwa Zachodu krok po kroku wyzbywały się chrześcijańskiego dziedzictwa. W latach 60. zaczęto wprowadzać nowe prawa odnośnie do aborcji, wszędzie dopuszczając, pod różnymi warunkami, zabijanie dzieci poczętych. Jednocześnie ogranicza się lub całkiem znosi warunki, pod którymi wolno było przeprowadzić aborcję, wydłuża się okres jej dopuszczalności, niekiedy aż do dziewiątego miesiąca ciąży. Rośnie presja na to, by prawo do aborcji wpisać do katalogu tzw. praw podstawowych człowieka.

Od lat 90. XX w. kolejne państwa Europy, zaczynając od Holandii i zaraz potem Belgii, znacząco zmieniły też swoje prawodawstwo odnośnie do eutanazji. Wreszcie od początku XXI w. wiele państw zachodnich (17 państw Unii Europejskiej i Stany Zjednoczone) uznało, że zgodnie z prawem związku osób tej samej płci są małżeństwami. Państwa zachodnie nie tylko tworzą zatem prawa pozostające w sprzeczności z odwieczną nauką moralną chrześci-

jaństwa, lecz także dążą do ograniczenia w ogóle praw chrześcijan. W opublikowanym choćby przez wysokiego komisarza ONZ ds. praw człowieka raporcie twierdzi się, że tzw. osoby LGBT+ oraz zwolennicy swobodnej aborcji powinni mieć wpływ na kształt doktryn religijnych wspólnot, których są członkami. Podobnie mówi się, że prawo do wolności religii musi być podporządkowane prawu człowieka do wyboru płci i swobodnej orientacji seksualnej. W praktyce będzie to pociągać nacisk na Kościół, by ten zmienił dotychczasową doktrynę na temat małżeństwa, płci, relacji między kobietą a mężczyzną. Takich przykładów, wskazujących na wypieranie chrześcijaństwa z przestrzeni publicznej, można by wskazać znacznie więcej.

Dlaczego wszystko dokonało się tak szybko? Zwołując Sobór, mówiono o potrzebie pogłębienia wiary, o odnowie życia Kościoła oraz o znalezieniu lepszego, trafniejszego, współczesnego języka, który pozwoliłby niezmienną treść katolicyzmu przekazać człowiekowi współczesnemu. Deklarowane cele były dwa: wzmocnienie wiary wewnątrz wspólnoty kościelnej i doprowadzenie do Chrystusa większej liczby ludzi. Nie ma wątpliwości, że żadnego z tych celów nie osiągnięto. Gorzej. Zarówno jeśli chodzi o wewnętrzne życie wspólnoty kościelnej, jak i o relacje ze światem nastąpiła, gotów jestem powiedzieć, prawdziwa katastrofa. Dechrystianizacja przyspieszyła jak nigdy wcześniej.

Co ciekawe, pomimo tego kolejni papieże oraz ich doradcy z uporem i sta-



Papież Jan XXIII przewodniczy otwarciu sesji Soboru Watykańskiego II, Watykan, październik 1962 r.

FOT. NEWSCOM/PAP

nowocześnie twierdzą, że od Soboru i jego dokumentów nie ma odwrotu. To oficjalne stanowisko doskonale zostało ostatnio wyrażone przez kard. Roberta Saraha, człowieka cieszącego się nie tylko autorytetem, lecz także wiedzą. „Czas odrzucić hermeneutykę zerwania, która przerywa przekazywanie dziedzictwa, a także rozbija jedność Ciała Chrystusa, którym jest Kościół”. Wyraża to jasno Joseph Ratzinger w książce „Raport o stanie wiary”: „Bronić dzisiaj prawdziwej Tradycji Kościoła, oznaczać bronić Soboru. [...] Dzisiaj Kościół to dokumenty Vaticanum II w pełnym ich autentyczności. Powinniśmy je przyjąć bez zastrzeżeń, które byłyby równoznaczne z odrzuceniem [...]”. Jest to teza zaskakująca. I, trudno tego nie zauważyć, całkowicie nielogiczna. Jak bowiem można domagać się bezwarunkowego i bez zastrzeżeń przyjęcia tekstów Soboru, skoro sam papież Paweł VI mówił, że miał on charakter duszpasterski i nie przyjął żadnych uroczystości zdefiniowanych dogmatów?

SAM SOBÓR TO PROBLEM

Wszystko to razem tłumaczy, dlaczego rośnie liczba katolików, których dotychczasowe tłumaczenie kryzysu przez hierarchów Kościoła nie przekonuje. Coraz mniej zwolenników ma charakterystyczna dla papieży posoborowych teza, najpewniej wyrażana przez Benedykta XVI, „Sobór tak, wypaczenia nie”. W Polsce, ze względu na przywiązanie do osoby Jana Pawła II i jego jednoznaczne poparcie dla „odnowy soborowej”, krytyków Soboru jest wciąż niewielu. Odwrotnie jest w Stanach Zjedno-

czonych. Tam wspólnoty tradycjonalistów katolickich, programowo odrzucających optymistyczne stanowisko hierarchii kościelnej, są liczne i coraz bardziej wpływowe. Wielu z nich sądzi, że prawdziwym problemem nie jest „duch Soboru” lub rozwój Kościoła po Soborze, ale właśnie sam Sobór i jego dokumenty, a przynajmniej ich istotne fragmenty. Z tych grup wywodzi się także Taylor Marshall. To katolik tradycyjny, nawrócony z protestantyzmu, autor kilku rozpraw teologicznych, powieści, a ostatnio, teraz wydanej w Polsce, książki „Infiltracja. Spisek, który ma zniszczyć Kościół od środka”. Już sam tytuł mówi za siebie i wskazuje na główną tezę.

Według amerykańskiego autora prawdziwym źródłem kryzysu Kościoła katolickiego jest to, że jego najwyższe władze, być może z obecnym papieżem na czele, zostały przejęte przez wrogów katolicyzmu. Sytuacja przypominałaby to, co w relacjach między dwoma firmami nazywa się w języku biznesu „wrogim przejęciem”. Dochodzi do niego wtedy, kiedy konkurencyjna firma obsadza swoimi ludźmi potajemnie kierownictwo firmy konkurentki, następnie zaś ludzie ci przez swoje decyzje niszczą własne przedsiębiorstwo. Albo inna analogia. Wyobraźmy sobie, że podczas wojny dwóch państw jednemu udaje się w sztabie generalnym drugiego umieścić swoich ludzi, a nawet doprowadzić do tego, żeby ich agent stał się wodzem. To prosty przepis na klęskę. W pewnym sensie, twierdzi Marshall, z podobnym zjawiskiem mamy do czynienia w Kościele. Od lat już do jego hierarchii przeniknęli wrogowie. Ich celem jest zniszczenie Kościoła jako organizmu nadprzyrodzonego i całkowite dostosowanie do wymagań świata. To, co większość obserwatorów nazywa kryzysem Kościoła, a co starałem się w prawdziwie telegraficznym skrócie opisać na początku, wszystkie te znamiona słabości, paraliżu, niezdecydowania, byłoby w istocie realizacją świadomie przyjętego i konsekwentnie wdrażanego planu. Na szczytach Kościoła znaleźli się jego wrogowie. Działają potajemnie i w maskach, co czyni tylko dokonywane przez nich szkody większymi. Wewnętrzna i zewnętrzna choroba katolicyzmu nie jest zatem ani efektem powszechnych przemian społecznych, obyczajowych i kulturowych, ani błę-

dów ludzkich, ale właśnie infiltracji. To za jej sprawą choroba się pogłębia. W Kościele wciąż pozostają życiodajne siły, ale są one coraz słabsze. Władza w coraz większym stopniu znajduje się w rękach tych, którzy sprytnie i przebiegle używają jej po to, by w stosownym momencie pożegnać się z publicznie nauczaną doktryną.

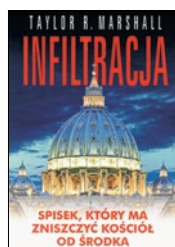
Nie da się ukryć, że teza to mocna, i nic dziwnego, że w USA, gdzie książka ukazała się przed rokiem, wywołała znaczącą dyskusję, tym bardziej że wstęp do niej napisał bp Athanasius Schneider, biskup pomocniczy w Nur Sultan w Kazachstanie, jeden z przywódców wewnątrzkościelnego ruchu tradycjonalistycznego. Dla polskiego czytelnika szokiem będzie to, że w swojej książce Marshall opisuje zdarzenia i bohaterów ostatnich dziesięcioleci w sposób całkiem odmienny od powszechnie nad Wisłą przyjętego. Zamiast „dobrego papieża Jana”

pisze o papieżu, który zręcznymi posunięciami oddał kontrolę nad Soborem w ręce liberałów. To Jan XXIII, wskazuje Marshall, najpierw okazał wprost nieposłuszeństwo słowom Matki Bożej z Fatimy, otwierając jej przesłanie rok przed wyznaczonym czasem, a następnie z obojętnością odesłał je do czeluści archiwów Watykanu. Paweł VI jawi się na kartach tej książki jako zręczny rewolucjonista, który od początku próbował, ostatecznie skutecznie, przejąć kontrolę nad umierającym Piusem XII i zapewnić zwycięstwo nowej, lewicowej linii Kościoła. Również uważani za wielkich, przenikliwych i prawdziwie głębokich teologów – profesoro-

wie Yves Congar, Henri de Lubac czy Karl Rahner – potraktowani zostali przez autora surowo i bez żadnej taryfy ulgowej.

MASONI

Najważniejsze pytanie brzmi oczywiście tak: Czy ta książka, a ściślej mówiąc, czy główna jej teza jest prawdziwa? Czy faktycznie od lat, zdaniem Marshalla od ponad wieku, do Kościoła stopniowo przenikają z zewnątrz jego wrogowie, którzy później, działając już we wnętrzu i od środka, rozsadzają go i niszczą, powoli przekształcając mistyczne Ciała Chrystusa w jedną z wielu agend ONZ? Nie da się ukryć, że teza ta ma swoje liczne zalety. Pierwszą i najważniejszą jest to, że tłumaczyłaby ona to, co pozornie nie do wytłumaczenia. Wyjaśniałaby ów niezwykle upór, by za wszelką



**TAYLOR.
R. MARSHALL
„INFILTRACJA.
SPISEK, KTÓRY
MA ZNISZCZYĆ
KOŚCIÓŁ
OD ŚRODKA”
AROMAT SŁOWA
2020**

■ cenę trwać przy Soborze mimo jego oplakanych skutków. Tłumaczyłaby skalę i głębię kryzysu katolicyzmu. Pozwalałaby zrozumieć, co się naprawdę stało.

Marshall opiera swoją tezę na kilku podstawach. Po pierwsze, odwołuje się do tajemnych dokumentów loży masońskiej „Alta Vendita”. Rzeczywiście, tekst ten, czytany z perspektywy czasu, robi mocne wrażenie. „Czas powstania »Alta Vendita« przypada na lata pontyfikatu papieża Grzegorza XVI, który trwał od 1831 do 1846 r.” – pisze Marshall. W 1859 r. został on opublikowany na wyraźne życzenie Piusa IX. Tekst ten zawiera swoisty scenariusz przejścia przez masonerię Kościoła katolickiego. Precyzyjny plan infiltracji, polegający na systematycznym wprowadzaniu na wyższe urzędy kościelne adeptów sztuki wolnomularskiej. W odpowiednim czasie liczba ich będzie na tyle duża, że przejmą kontrolę nad Kościołem i osadzą na tronie papieskim swojego człowieka. „Papież, kimkolwiek był, nigdy nie stanie się członkiem tajnych stowarzyszeń: bo to właśnie ich zadaniem jest zrobienie pierwszego kroku w kierunku Kościoła, aby zawładnąć nim i papieżem. Zadanie, którego się podejmujemy, to praca nie na dzień, miesiąc czy rok; to może trwać kilka lat, może nawet całe stulecie; ale w naszych szeregach żołnierze giną, a bitwa trwa dalej” – czytamy w cytowanym przez Marshalla dokumencie. Cel był jasny: „Masoni walczyli o panteistyczne ubóstwienie istot ludzkich, tak jak Szatan walczył o panteistyczne ubóstwienie istot anielskich” – pisze amerykański autor. Środkiem miało być zapewnienie sobie papieża „wymaganej miary”. „Należy go najpierw ukształtować, bo ten papież będzie zasługiwał na panowanie przez pokolenie, panowanie, o jakim marzymy. Zostawmy na boku starców i ludzi dojrzałych; idźmy do młodych, a jeśli to możliwe, to nawet do dzieci”.

OBJAWIENIA

Po drugie, Marshall wskazuje na objawienia prywatne, w których Matka Boża zapowiedziała wielki kryzys Kościoła. Dla wielu współczesnych historyków mają one ograniczone znaczenie. Większość historyków przy ocenie faktów wyznaje coś w rodzaju praktycznego agnostycyzmu: wola Boża może się przejawiać w dziejach jedynie za pośrednictwem procesów i zdarzeń ludzkich. Ta postawa utrudnia jednak zrozumienie całości spłotu zdarzeń. I to szczególnie wówczas, gdy założymy, jak to robią wierzący katolicy, że historia nie jest sama w sobie autonomicznym procesem

przypadkowych, pozbawionych znaczenia faktów, ale serią zdarzeń, nad którymi czuwa Boża mądrość. Jeśli dzieje to pole bitwy o dusze, miejsce starcia mocy Bożych z mocami ciemności, to walka nie przebiega jedynie wewnątrz jednostkowego ducha, w głębi poszczególnych dusz, lecz także w przestrzeni publicznej, historycznej, dziejowej. Gdyby zatem Kościołowi jako organizmowi życia nadprzyrodzonego faktycznie zagrażała inwazja mocy zła, duchów ciemności, to rzeczą naturalną byłoby, że Kościół zostałby przed tym ostrzeżony. Jeśli taką rolę odgrywały w przeszłości w stosunku do Izraela proroctwa posłańców Jahwe, to dziś w relacji do nowego Izraela, Kościoła mogą być nimi prywatne objawienia, których autentyczność została przez kościelny autorytet potwierdzona.

Marshall nie boi się zatem odwoływać do trzech takich prywatnych objawień, dwóch oficjalnie uznanych i jednego, o którym wiemy z przekazów prywatnych osób. Są to po pierwsze objawienie Matki Bożej z La Salette, po drugie objawienia w Fatimie, szczególnie ten fragment, który nie dotarł do wiadomości opinii publicznej. Trzecie ostrzeżenie miał otrzymać papież Leon XIII. Niezwykle dramatycznie brzmią słowa przekazane przez Melanię Calvat: „Rzym zatraci wiarę i zostanie stolicą Antychrysta”. Jednak, jak zauważa sam Marshall, słowa te nie znalazły się w pierwszym napisanym w 1851 r. świadectwie. Pojawiły się później, w wersji z 1879 r., kiedy to Melania Calvat pisała, że „w roku 1864 Lucyfer z wielką liczbą złych duchów zostanie wypuszczony z piekła. Stopniowo wyrugują oni wiarę”.

Drugim świadectwem wskazującym na atak sił zła na Kościół ma być demoniczna wizja Leona XIII, spisana przez osobistego sekretarza papieża. Według niej Leon miał zobaczyć „wizję złych duchów, które zbierały się w Wiecznym Mieście”. W obronie przed nimi papież ułożył specjalną modlitwę do św. Michała Archanioła. Wreszcie trzecim ostrzeżeniem miał być zapis w nieznanym do tej pory ogółowi części trzeciej tajemnicy fatimskiej. Marshall powołuje się na wypowiedzi kilku kardynałów, z których wynika, że w trzeciej tajemnicy Matka Boża „ostrzegała nas przed apostazją w Kościele”, która „zacznie się od samej góry”. Słów tych, mimo wszystkich zastrzeżeń i ostrożności, z jaką trzeba podchodzić do zapisów objawień prywatnych, lekceważyć nie należy. Czy człowiek wierzący miałby przyjąć, że Bóg z obojętnością, niczym wielki, odległy architekt Wszechświata,

będzie spoglądał na odstępstwo i zdradę swojego Kościoła?

AKCJA KOMUNISTÓW

Kolejnym argumentem na rzecz tezy o infiltracji od środka są zeznania byłej komunistycznej agentki i byłego agenta. Wynika z nich, że „zaczynając od lat 30. XX w. Rosjanie rozpoczęli tajną infiltrację katolickich seminariów duchownych z zamiarem wprowadzenia swoich ludzi do duchowieństwa po to, aby zostawali księżmi, biskupami i kardynałami, a może nawet papieżami”. Marshall powołuje się na zeznania przed amerykańską Izbą Reprezentantów Belli Dodd, byłej aktywistki Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych. Dzięki spotkaniu z abp. Fultonem J. Sheenem nawróciła się ona w 1952 r. na katolicyzm. Zeznała później, że „w latach 30. udało nam się wprowadzić do stanu duchownego 1100 ludzi z poleceniem zniszczenia Kościoła od środka. Obecnie zajmują oni najwyższe stanowiska w Kościele”. Podobnie twierdził inny były członek Partii Komunistycznej, Manning Johnson. Co więcej, Bella Dodd twierdziła, że „czterech z wprowadzonych przez [komunistów] kapłanów zostało kardynałami”.

Wreszcie niewypowiedzianym wprost, ale realnym argumentem jest to, co niepodważalne: stan Kościoła, fakt, że żaden z papieży po 1962 r. nie przedsięwziął właściwej, katolickiej reformy. Jak w kalejdoskopie zmieniają się obrazy. Píše Marshall: „Nie ma wątpliwości, że papież Jan XXIII i jego faworyci: Bugnini, Bea i Montini przygotowali zawczasu program zaprowadzania w Kościele optymistycznego nowego porządku, czyli novus ordo. Bugnini stworzył novus ordo w liturgii; Bea novus ordo ekumenizmu i wyższości sumienia nad dogmatem, a Montini zostanie papieżem Novus Ordo”. Tak samo, dowodzi niezbicie Marshall, tuż przed Soborem doszło do kilku spotkań kard. Montiniego, za pośrednictwem Jacquesa Maritaina, z teoretykiem rewolucji, Saulem Alinskim. Tym samym, który był prawdziwym guru dla młodych komunizujących Amerykanów, takich jak Hillary Clinton czy Barack Obama.

CZY TO TEN PAPIEŻ?

Jest też faktem, że wielu teologów, których w czasach Piusa XII uznawano za niebezpiecznych i w związku z tym nałożono na nich kary kościelne, dzięki decyzjom Jana XXIII i Pawła VI stało się autorytatywnymi nauczycielami wiary. „Wymienieni teologowie nie tylko wracali do pierwotne-

go chrześcijaństwa, lecz także wymazywali tradycyjne katolickie rozróżnienie między łaską a naturą. Starali się uczynić wszystko łaską, a robiąc to, w rzeczywistości redukowali wszystko do natury; w ten sposób naturalne tęsknoty każdej istoty ludzkiej stawały się środkiem do zbawienia – pokazuje Marshall. I na koniec, *last but not least*, argumentem na rzecz infiltracji jest w oczach amerykańskiego teologa wybór i pontyfikat papieża Franciszka. Według Marshalla jest to właśnie ten wycieczkiwany od czasów masonów deklaracji „Alta Vendita” papież, ten, który ma zjednoczyć Kościół z ludzkością i wprząc mistyczne Ciało Chrystusa w rydwan postępu, nowego światowego porządku, rządu światowego. Jeśli wziąć pod uwagę wszystkie zgromadzone przez Marshalla fakty, to jego twierdzenie wydaje się całkiem prawdopodobne. Infiltracja może być istotną przyczyną choroby i paraliżu Kościoła.

Szkoda jednak, że oprócz licznych celnych spostrzeżeń autor pozwala sobie na mocne i arbitralne hipotezy, które osłabiają jego główne przesłanie. Po pierwsze, sporo miejsca poświęca opowieści o konklawe, które w 1958 r. miało po śmierci Piusa XII wybrać pierwotnie na papieża kard. Giuseppe Siriego z Genui. Miał on zaraz po wyborze wybrać sobie imię Grzegorza XVII, jednak wskutek bliżej nieokreślonych groźb i nacisków, musiał ustąpić. Opowieść ta jest pasjonująca, tyle że nie ma żadnego oparcia w faktach. Przede wszystkim nigdy nie potwierdził jej żaden z uczestniczących w konklawe kardynałów, podobnie jak zresztą sam kard. Siri. Do końca życia zachowywał całkowitą wierność Pawłowi VI, czego doskonałym świadectwem jest jego książka „Getsemani”. Wprawdzie Marshall pisze, że chodzi tu jedynie o domniemanie. Jednak dlaczego poświęca mu tyle miejsca?

Po drugie, autor bardzo krytycznie wypowiada się na temat zachowania Piusa XI i podpisania przez niego paktów laterańskich. Stwierdza wręcz, że „Mussolini kupił Kościół katolicki bardzo tanio: za 100 mln dol. i kilka ustępstw, z których później można się było wycofać i właściwie się wycofano”. Podpisując pakt z Duce, Pius XI, zdaniem amerykańskiego autora, popełnił dramatyczny błąd. Takie rzeczy łatwo się pisze, znacznie trudniej uzasadnia. Bo niby co miał zrobić Pius XI? Nadal uważać siebie za więźnia w Watykanie? Dalej bojkotować włoskie państwo i włoskich katolików? A może wezwać katolików do walki z „czarnymi koszulami”? Wszystko to, jeśli weźmie się pod uwagę kontekst i konieczności

wynikające z układu sił, jest całkiem nierealistyczne. Konkretnie warunki, na których można było podpisać umowę, zapewniały Kościołowi ogromny wpływ na społeczeństwo. Po 1945 r. pozwoliło to Piusowi XII nie dopuścić komunistów, silnych jak nigdzie w Europie, do rządów.

Z podobnie wielką dezynwolturą Marshall prowadzi swoje śledztwo w sprawie rzekomych agentów w kolegium kardynalskim. Mimo że nie może odwołać się do konkretnych dokumentów, wskazujących imiona i nazwiska, szuka ich sam. Przywołuje podaną przez Bellę Dodd liczbę i stwierdza: „Do najbardziej prawdopodobnych kandydatów na agentów należą kard. Spellman (sodomita i eklezjalny patron młodego Theodore’a McCarricka), kard. Lercaro (główny liberalny prezydent do urzędu papieża podczas konklawe w 1963 roku, które wybrało kard. Montiniego) oraz kard. Frings (ważna postać wśród delegacji niemieckiej na Sobór Watykański II oraz protektor młodego Josepha Ratzingera)”. Trudno uznać to za poważne śledztwo. Na tej zasadzie każdego można przypisać wszędzie. Tak samo Marshall nie ma wątpliwości co do tego, że masonem był abp Annibale Bugnini, architekt reformy mszy. Jednak autor najnowszej i jedynej biografii arcybiskupa, francuski pisarz Yves Chiron, jest znacznie bardziej powściągliwy i wskazuje, że oskarżenia o przynależność do wolnomularstwa mają słabe podstawy.

Podobnym brakiem krytycyzmu wykazuje się Marshall, pisząc o Sankt Gallen. Zamiast ograniczyć się do opisu działań grupy kardynałów i biskupów, przygotowujących tam wybór Franciszka, snuje dodatkowo dość osobliwe rozważania na temat tego miasta. To chyba najślabsza część książki. Autor zadaje pytanie: „Dlaczego wybrano Sankt Gallen?”, ale w ogóle nie udowadnia, że ktoś je faktycznie wybrał. Ot, po prostu znajdował się tam życzliwy postępowcom bp Ivo Fuerer. Dorabianie do tego dość powikłanej historii, która miała pokazać Sankt Gallen jako miejsce narodzin komunizmu, działań Lenina, miejsce spotkań masonów i satanistów spod znaku Crowleya prowadzi donikąd. Tym bardziej że ten ostatni miał działać 50 km od Sankt Gallen. Pytań bez odpowiedzi po lekturze tej książki jest więcej. Nie wiadomo, czy tymi, którzy dokonują aktów infiltracji, są masoni czy komuniści? Dlaczego choćby wprowadzeni przez komunistów w szeregi kleru agenci nie porzucili Kościoła po 1989 r., kiedy zniknęli ich protektorzy? Czy istnieje konkretna grupa, która stałaby za taką operacją, jeden ośrodek, który by

nią zarządzał? Czy wprowadzani do władz Kościoła zdraycy wiedzą o sobie nawzajem?

Wiem, że łatwo stawiać takie zarzuty w sytuacji, kiedy nie mamy dostępu do źródeł i archiwów. Marshall mógłby przywołać w tym kontekście postać innego ojca Soboru, Gregory’ego Bauma, głównego autora „Nostra Aetate”, który dopiero na krótko przed śmiercią opowiedział o tym, że od 1963 r. prowadził aktywne życie jako homoseksualista. Po prostu, żeby zrekonstruować fakty, trzeba odwoływać się również do intuicji. I to właśnie robi z powodzeniem Marshall. Wszystkie zastrzeżenia zatem nie zmieniają jednego: książkę czyta się jednym tchem. Jest ona uczciwą i bolesną próbą zmierzenia się z kryzysem katolicyzmu. Sam autor jasno pisze, jak należy ją odczytywać: „Czytelniku, jeżeli nie wierzysz w istnienie Szatana, to odłóż tę książkę. Co więcej, jeżeli uważasz, że Kościół katolicki można oczyścić, jedynie unowocześniając zasady, politykę i procedury kanoniczne, to znajdziesz niewielką pociechę w proponowanych w tej książce historycznej diagnozie i środkach leczniczych”. Następnie zaś Marshall cytuje fragment Listu św. Pawła do Efezjan: „Nie toczymy bowiem walki przeciw krwi i ciału, lecz przeciw Zwierzchnościom, przeciw Władzom, przeciw rządcom świata tych ciemności, przeciw duchowym pierwiastkom zła na wyżynach niebieskich” (Ef 6, 12). To prawda, kryzys Kościoła katolickiego ma związek z wtargnięciem w jego szeregi „rządców świata tych ciemności”.

W książce Marshalla, niczym w księdze Hioba lub romantycznym dramacie, te dwa plany wydarzeń, nadprzyrodzony, na którym archanioł Michał zmagą się z Szatanem, i przyrodzony, gdzie wrogowie Kościoła chcą go przejąć za pomocą intryg, łączą się ze sobą. Nie należy zatem popełniać błędów i nie należy traktować słowa „infiltracja” zbyt dosłownie. Jeśli przyjąć to określenie w sensie metaforycznym, jako opis diabelskiego scenariusza przejmowania Kościoła, to amerykański autor pokazał ważną prawdę. Niezależnie od tego, w jakim stopniu nowa teologia Kościoła jest dziełem agentów wpływu, a w jakim kunktatorstwa, ignorancji, naiwności i chęci znalezienia świętego spokoju, rozbroiła ona Kościół. Apostazja nigdy nie była równie powszechna. Nigdy jeszcze słowa Jezusa, pytającego, czy Syn Człowieczy znajdzie wiarę na ziemi, gdy przyjdzie, nie były równie pełne wyrzutu. Kto chce się o tym przekonać, ten musi sięgnąć po książkę Marshalla.

To przede wszystkim geje są agresorami w Kościele



Z ks. prof. Dariuszem Oko
rozmawia Tomasz Rowiński

TOMASZ ROWIŃSKI: Jednym z rozdziałów nowej książki księdza profesora, zatytułowanej „Lewandowska mafia. Z papieżami i biskupami przeciw homoklikom w Kościele”, jest przełomowy i szeroko komentowany tekst opublikowany w 2012 r. – „Z papieżem przeciw homoherezi”. Co księdza profesora skłoniło wtedy do napisania tego eseju?

KS. PROF. DARIUSZ OKO: Tematem zacząłem się zajmować w roku 2004, gdy w Krakowie na jednym ze spotkań z katolicką młodzieżą akademicką zobaczyłem, że propaganda homoseksualna zaczyna także na nią oddziaływać. Niedługo potem napisałem artykuł pt. „Dzieśięć argumentów przeciw”, który został opublikowany na łamach „Gazety Wyborczej”. Wiele osób pytało mnie wtedy, czy nie napisałbym o problemie homoseksualnym w samym Kościele katolickim. Nie wiedziałem wtedy o tym praktycznie nic. Zacząłem otrzymywać jednak coraz więcej wiarygodnych materiałów o praktykach homoseksualnych w Kościele. Od różnych, niepowiązanych ze sobą osób dowiadywałem się o tych samych historiach, tych samych sprawach – wyglądało to wiarygodnie. Homoseksualizm wielu księży okazał się nie tylko legendą. Istnienie homoseksualnej infiltracji w Kościele potwierdził też papież Benedykt XVI, co było naprawdę ważnym głosem. W efekcie tego wszystkiego – także dzięki odwadze mojego starszego kolegi ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, który w archiwach znajdował coraz więcej wątków homoseksualnych – napisałem tekst, o który pan pyta. Przygotowywałem go pieczołowicie, mając świadomość, jak ważny, a jednocześnie ryzykowny medialnie temat podejmuję. Okazałem się jednym z pierwszych księży, którzy podjęli problem klik homoseksualnych



Ksiądz profesor Dariusz Oko jako jeden z pierwszych księży podjął problem klik homoseksualnych w Kościele katolickim. FOT. TOMASZ HOŁOD/POLSKA PRESS/EAST NEWS

i homoherezji. Mój esej został przetłumaczony na wiele języków i otworzył dyskusję o lawendowej mafii w Kościele katolickim.

Co ksiądz profesor zobaczył, gdy zbliżył się do problemu homoseksualnych księży?

Zobaczyłem, jak przenikają do wnętrza Kościoła, jak się wspierają, jak niszczą każdego, kto im stanie na drodze, kto nie należy do ich kliki. Zobaczyłem, jak nadużywają swojej pozycji i jak, najzwyczajniej w świecie, wiele zła czynią. Zobaczyłem, że oprócz wrogów zewnętrznych, ideologii, które atakują Kościół – takich jak ideologia gender – jest też straszny wróg wewnętrzny. Ci duchowni robią rzecz najstraszniejszą, niszczą Rzeczą Świętą, niszczą Kościół, który ma służyć zbawieniu ludzi. Można powiedzieć, że przez swoje grzeszne praktyki – nie sporadyczne upadki, ale całe złe życie i postępowanie – zamieniają go w miejsce piekielne. To jest tak straszne, że wcale nie dziwię się, iż wielu katolików nie dowierzało jeszcze jakiś czas temu, gdy ks. Isakowicz-Zaleski, ks. prof. Andrzej Kobyliński i ja zaczęliśmy mówić o wpływach homoseksualistów w Kościele. Mówimy o ludziach, którzy pod sutanną czy habitem ukrywają całkowicie niemoralny sposób życia i faktycznie negują nauczanie Kościoła. W grzechach ciężkich odprawiają sakramenty.

Czy problem homoseksualnej infiltracji jest tylko problemem naszych czasów?

Dane historyczne są na ten temat raczej skąpe, ponieważ te kliki się dobrze ukrywały. Możemy jednak mówić, że w IV w. problem już został zauważony, zaczął od czasu do czasu pojawiać się w dokumentach synodów. Mamy też „Księgę Gomory” św. Piotra Damiani z XI w., która traktuje o tym problemie. Nie ukrywam, że staram się swoją książką – po tysiącu lat – nawiązać do tamtego ważnego dzieła.

A w Polsce? Cząsy komunizmu to już czas kształtowania się homolobby?

Mamy sprawę kard. Henryka Gulbinowicza. Wiedziałem o niej wcześniej, niż to zostało w końcu ujawnione. Zresztą nie tylko ja. Każdy, kto znał nieco diecezję wrocławską, wiedział, co się tam dzieje. Ujawniane dokumenty pokazują, że znaczna liczba księży współpracowała ze służbami komunistycznymi dlatego,

że zostali przytłapani na homoseksualizmie. Możemy mówić o swoistej spirali zła. Najpierw ci księża dopuszczali się grzechów ciężkich, całkiem sprzecznych z życiem kapłańskim, a jeśli potem nie potrafili oprzeć się szantażowi, to popadali w dalsze grzechy związane z donoszeniem, służyli stronie diabelskiej. Jeżeli kardynał homoseksualista przez dziesięć lat pozostawał aktywny, to on zatruł diecezję i wypromował takich ludzi jak choćby bp Edward Janiak z Kalisza. Ustawił też całe duchowieństwo w przekonaniu, że to właśnie homoseksualiści rządzą, w kurii i w najlepszych parafiach, a każdy, kto się ośmieli im przeciwstawić, zostanie zniszczony, tak jak ks. dr Piotr Górski, rektor kaliskiego seminarium.

Oprócz wrogów zewnętrznych, ideologii, które atakują Kościół – takich jak ideologia gender – jest też straszny wróg wewnętrzny. Ci duchowni robią rzecz najstraszniejszą, niszczą Rzeczą Świętą, niszczą Kościół, który ma służyć zbawieniu ludzi

Dlaczego w Kościele mamy nadreprezentację homoseksualistów, a miejscami wręcz ich rządy?

Homoseksualiści w społeczeństwach to ok. 1–2 proc., ale łatwo przewidzieć, że w środowiskach czysto męskich ten odsetek będzie większy. Homoseksualiści szukają takich środowisk jak odpowiedniego dla siebie „biotopu”. Podobnie jak pedofile szukają środowisk dziecięcych, czasem nawet wybierają zawody związane z opieką nad dziećmi, takie jak wychowawcy, trenerzy. Oczywiście nie zawsze osoby o skłonnościach homoseksualnych trafiały do seminariów ze złymi intencjami, ale nieraz to środowisko, które w Kościele zastawali, psuło ich ostatecznie. Szacuję, że wśród księży homoseksualiści stanowią na dziś przynajmniej 10 proc. W przeszłości wierzący mężczyźni rozpoznający takie skłonności u siebie mogli skryć się w stanie duchowym, nie rzucając na siebie podejrzania, dlaczego nie zawierają małżeństwa. Do XX w. wybór drogi duchownego wiązał się także z uznaniem – ktoś rezygnował z tak

wielkiego dobra jak małżeństwo i rodzina dla służby Bogu i ludziom. To jest w końcu wielka sprawa, którą doceniano. Oczywiście jeśli homoseksualizm był głównym motywem drogi duchownego, wówczas było to zawsze poważne nadużycie.

Czy to w ogóle powołanie?

Bardzo słabe, od razu zagrożone i będące zagrożeniem. Jest jasne, że gdy ktoś taki trafia do seminarium, zwykle bardzo szybko rozpoznaje się z podobnymi sobie, zaczyna działać pożądanie, które przecież jest w każdym człowieku. Od tego niedaleko do molestowania. Jeszcze gorzej, gdy starsi kapłani czy zakonnicy homoseksualiści dostrzegają takiego młodego człowieka i wciągną go w aktywne życie erotyczne wewnątrz stanu duchownego. To jest katastrofa. Z tego zaraz tworzą się szajki dążące do wzajemnego krycia się i zabezpieczania. To jeden z motywów kierujących homoseksualistami w dążeniu do coraz wyższych godności – bezpieczeństwo własnych praktyk, możliwość dalszego bezwstydnego życia w grzechu i oczywiście środki materialne. Życie rozpustne kosztuje. Homokliki formują ludzie szukający luksusu, którzy nie pójść pracować do trudnej parafii, na misję, gdzieś w miejsca ubogie. Ci ludzie także nieraz po prostu okradają Kościół, bezwstydnie przywłaszczają sobie pieniądze przeznaczone dla biednych. To jest też jedna z ważnych przyczyn, dla których od dziesięć lat nie udaje się uporządkować finansów Watykanu, dla których jest tam jakieś „wieczne” finansowe bagno.

Ksiądz uważa, że dziś homoseksualna infiltracja jest największa w dziejach Kościoła i najbardziej niebezpieczna.

Mamy sytuację, gdy bardzo wielu aktywnych homoseksualistów zajmują ważne stanowiska w Kościele i oni pociągają oraz promują podobnych sobie. Dla własnej wygody, teraz także czasem dla ideologii. Homoseksualny biskup wyrzuci raczej dobrego rektora seminarium niż kleryka-homoseksualistę. Proszę zobaczyć – już poza samym homoseksualizmem – jak bardzo jest to demoralizujące. Przy okazji niszczeni są normalni księża i dobre powołania, zdemoralizowana mniejszość terroryzuje normalną większość. Konflikt na linii homoseksualny biskup-rektor seminarium jest klasyczną sytuacją. Homoseksualiści często mają świadomość, że nie

mogą na stanowisku rektora postawić po prostu jednego ze swoich, bo jest niebezpieczeństwo, że on będzie się rzucał na seminarzystów jak jakiś seksualny drapieżnik i całkiem zniszczy seminarium. Jednocześnie normalny kapłan nie będzie przecież tolerował homoseksualnych zachowań w podległym sobie miejscu formacji. To kazus bp. Edwarda Janiaka, wcześniej w Poznaniu abp. Juliusza Paetza i ks. prof. Tomasza Węclawskiego. Rektor kaliskiego seminarium za sprzeciw wobec wyświęcenia homoseksualnego kleryka został zesłany na odległą parafię. Dochodzą tu jeszcze inne czynniki. Przede wszystkim rozluźnienie, jakie pojawiło się w duchu naiwności, a nawet głupoty posoborowej. Zaczęto przyjmować byle kogo, a nawet zupełnie wprost ludzi, o których wiadomo było, że są homoseksualni. To szczególnie jest widoczne w Stanach Zjednoczonych, gdzie właśnie tą drogą pośród kapłanów zaczął rosnąć udział procentowy homoseksualistów i to tak bardzo, że kapłaństwo katolickie nazywa się tam już „profesją gejowską”. Równocześnie obserwuje się przyspieszony exodus z kapłaństwa normalnych mężczyzn, którzy nie mogą znieść ciągłego poniżania lub molestowania ze strony swoich kolegów lub przełożonych.

Praktyki posoborowe bardzo zaszkodziły Kościołowi w tym względzie?

Trzeba wspomnieć o specyficznej dynamice w sytuacji posoborowej. Wielu ludzi w samym Kościele uwierzyło w orędzie „soboru mediów”, że będzie rychły koniec celibatu, koniec dyscypliny, grzechu itd. W konsekwencji wielu księży czy zakonników występowało ze stanu duchownego i żeniło się lub zaczynało żyć z kobietami. Te wystąpienia dotyczyły jednak mężczyzn heteroseksualnych, homoseksualiści nie mieli powodu, by się ruszać gdziekolwiek, zatem ich procentowy udział w grupie kapłańskiej wzrastał. Więcej, zyskali dostęp do nowych stanowisk, prestiżu, funduszy. Homoseksualiści stali się bez wątpienia promotorami luksusowego chrześcijaństwa, chrześcijaństwa bez moralności, bezobjawowego, bez Krzyża, a zatem i bez Chrystusa, pseudochrześcijaństwa. W Stanach Zjednoczonych większość biskupów jest już lawendowa, a nie zdziwie się, jeśli za 20 lat będą już tylko tacy. To nie jest przypadek, ale efekt

działania systemu, że najważniejsza osoba w amerykańskim Kościele, kard. McCarrick, była prawdziwą homoseksualną bestią, która seryjnie gwałciła chłopców i kleryków. Gdyby nie media, prokuratorzy i ludzie świeccy, nikt by mu w tym w Kościele nie przeszkodził. Jego koledzy dalej by to chronili. Dla znawców problemu jest oczywiste, że podobny udział procentowy duchownych o skłonnościach homoseksualnych jest w służbie dyplomatycznej Stolicy Apostolskiej, a nawet w samym Watykanie. Zobaczymy, że na sprawy pedefilskie Watykan teraz już reaguje, ale wszelkie sprawy dotyczące homoseksualizmu dopóty, dopóki nie wejdzie prokurator lub przynajmniej świeckie media, są wyciszane i utajniane. A przecież za gwałty homoseksualne jest taka sama kara więzienia jak za inne

Największe skandale w Kościele polskim ostatnich 20 lat to wszystko są homoseksualne sprawy.

Jedyne, co możemy robić, to nagłaśniać je, doprowadzać do tego, żeby tam, gdzie trzeba, wkraczała prokuratura.

Na dziś lawendowa mafia to główna siła napędowa ukrywania przestępstw seksualnych w Kościele

przestępstwa. Dzisiaj skarżenie się do Watykanu na homoseksualizm księży to jak donoszenie szefowi mafii na jego podwładnych. Co jest warte głoszenie Słowa Bożego przez takich ludzi, którzy w sercu Kościoła żyją przeciw Prawu Bożemu? W konsekwencji wierni mają martwych pasterzy, wielkich oszustów, którzy mówią z głębi swojego grzechu, a nie życia łaską.

Jak wygląda polski Kościół?

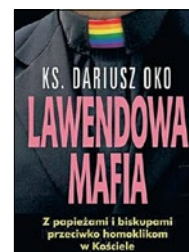
Zobaczmy, abp Juliusz Paetz, abp Juliusz Wesołowski, ks. Krzysztof Charamza, z Kongregacji Nauki Wiary, prawie biskup już w pewnym momencie, teraz zaś sprawa bp. Edwarda Janiaka czy kard. Henryka Gulbinowicza. Największe skandale w Kościele polskim ostatnich 20 lat to wszystko są homoseksualne

sprawy. Jedyne, co możemy robić, to nagłaśniać je, doprowadzać do tego, żeby tam gdzie trzeba wkraczała prokuratura. Na dziś lawendowa mafia to główna siła napędowa ukrywania przestępstw seksualnych w Kościele. Przecież pedofilia duchownych w 80 proc. ma podłoże homoseksualne i chodzi tu nie tyle o nią, ile znowu w 80 proc. o efebofilie, czyli pociąg gejów do dorastających młodzieńców, zasadniczo powyżej 15. roku życia. Media laickie jednak o tym milczą, bo chętnie atakują Kościół za pedofilię, ale jeszcze bardziej chcą ochraniać gejów, a to oni przede wszystkim są agresorami w Kościele – w 80 proc.! Homokliki nieustannie też prowadzą gry polegające na wzajemnych szantażach uprawianych w zamian za milczenie. To się dzieje.

Czy możemy się spodziewać, że homolobby będzie chciało ustanowić homoherezję jako nauczanie Kościoła?

Z jednej strony jest tendencja do sympatyzowania z ideologią LGBT i gender, ale z drugiej strony wielu tego nie chce. Jest im na rękę, by ludzie uważali, że duchowni zasadniczo żyją tak jak powinni, bo taka opinia w pewnym sensie ich osłania, odwraca podejrzenia. Mogą nawet sprzeciwiać się propozycjom zniesienia celibatu, bo wtedy mogłoby się okazać, kto jest kim w Kościele. Bez wątpienia jednak obecność homolobby osłabia głos Kościoła w sprawach publicznych, ponieważ ci ludzie są tchórzliwi, często niewierzący, a jednocześnie obawiają się, że wejście w konfrontację skłoni kogoś do pogrzebania w ich życiorysach, środowiskach. Po prostu boją się demaskacji i odsłonięcia tego, jak żyją. Im więcej jakiś biskup ma na sumieniu, tym zwykle bardziej obawia się zająć stanowisko. A jednocześnie oni rządzą, często na większości poziomów wewnątrz Kościoła. To dramatyczna sytuacja. Więcej o tym w mojej książce, ale też o sposobach wyjścia z tej sytuacji. Zapraszam do lektury.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



KS. PROF. DARIUSZ OKO
„LAWENDOWA MAFIA. Z PAPIEZAMI I BISKUPAMI PRZECIWKO HOMOKLIKOM W KOŚCIELE”
WYDAWNICTWO AA
2020

U-jazdowski

20/10—20/12/2020

wystawa w przestrzeni miejskiej

Open Box

Fotografia czasu pandemii

**Otwarta Galeria
Centrum Sztuki Współczesnej
Zamek Ujazdowski**



Fot. Marek Lapis



Lokalizacje

Michał Szlaga, Marek Lapis, Dariusz Dobrowolski — ul. Nowogrodzka 27

Jan Bortkiewicz — al. Stanów Zjednoczonych 23

Marta Rybicka — ul. Waryńskiego 14 (Metro Politechnika)

Konrad Fałęcki — ul. Grzybowska 44

Sławomir Kamiński — al. Niepodległości 74

Magdalena Piejko — ul. Międzyborska 23

**Centrum Sztuki Współczesnej
Zamek Ujazdowski**

Jazdów 2, Warszawa
www.u-jazdowski.pl

Wystawa finansowana
ze środków

Partnerzy medialni

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**

**TVP
KULTURA**

**dwójka
POLSKIE RADIO**

AKTIVIST

Radio Wnet

eprasa.pl a2002c8a8d



FOT. ADAM CHESTOWSKI/FORUM



Kamila Baranowska

Andrzej Duda w drugiej kadencji mniej musi, a więcej może. Jak to wykorzysta? Czy ma polityczny plan na przyszłość?

Jest 6 października. W nietypowych okolicznościach – bo ze względu na pandemię w ogrodach pałacu prezydenckiego – odbywa się zaprzysiężenie nowego, zrekonstruowanego rządu Mateusza Morawieckiego. Nominację na wicepremiera odbiera między innymi Jarosław Kaczyński. Prezydent Andrzej Duda gratuluje mu, zdejmując rękawiczkę ochronną, co natychmiast odnotowują media. Podobnie jak to, że prezes PiS ulatnia się z uroczystości od razu po oficjalnej części, nie żegnając się z prezydentem ani nie pozując do pamiątkowego zdjęcia.

Adam Bielan będzie później tłumaczyć w TVN24, że szef PiS był „lekką podziębiony”, a „mimo słonecznej pogody tam było dość chłodno”, więc „udał się w cieplejsze miejsce”. Okazuje się, że nie tylko pogoda nie pasowała tego dnia prezesowi. Bardzo nie spodobało mu się także wygłoszone chwilę wcześniej przemówienie prezydenta Dudy. A konkretnie słowa podziękowania, skierowane pod adresem dwójga odchodzących ministrów: Jadwigi Emilewicz i Jana Krzysztofa Ardanowskiego. Zwłaszcza to ostatnie nazwisko miało rozniewać Kaczyńskiego. Ardanowski jest na cenzurowanym, od kiedy publicznie skrytykował „piątkę dla zwierząt”, czyli ustawę o ochronie praw zwierząt, uznając, że uderza ona w polskich rolników. To, że prezydent publicznie dziękował Ardanowskiemu, prezes PiS uznał za afront. – Dało tu o sobie znać zero-jedynkowe postrzeganie świata przez prezesa i jego pewna małostkowość. Coś, co przez wszystkich zostało odczytane jako wyraz grzeczności i sympatii, bo nie jest tajemnicą, że od dawna prezydent miał dobre relacje z Ardanowskim, dla prezesa było policzkiem i niemalże wypowiedzeniem wojny. Cały Jarosław – relacjonuje nam polityk, który dobrze zna i Kaczyńskiego, i kulisy tej sytuacji.

Ta sytuacja – poza przewrażliwieniem prezesa – pokazuje też inną, ważniejszą

Tajny plan Dudy?

szą rzecz. Mianowicie, że w relacjach pałacu prezydenckiego z Nowogrodzką po wyborach prezydenckich niewiele się zmieniło. Wydawać by się mogło, że będzie inaczej, że skoro Andrzej Duda ma przed sobą pięć lat, gdy już niczego nie musi, kierownictwu PiS będzie bardziej zależało na dobrych relacjach.

Tymczasem prezydent Duda znów został pominięty przy kilku kluczowych z punktu widzenia obozu rządzącego tematach. Ani nie uczestniczył w przedłużających się negocjacjach koalicyjnych, ani nie brał udziału w rozmowach o rekonstrukcji rządu. Nikt z nim także nie konsultował kontrowersyjnej „piątki dla zwierząt”, przeciwko której protestują rolnicy.

WŚCIEKŁOŚĆ NOWOGRODZKIEJ

To ostatnie prezydenta najmocniej zabolowało, zwłaszcza że pamięta, komu zawdzięcza reelekcję i jak jeżdżąc od powiatu do powiatu, prosił o zaufanie i głosy rolników właśnie. Dlatego postanowił stanąć w ich obronie. – Na pierwszym miejscu jest byt rolnika, jakość życia jego i jego rodziny – zwrócił się do rolników w trakcie Dożynek Prezydenckich

w Warszawie. – Obiecuję z tego miejsca rolnikom, że gdy ustawa w ostatecznej postaci przyjdzie do mnie, będę przy tej decyzji miał na względzie kwestie humanitarne traktowania zwierząt, ale będę miał także na względzie byt i jakość życia polskich rolników – zadeklarował, sugerując jasno, że może nie podpisać ustawy.

Nie wiadomo, czy ostatecznie tak zrobi, bo wydaje się, że w Sejmie i tak znajdzie się większość (bo ustawę popiera także część opozycji), by ewentualne weto odrzucić, ale tego typu publiczne wypowiedzi budzą na Nowogrodzkiej wściekłość. Podobnie jak fakt powołania przez prezydenta Marcina Mastalerka i Łukasza Rzepeckiego na swoich doradców. Mastalerek to był rzecznik PiS i współautor zwycięskiej kampanii Andrzeja Dudy z 2015 r., który popadł w konflikt z Kaczyńskim i odszedł z PiS w niełasce. Rzepecki z kolei w 2017 r. został wyrzucony z PiS, a następnie zasilił szeregi Kukiz'15. Publicznie opowiadał, że Kaczyński powinien udać się na polityczną emeryturę. Powołanie akurat tych byłych polityków na doradców zostało przez Nowogrodz-

ką zinterpretowane jednoznacznie – jako prowokacja, która ma pokazać rosnącą niezależność prezydenta.

– Z tego, co wiem, Andrzej był z nimi umówiony od dawna. Czekali tylko na dobry moment, by to ogłosić, żeby nie prowokować plotek przed wyborami ani w kampanii. Nie doszukiwałem się w tym żadnej demonstracji, to raczej dowód wdzięczności pod adresem Marcina za pomoc w kampanii i chęć pomocy Łukaszowi, który po wyrzuceniu z PiS został na lodzie – mówi nam osoba znająca kulisy tych nominacji. – Ale wiadomo, że w ocenie tego nie będą liczyły się intencje prezydenta, tylko interpretacja Nowogrodzkiej, a ta brzmi: prezydent coś knuje – dodaje.

Zresztą z Mastalerkiem prezydent podpadł już wcześniej, w wieczór wyborczy, gdy w podziękowaniach wymienił go jako pierwszego. – Dziękuję mojemu przyjacielowi Marcinowi Mastalerkowi, nie jest już czynnym politykiem, ale dla ojczyzny ratowania przyszedł i pomógł w naszej codziennej pracy sztabowej, patrząc na strategię, przygotowując z nami kolejne działania – mówił prezydent. Następnego dnia Joachim Brudziński

REKLAMA



Święty Wojciech
wydawnictwo

JAK STAĆ SIĘ NAJLEPSZYM RODZICEM W POSTPANDEMICZNYM ŚWIECIE?

► Porady eksperta psychologa,
zestawy działań, zabaw i ćwiczeń



Poradnik polecają:



pośrednio odpowiedział na te słowa na Twitterze. „Po wynikach przedstawionych przez PKW rozpocznie się teraz festiwal podziękowań i analiz, kto najbardziej przyczynił się do zwycięstwa PAD. Prawda jest taka, że zwycięstwo to Prezydent zawdzięcza (tak samo jak 5 lat temu) Jarosławowi Kaczyńskiemu. Koniec kropka” – stwierdził Brudziński.

Sprawa może mieć jeszcze jedno dno – czysto ambicjonalne. Nie tak dawno szef komitetu wykonawczego PiS Krzysztof Sobolewski został zapytany w Radiu Plus o to, czy prezydent wie, że Jarosław Kaczyński ma wejść do nowego rządu. – Przy całym szacunku do pana prezydenta, ale pan prezes nie potrzebuje konsultować takich spraw z panem prezydentem – stwierdził. Następnego dnia o te słowa został zapytany w TVN24 wicerecznik PiS Radosław Fogiel. – Proszę wskazać jeden przepis prawa, który nakazuje szefowi jakiegokolwiek partii konsultować z prezydentem, czy może zostać wicepremierem. Nie ma konstytucyjnego obowiązku do tego, by szef partii konsultował z prezydentem przyjęcie stanowiska wiceprezesa Rady Ministrów – brnął.

No więc skoro prezes nie musi z prezydentem konsultować składu rządu, to prezydent nie musi z Nowogrodzką konsultować składu swojej kancelarii. I powołuje do niej, kogo chce.

EKIPA BEZ DOŚWIADCZENIA

Jarosław Kaczyński i jego otoczenie nie myślą jednak w ten sposób. Są bowiem przekonani, że za ostatnimi ruchami prezydenta Dudy stoi jakaś głębsza myśl, jakiś plan budowy własnego środowiska politycznego i zabezpieczenia własnej politycznej przyszłości. Kosztem PiS oczywiście.

– Są osoby, które suflują prezesowi taki scenariusz. Takie plotki nadwerężyły zaufanie prezesa i do Beaty Szydło, i do Andrzeja, bo mówi się przecież, że skoro się przyjaśnia, to na pewno planują coś razem – opowiada jeden z PiS-owców. – Ten temat wraca od 2015 r., to nie jest przypadek, komuś widać zależy, by prezes tak myślał – dodaje.

A jak jest naprawdę? Z naszych rozmów wynika, że w pałacu na razie nikt nie myśli o tym, co będzie za pięć lat. Zwłaszcza sam Andrzej Duda, który jest skupiony na wypełnianiu prezydenckich obowiązków i na nic innego nie ma czasu. Chociaż złośliwi dodają, że do stworzenia zaplecza, które mogłoby stać

się zalążkiem budowania w przyszłości własnego środowiska, nie ma też zupełnie smykałki. – Tu trzeba systematyczności, chęci i jakiegoś planu, a tego nie ma. Działania prezydenta, które co jakiś czas denerwują Nowogrodzką, to działania pod wpływem impulsu, chwilowego wzniesienia, wkurzenia na konkretną sytuację, a nie jakiegoś wielkiego planu przejęcia prawicy – mówi nasz rozmówca dobrze znający i Dudę, i Kaczyńskiego.

– Zresztą takie ciągłe ostentacyjne lekceważenie przez prezesa każdego prędkiej czy później wyprowadziłoby z równowagi. Dudę też wyprowadza, wścieka się w czterech ścianach, raz się odwinie, dwa razy przemilczy i tak to działa – dodaje.

**Nie da się ukryć,
że Jarosław Kaczyński
od początku
ma problem
z Andrzejem Dudą**

Inna sprawa, że w podejściu zarówno prezesa, jak i jego otoczenia do prezydenta jest wiele niekonsekwencji. Z jednej strony jest obawa, że prezydent jest nielojalny i knuje na boku, z drugiej przeświadczenie, że jest niesamodzielnym, łatwo ulegającym wpływowi i w sumie niewiele może.

Jak niewiele świadczy choćby to, że mimo usilnych prób nie udało mu się sprawić, by była szefowa jego kancelarii Halina Szymańska została ministrem rolnictwa zamiast odwołanego Jana Krzysztofa Ardanowskiego, z którym prezydent miał świetne relacje. Ostatecznie Szymańska została prezesem ARMiR. – To też był bardziej gest w jej stronę niż prezydenta. Andrzej był mocno niepokieszony, że nie udało mu się przełamać jej kandydatury do rządu – relacjonuje polityk PiS. Dlaczego było to tak ważne? – Jeśli chcesz, żeby ludzie w klubie czy partii zaczęli na ciebie grać i cię po cichu wspierać, to musisz wysłać sygnał, że coś możesz. A patrząc po owocach, prezydent dzisiaj nic nie może – tłumaczy nasz rozmówca. I wylicza, ile w samym PiS jest frakcji orientujących się na poszczególne osoby – czy to na Brudzińskiego, czy na Morawieckiego, czy na Beatę Szydło. Prezydent tymczasem nie ma swoich ludzi. Nikogo nie wprowadził do Sejmu, nikomu nie załatwił miejsc na listach, nikogo nie

poupychał do spółek Skarbu Państwa. A tak w polityce buduje się wpływy. – On, nawet gdyby chciał, to nie miałby kim budować czegokolwiek. Cała ekipa w pałacu to ludzie z układu koleżeńkiego, w większości bez doświadczenia w dużej polityce – wskazuje nasz rozmówca z pałacu.

LEKCEWAŻENIE PREZYDENTA

Toteż prawie nikt, z kim rozmawiamy, nie wierzy w to, że prezydent Duda potrafiłby stworzyć coś własnego, tak od zera. Jeden z jego współpracowników wspomina, że w pałacowych rozmowach raz pojawił się taki wątek. Było to przy okazji weta do zmiany ordynacji w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Jeden z argumentów, który przemówił wówczas do wyobraźni Andrzeja Dudy, odwoływał się do tego, że w przyszłości lepiej mieć możliwość startu i łatwiejszego wprowadzenia swoich posłów w wyborach europejskich, niż nie mieć. – To był taki jednorazowy przebłyśk, że możemy rzeczywiście coś, gdzieś, kiedyś. Nic więcej, żadne długofalowe działanie z tego nie wynikło – podsumowuje nasz informator.

Nie da się ukryć, że Jarosław Kaczyński od samego początku ma problem z Andrzejem Dudą. Nie akceptuje go na stanowisku prezydenta i ostentacyjnie co pewien czas okazuje mu swoje lekceważenie. Dlaczego i po co to robi? Ponieważ może. Bo – jak mówią w PiS – uważa, że najlepszym prezydentem był Lech Kaczyński, a Andrzej Duda został nim trochę przez przypadek (miał przecież tylko wejść do drugiej tury). Bo wie, że kluczowe dla PiS ustawy prezydent i tak podpisze, choćby z tego powodu, że w większości ma poglądy zbieżne z programem PiS i że chce wywiązywać się z wyborczych obietnic. Tyle tylko, że piątki Kaczyńskiego w programie PiS, pod którym podpisywał się prezydent, nigdy nie było.

– Andrzej nie będzie wetował ustaw na złość PiS. Jeśli będzie miał wątpliwości, to wtedy będzie się zastanawiał, co zrobić. I jak zawsze w kluczowych momentach zaczną się naciski, telefony i rozmowy na ostatnią chwilę. Zamiast konsultacji przed, Nowogrodzka obudzi się za pięć dwunastą i wtedy będą pielgrzymki do pałacu. Do tej pory przynajmniej tak to działało – słyszymy od współpracownika prezydenta. Czy będzie tak działało nadal? Wszak w czasie kampanii prezydent Duda deklarował wyborcom, że „w drugiej kadencji prezydent odpowiada tylko przed Bogiem, historią i narodem”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Pobyty w Ciechocinku „Pod Tężniami” z zabiegami

**Posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu**

- wstęp do zespołu basenów do 90 minut dziennie
- basen zewnętrzny oraz wewnętrzny **z atrakcjami**
oraz sauna fińska i sucha parowa,
- wstęp na **imprezy kulturalno - rozrywkowe**
- lekarze różnych specjalizacji dostępni na miejscu*

*możliwa dodatkowa opłata

Tygodniowe i dłuższe **POBYTY LECZNICZE**
w terminie: 25.10 - 20.12.2020 r.
W ofercie także **POBYTY WYPOCZYNKOWE**

tel. 54 416 70 00

Klinika Uzdrawiskowa „Pod Tężniami”, ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek



www.podtezniami.pl

OSTATNIE LATA POLSKICH KRESÓW

**KSIĄŻKA
DO KUPIENIA W:
WWW.XLM.PL**

- Polski Teksas. Borysław i gorączka naftowa
- Marszałek i piękna lekarka. Piłsudski i Eugenia Lewicka
- Polska Amazonia. Bajeczne rozlewiska Polesia
- Kresowa kraina Półksiężyc. W świecie Karaimów i Tatarów i wiele innych niezapomnianych historii



PATRONAT MEDIALNY:



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

PREMIERA 29.10



Z prof. Andrzejem Horbanem,
głównym doradcą ds. COVID-19 Prezesa Rady Ministrów
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Szpitala polowe są na trzeci etap epidemii

Rząd podjął decyzję m.in. o otwarciu
szpitala polowego na Stadionie
Narodowym FOT. ADOBE STOCK

KATARZYNA PINKOSZ: Panie profeszorko, został pan głównym doradcą ds. COVID premiera Morawieckiego. Jest pan więc dziś najważniejszą osobą w Polsce, jeśli chodzi o epidemię, tak jak Anthony Fauci w USA. Takiej osoby w Polsce do tej pory bardzo brakowało. Premier będzie pana słuchał?

PROF. ANDRZEJ HORBAN: Jestem głównym doradcą ds. medycznych, jednak – jak wynika z obowiązującego ustawowego porządku prawnego – w Polsce głównymi osobami zarządzającymi epidemią są premier, minister zdrowia, wojewodowie, sztab kryzysowy. Będę przekazywał panu premierowi informacje; od niego zależy, co z nimi zrobi.

Co doradzi pan teraz premierowi? Epidemia w Polsce poszła w stronę, której jeszcze miesiąc temu nikt się nie spodziewał.

Tak źle nie jest z naszą wyobraźnią. Spodziewaliśmy się takiego przebiegu epidemii, specjalistów chorób zakaźnych taki przebieg epidemii nie zadziwił.

Spodziewał się pan, że 18 października zapadnie decyzja o otwarciu szpitala polowego na Stadionie Narodowym?

No nie, tak dobrze z tą wyobraźnią to nie jest. Jednak kilka słów o tym, jak przebiega epidemia. Żeby do niej doszło, nowy wirus musi być transmitowany, np. z czło-

wieka na człowieka, tak jak to się dzieje w przypadku SARS-CoV-2. Wirusy, podobnie jak my, są do siebie bardzo podobne, gdy należą do jednej rodziny, jednak nieco się różnią. Bardziej zjadliwe szczepy wywołują cięższy przebieg choroby – chorzy trafiają do szpitala lub umierają, zatem transmisja jest utrudniona. Łagodniejsze szczepy łatwiej się transmitują, gdyż wywołując lżejszy przebieg choroby lub wręcz bezobjawowy, mają większą szansę na rozprzestrzenianie się.

Spadkowi zjadliwości towarzyszy jednak zwykle większa zdolność do zakażenia. Im łatwiej dochodzi do transmisji, tym wirus jest mniej zabójczy. SARS-CoV-2 to wirus o stosunkowo niedużym potencjale zabijania. Pierwsze szacunki mówiły o 3 proc. zgonów. Oczywiście 3 proc. z 500 osób chorych to stosunkowo niewiele, jednak przy 10 tys. zarażonych dziennie skala zjawiska jest zupełnie inna, nawet jeśli umiera z nich „tylko” 1–2 proc.

SARS-CoV-2 w Polsce obecnie bardzo szybko się rozprzestrzenia, w efekcie mamy dziennie ok. 10 tys. nowo rozpoznanych osób zakażonych, z których ok. 20 proc. powinno znaleźć się w szpitalu. To jest problem, ponieważ trzeba stworzyć miejsca w szpitalach dla 2 tys.

osób dziennie. Problemem jest też to, że epidemia nie przebiega w całym kraju równomiernie. W dużych miastach, gdzie jest duże zagęszczenie ludności, wirus szybko się rozprzestrzenia, więc tam sytuacja jest najgorsza.

Powiedział pan, że spodziewaliście się, iż tak będzie. Dlaczego w takim razie nie budowano szpitali polowych wcześniej, nie szkolono wcześniej lekarzy innych specjalności np. z obsługi respiratorów?

Nie było powodu, by to robić wcześniej. Szpitala polowe są budowane na trzeci etap epidemii. Dzisiaj mamy jej drugi etap, nie jest jeszcze potrzebne wykorzystanie szpitali polowych.

Pierwszy etap epidemii mieliśmy na wiosnę. Opanowuje się go tak, jak to wówczas robiliśmy: chorzy przebywają w szpitalach zakaźnych lub w specjalnie utworzonych (w zwykłych szpitalach) oddziałach zakaźnych, internistycznych, chorób wewnętrznych. Zdało egzamin, podobnie jak wprowadzony lockdown, który jednak poważnie nadwyrężył gospodarkę.

Obecnie mamy drugą fazę epidemii, wirus jest bardziej zakaźny, zakaża szybciej, a staramy się nie wprowadzić drugiego lockdownu. Procentowo liczba zgonów jest mniejsza, jednak liczbowo –

większa. Opieka nad chorymi opiera się na istniejącej strukturze szpitali, głównie wojewódzkich, z których duża część ma oddziały zakaźne. Od kilku miesięcy nakłanialiśmy organy samorządowe, żeby dostosowały się do fali epidemii, która przyjdzie jesienią.

Dostosowały się? Dopiero teraz słysząc, że są tworzone oddziały dla chorych na COVID w zwykłych szpitalach.

To pytanie do organów samorządowych, wojewodów, premiera. Ogłoszenie stanu epidemii daje wojewodzie duże uprawnienia, m.in. może kazać organom samorządowym przekształcić szpitale np. na przyjęcie chorych z COVID-19.

Obecnie mamy dziennie ok. 10 tys. osób z rozpoznawanym COVID-19, ok. 2 tys. z nich powinno znaleźć się w szpitalu. Średnio pacjent leży tydzień w szpitalu; przy takiej skali epidemii będziemy więc mieli zajętych średnio ok. 14 tys. łóżek tygodniowo. System przewidziany od początku jesieni zakładał, że będzie właśnie ok. 14 tys. łóżek, ponieważ pierwsza symulacja zakładała ok. 5 tys. zakażeń dziennie. Przy 5 tys. dziennych zakażeń spokojnie wystarczyłoby miejsc dla chorych na COVID-19, zwłaszcza że byłby jeszcze pewien ich zapas, jeśli doliczylibyśmy łóżka w szpitalach uniwersyteckich czy dużych szpitalach powiatowych.

Twórcy strategii na jesień nie przewidzieli jednak, że zakażeń będzie już w połowie października dwa razy więcej?

Były różne symulacje. Ponieważ poziom zakażeń jest wysoki, zostały wprowadzone restrykcje, a właściwie środki zaradcze mające na celu ograniczenie epidemii (od maseczek zaczynając). Trzeba zobaczyć, czy te środki zapobiegawcze, bardzo ograniczające swobodę życia, odniosą skutek.

Odniosą?

Jest taka szansa, pod warunkiem że będą przestrzegane: tak jak to się stało wiosną.

Inny był jednak wtedy poziom zakażeń, a ograniczenia były większe. Teraz pozostawiono np. otwarte szkoły podstawowe, choć wielu nauczycieli obawia się przyjść do szkoły i uczyć.

Małe dzieci rzadko transmitują SARS-CoV-2, co widać po tym, że rzadko też chorują. W naszym szpitalu na oddziale pediatrycznym z powodu koronawirusa jest hospitalizowanych od jednego do

dwojga dzieci, zaś dorosłych – 130. To pokazuje różnicę. Prawdopodobnie przyczyną jest to, że dzieci często mają infekcje wirusowe, również spowodowane koronawirusami, więc ich układ odpornościowy jest „wytresowany” w walce z nimi. Poza tym małe dziecko ma mniejsze ryzyko zakażenia: chodzi do przedszkola, szkoły, styka się z tą samą grupą osób. Nie chodzi do baru, nie przebywa tam w bliskiej odległości z nowymi grupami osób, nie jeździ komunikacją miejską.

W Warszawie i innych dużych miastach dzieci często jeżdżą, także komunikacją miejską.

Dlatego w Warszawie te ograniczenia mogą nie wystarczyć. Popatrzmy na

Trzeba zrobić wszystko, by uniknąć czarnego scenariusza.

Będę doradzał zwiększenie liczby łóżek covidowych w już istniejących szpitalach dopóty, dopóki to tylko jest możliwe

krzywą zachorowań: pierwszy wzrost nastąpił mniej więcej w połowie września, a kolejny zdecydowany wzrost ok. 6–10 października, gdy na uczelnie wrócili studenci. Nie chcę oczywiście mówić, że winni wszystkim są studenci (takie stwierdzenia pamiętam z młodych lat), jednak zakażenia koronawirusem transmitują się przy bliskich kontaktach. Stąd ograniczenia w działalności uczelni i szkół średnich, organizacji imprez.

Co doradzi więc pan na dziś premierowi, patrząc na budowę szpitala polowego na Stadionie Narodowym? Nietrudno wyobrazić sobie przerażenie pacjenta, który wie, że zostanie przewieziony do hali w szpitalu polowym.

Podzielam te obawy, dlatego trzeba zrobić wszystko, by uniknąć czarnego scenariusza. Będę doradzał zwiększenie liczby łóżek covidowych w już istniejących szpitalach dopóty, dopóki to tylko jest możliwe. Ogółem mamy ok. 100 tys. łóżek szpitalnych w Polsce: tyle jest miejsc we wszystkich szpitalach. Oczywiście znaczna część musi pozostać dla pacjentów hospitalizowanych z innych przyczyn: pediatrycznych, onkologicznych, chirurgicznych, położniczych itp. Sądzę jednak, że część łóżek niecovidowych

można zamienić na covidowe, bez narażania życia innych chorych. Jeśli tę operację przeprowadzi się sprawnie, to możemy mieć w szpitalach ok. 20 tys. miejsc dla osób chorych na COVID-19 plus 5 tys. miejsc na oddziałach intensywnej terapii.

Druga rzecz: trzeba opanować wzrost epidemii – dzięki niefarmakologicznym środkom zapobiegawczym, czyli tzw. restrykcjom – po to, by miejsc w szpitalach wystarczyło. Ten tydzień pokaże, czy środki zaradcze, które zostały ogłoszone, spowodują, że liczba zakażeń przestanie rosnąć. W zależności od tego trzeba będzie podjąć decyzję, czy zwiększać liczbę łóżek. Wtedy na pewno będą konieczne większe ograniczenia.

A szpitale polowe?

Powstają, jednak to ostateczność. Dziś jesteśmy jeszcze daleko od konieczności ich wykorzystania.

W Warszawie już jednak brakuje miejsc w szpitalach. Są dramatycznie nagrania z karettek, kilka osób zmarło niedowiezionych do szpitala.

To niestety kwestia organizacji, którą trzeba poprawić. Jak mówiłem: bez większego „demolowania” systemu ochrony zdrowia możemy mieć w szpitalach 20 tys. łóżek dla chorych na COVID-19 plus 5 tys. na intensywnej terapii. Należy zrobić wszystko, by nie przekroczyć tej liczby koniecznych hospitalizacji, a najlepiej, żeby to była tylko połowa. Wciąż jednak jesteśmy na „fali wznoszącej” epidemii. Pytanie, czy liczba dziennie wykrywanych przypadków zakażenia ustabilizuje się, czy będzie rosnąć. Jeśli będzie rosnąć, to konieczne będzie wprowadzenie dalszych ograniczeń.

I kładzenie chorych w szpitalach polowych?

Należy zrobić wszystko, by tak się nie stało.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Andrzej Horban – główny doradca ds. COVID-19 Prezesa Rady Ministrów, konsultant krajowy w dziedzinie chorób zakaźnych, kierownik Kliniki Chorób Zakaźnych dla Dorosłych Wydziału Lekarskiego WUM, zastępca dyrektora ds. medycznych Wojewódzkiego Szpitala Zakaźnego w Warszawie.

**WALKA Z
COVID-19**

MACIEJ PIECZYŃSKI: Stwierdził pan, że przyjęta w Polsce strategia walki z epidemią koronawirusa zmierza w złym kierunku. Dlaczego? Jakie błędy popełnił rząd?

DR PAWEŁ BASIUKIEWICZ: Nie chcę recenzować działań władz. Wydaje mi się jednak, że strategia walki z koronawirusem, opracowana na wzór chińskich rozwiązań, prowadzi nas w złym kierunku. Traktujemy bowiem pacjenta zarażonego SARS-CoV-2 jak słoik z ebolą, jak coś nadzwyczajnego, co za wszelką cenę trzeba zawinąć w foliowy worek i odizolować od świata... Tymczasem daleko tej chorobie do eboli czy do ospy prawdziwej, a izolacja za każdą cenę jest nie tylko nieskuteczna, lecz także potwornie droga i niszcząca, gdyż używamy bardzo prymitywnych narzędzi wyrządzających szkody dookoła.

Mamy więc do czynienia z nadzwyczajną pandemią czy z nadzwyczajną paniką?

Raczej to drugie. Nie jest to jednak zarzut wyłącznie do polskich władz. Większość państw na świecie reaguje na pandemię w podobny sposób, próbując za wszelką cenę odizolować chorych od reszty społeczeństwa. Za zmniejszenie transmisji wirusa, który jest stosunkowo niegroźny, płacimy absolutną niewydolnością służby zdrowia. A w efekcie wzrostem liczby zgonów, chorób psychicznych, prób samobójczych, zubożeniem społeczeństwa, krachem gospodarczym – to wszystko negatywne efekty nadzwyczajnych środków, podjętych przez rządy większości państw, nie tylko Polski. Chorych na COVID-19 należy, oczywiście, izolować w warunkach szpitalnych, tak jak w przypadku każdej choroby zakaźnej, ale nie potrzeba do tego osobnych szpitali. Mamy odpowiednie procedury. Nigdy w przypadku chorób zakaźnych nie było konieczności na taką skalę wysyłania na kwarantannę całej rodziny, potencjalnie zagrożonej chorobą.

Na początku pandemii ostre środki wydawały się zrozumiałe, bo nikt do końca nie wiedział, jak rozwinie się sytuacja. Panika była powszechna na całym świecie. A skąd teraz tak wysoki wzrost zakażeń?

To normalne, że od początku września mamy do czynienia z wykładniczym wzrostem liczby zakażeń grypopodobnych. Większość przebiegów w tym roku wywołane zostało przez wirusa SARS-CoV-2. Nie chcę powiedzieć, że pandemia nie istnieje. Oczywiście, że istnieje! Ale okres jesienny sprzyja wzrostowi zakażeń. Na pierwszy rzut oka nie da się odróżnić „zwykłego”



Z dr. Pawłem Basiukiewiczem, elektrokardiologiem, internistą rozmawia Maciej Pieczyński

Zrezygnujemy z kwarantanny

przeziębienia od tego spowodowanego przez koronawirusa.

Czy ten wzrost nie wynika z faktu, że rząd złagodził w pewnym momencie obostrzenia? Albo z tego, że my, jako społeczeństwo, przestaliśmy na siebie uważać?

A co to znaczy: „przestaliśmy na siebie uważać”? Ograniczenia związane z epidemią to próba sztucznego złamania naturalnych ludzkich zachowań, na których opiera się nasza cywilizacja. Na krótszą metę można ludzi wsadzić do aresztu domowego, ale na dłuższą metę to niewykonalne! Przykro mi słyszeć pouczenia w stylu „przestajemy na siebie uważać” albo „przestajemy być odpowiedzialni”. Człowiek jest istotą stadną, społeczną. Dzięki temu jesteśmy ludźmi, że się ze sobą spotykamy, rozmawiamy ze sobą... Taka jest nasza natura.

Pańskim zdaniem „lockdown zabija”.

Nie „moim zdaniem”, tylko lockdown zabija i mamy na to dowody. We Włoszech w okresie zamknięcia gospodarki zwiększyła się liczba zgonów z powodu zawału serca.

Czyli zabija paniczny strach przed wirusem, a nie wirus?

Nie tylko sam strach, lecz także blokada służby zdrowia spowodowana taką obsesyjno-kompulsywną izolacją tego wirusa. To tak, jakbyśmy wszyscy nagle zachorowali na nerwicę natręctw i za wszelką cenę usiłowali się pozbyć czegoś, czego prawdopodobnie nigdy się nie pozbedziemy. Lekiem na to powinna być świadomość, że wirus nie zniknie, a my powinniśmy nauczyć się z nim żyć. W Anglii i Walii podczas lockdownu o kilkadziesiąt procent wzrosła śmiertelność w domu. Wniosek nasuwa się mimowolnie – prawdopodobnie podjęte działania w jakiś sposób utrudniły dostęp do systemu ochrony zdrowia. Nie jestem bynajmniej jedynym zwolennikiem tezy o śmiertelnościowym wpływie lockdownu. Tak uważa również dr Scott Atlas, doradca Donalda Trumpa ds. walki z COVID-19.

Wiosną zamknięte zostały szkoły i uczelnie. Jesienią dzieci wróciły do zajęć w kontakcie bezpośrednim, studenci w większości wciąż uczą się zdalnie.

Wzrost zakażeń sprawił, że znów zamknięto szkoły ponadpodstawowe, ZNP apeluje o zamknięcie też tych podstawowych. To słuszne kroki?

Zamykanie szkół to działanie bardzo brutalne. Zresztą brutalne jest każde odgórne, nakazowe działanie administracyjne, ograniczające naturalne zachowania człowieka. Wystarczyłoby zadbać o to, by dzieci i młodzi ludzie dystansowali się od, należących do grupy ryzyka, starszych członków rodziny. Pedagodzy podkreślają, jak niekorzystnym doświadczeniem był wiosenny lockdown. Nie warto tego powtarzać.

Ale trzeba też dbać o zdrowie dzieci.

Dzieci nie są grupą ryzyka, jeśli chodzi o COVID-19. Albo przechodzą zakażenie bezobjawowo, albo ich objawy ograniczają się do lekkiego przeziębienia. Śmiertelność w grupie osób przed 20. rokiem życia jest incydentalna. Większym ryzykiem dla zdrowia dziecka jest zmusić je do pozostania w domu.

A jak ocenia pan nakaz noszenia maseczek w otwartej przestrzeni?

To absurd. Mieszkam w niewielkiej miejscowości. Na pustej ulicy, gdzie w promieniu kilometra nie widać żywej duszy, muszę nosić maskę – to niepojęte. Tego typu nakazy można porównać do słynnego zamknięcia lasów. Oczywiście, rząd może podejmować różne decyzje, do których trzeba się zastosować... Nie dyskutuję z zaleceniem noszenia maseczki w szpitalu, gdzie mam do czynienia z chorymi. Jednak na otwartej przestrzeni taki nakaz jest pozbawiony sensu.

„Jedynym efektem (kwarantanny) jest powolne rozmontowywanie współczesnej cywilizacji. I to nie tylko gospodarki, ale interakcji społecznych, nawet wśród rodziny czy znajomych. Nie chodzi już nawet o strach przed COVID. Ludzie nie chodzą już tam, gdzie chodzili, rodziny się nie spotykają” – stwierdził pan w rozmowie z „Rzeczpospolitą”. A jak te kulturowe kwestie przekładają się na stan zdrowia?

Rozmontowanie cywilizacji, kultury, więzi ludzkich – to wszystko z medycznego punktu widzenia powoduje przewlekły lęk, stres, który osłabia odporność, obniża nasz dobrostan psychiczny. Społeczeństwo pod względem psychicznym znajduje się w stanie przypominającym stan permanentnego zagrożenia, wręcz stan wojny. Szkodzą nam negatywne bodźce, które nieustannie odbieramy za pośrednictwem żerujących na strachu mediów. Rządzący będą się cieszyć, że udało im się obniżyć liczbę zaka-

żeń. Tylko pytanie: Jakim kosztem?! Samo zmniejszenie liczby zakażeń nie sprawi, że staniemy się generalnie zdrowsi.

Opisał pan niedawno sprawę 66-latką, u którego stwierdzono kardiomiopatię i zakażenie koronawirusem. Pomimo występujących u niego duszności nie został on przyjęty do szpitala. Nie dostał się też do tzw. COVID-owej karetki. Jej załoga tłumaczyła się brakiem wyznaczonej placówki, do której miał trafić zakażony.

Lekarz rodzinny spędził pół dnia na telefonie, próbując znaleźć miejsce dla tego chorego. Nikt go nie chciał przyjąć, choć pacjent miał ewidentnie wskazanie do szpitala. Ktoś, kto cierpi na konkretną chorobę, a dodatkowo na koronawirusa, traktowany jest przez naszą służbę zdrowia jak „zadżumiony”. Nie powinno tak być – powinien zostać normalnie przyjęty do zwykłego szpitala, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Inny przypadek tego typu wydarzył się w mojej placówce. Duża część personelu została oddelegowana na kwarantannę i zamknęliśmy oddział, bo nie miał kto się zajmować chorymi. Trafił jednak do nas 39-letni pacjent z niewydolnością serca, przyjęliśmy go w trybie nadzwyczajnym tylko dlatego, że znaleźliśmy go, leczylismy od ośmiu lat, więc mieliśmy wszelkie dane, by razem z ordynatorem podjąć decyzję o wyjątkowym potraktowaniu tego pacjenta. Gdyby to był chory, który chciał zgłosić się do nas po raz pierwszy, najprawdopodobniej nie zostałby przyjęty do naszego szpitala – odmowa zostałaby wydana już na poziomie karetki pogotowia.

A może problemem jest generalnie niewydolność służby zdrowia?

Rzeczywiście jest tak, że służba zdrowia ma „zbyt krótką koldrę”. To jednak nie jest jedyna przyczyna. Problemem jest totalny chaos, wywołany epidemiczną paniką – ewakuacje całych szpitali, tworzenie placówek jednoimiennych... Karetka pogotowia czeka nieraz po cztery godziny pod szpitalnym oddziałem ratunkowym, aż się zwolni miejsce. Albo krążą po całym województwie w poszukiwaniu wolnych łóżek dla pacjentów. Tworzy się sztuczny tłok, bo w jednym szpitalu jest prawie pusto, ale nikogo nie można przyjąć z powodu kwarantanny, a w drugim jest pacjent na pacjencie.

Z jednej strony powszechny jest strach przed koronawirusem. Z drugiej wielu choruje bezobjawowo, a spora część zgonów dotyczy osób cierpiących na

choroby współistniejące. Na ile sam koronawirus jest śmiertelny?

W medycynie istnieje pojęcie poronnego przebiegu choroby. Czyli takiego, w którym objawów jest niewiele albo nie ma ich wcale. Są tacy pacjenci, którzy nawet nie zauważają, że mają lekko podwyższoną temperaturę. Podobnie jest często w przypadku COVID-19. Myślę, że nawet do 50 proc. choruje bezobjawowo. W szerokiej populacji na koronawirusa umiera mniej więcej między 0,1 a 0,3 proc., w niektórych miejscach trochę mniej, w niektórych trochę więcej, w zależności od wielu czynników... COVID nie jest jeszcze do końca naukowo zbadany. Wiemy jednak, że czasem jest tą kroplą, która przelewa czarę i powoduje zgon. Powiem panu na podstawie swojego doświadczenia, jako internista pracujący na oddziale wewnętrznym, że często u starszych, obciążonych chorych, umierających na ciężką niewydolność oddechowo-krążeniową, wszystko zaczynało się od zwykłego przeziębienia.

A może wystarczy stosować zasadę DDM – dystans, dezynfekcja, maseczka?

W szpitalu tę zasadę stosujemy rygorystycznie, zwłaszcza w warunkach epidemii. Poza szpitalem noszę maseczkę, bo taka jest decyzja rządu, z którą nie dyskutuję. Osobę noszącą maskę najlepiej chronią maseczki filtrujące, tzw. respiratory. Maseczki chirurgiczne przede wszystkim chronią otoczenie, ponieważ wydmuchujemy wówczas mniej potencjalnie zarażonego powietrza. Maseczki bawełniane prawdopodobnie mają znikomy lub żaden wpływ.

Co by pan doradził rządowi w ramach walki z epidemią?

Po pierwsze – zrezygnować z nakazowej izolacji i kwarantanny, czyli z wysyłania ludzi na przymusowy areszt domowy tylko dlatego, że znaleźli się w pobliżu kogoś, kto może być chory. Po drugie – zlikwidować szpitale jednoimienne. Zamiast tego przyjmować chorych na zwykłe oddziały, na których należałoby jedynie przygotować odpowiednie procedury postępowania. I to, moim zdaniem, wystarczy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Paweł Basiekiewicz
jest elektrokardiologiem
i internistą.



Agnieszka Niewińska

31 proc. seniorów przerwało leczenie, a w wykonywaniu mammografii są nawet 99,5-procentowe spadki. Służba zdrowia większość sił skierowała na walkę z COVID-19. Skutki zamknięcia się na cierpiących na inne choroby będą katastrofalne

Czułam bezsilność – mówi nam Żaneta Szczepaniak, która szukała pomocy lekarskiej dla siostry Agnieszki. 35-latką przez kilka tygodni skarżyła się na silne bóle pleców. Dwukrotnie udała się do szpitala w wielkopolskim Ostrzeszowie, ale lekarze jej nie zbadali. W punkcie nocnej pomocy lekarskiej tylko przepisali leki przeciwbólowe. Za drugim razem panią Agnieszkę nie tylko bolały plecy, lecz także miała opuchniętą twarz, z trudem mówiła. Lekarz oglądał ją przez szklane drzwi i rozmawiał przez domofon. Podał kod recepty na leki przeciwbólowe i mimo nalegań nie chciał przyjąć młodej kobiety, odsyłał ją do specjalisty. Następnego dnia po panią Agnieszkę musiała przyjechać karetka. Jej stan był ciężki. Zmarła w szpitalu, który poinformował rodzinę, że przyczyną śmierci była niewydolność nerek. Osierociła troje dzieci.

– Moja siostra mogła żyć. Wystarczyło ją przyjąć, zbadać i podać leki, a lekarze w ogóle nie chcą nas przyjmować. Jeśli coś się nam stanie i będziemy potrzebowali natychmiastowej pomocy, to będziemy skazani na śmierć. To jest chore, że przez COVID umierają ludzie niechorujący na COVID – mówi Żaneta Szczepaniak. Sprawą śmierci jej siostry zajmuje się prokuratura.

CO TRZECI SENIOR PRZERWAŁ LECZENIE

Podczas gdy służba zdrowia większość sił skierowała na walkę z koronawirusem, poważne kłopoty mają ci, którzy zmagają się z innymi problemami zdrowotnymi. Wizyty u specjalistów w części placówek są odwoływane, badania profilaktyczne przekładane. Nawet jeśli w letnich miesiącach nastąpiło częściowe odmrożenie usług medycznych, to teraz wiele przychodni znów zamknęło drzwi przed pacjentami.



Leczenie przez szybę

Rzecznik Praw Pacjenta opublikował niedawno wyniki kontroli w 24 placówkach na Mazowszu. W 79 proc. z nich nie było nawet możliwości wejścia do przychodni. – Od kilku tygodni mam ból i zawroty głowy, przez które nie mogę funkcjonować. Dostałem skierowanie do neurologa, ale wizytę już drugi raz odwołano z powodu wzrostu zachorowań na COVID. Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam – martwi się pan Wacław, 65-letni emeryt z jednej z mazowieckich wsi, prosi o niepodawanie jego nazwiska i nazwy miejscowości.

Z badania CBOS wynika, że w czasie pandemii 30 proc. ankietowanych odwołano lub przełożono wizytę u specjalisty. 24 proc. spotkało to samo w przypadku porady u lekarza POZ. Liczby te są jednak mocno optymistyczne, bo w badaniu uwzględniono także odpowiedzi tych, którzy nie mieli umówionych wizyt.

Inny obraz daje badanie Krajowego Instytutu Gospodarki Senioralnej, który przepytął pacjentów powyżej 60. roku życia. 67 proc. z nich odczuło problemy z dostępem do opieki medycznej podczas pandemii. 31 proc. ankietowanych seniorów przerwało dotychczasowe leczenie z po-

wodu problemów w dostępie do służby zdrowia oraz ze strachu przed zarażeniem. – W ostatnim czasie lepiej jest przechodzić COVID-19, niż zmagać się z niewydolnością krążenia, bo dużo ciężiej jest się dostać do systemu opieki zdrowotnej – skomentował wyniki badań prof. Bolesław Samoliński, specjalista zdrowia publicznego. Dodał, że zwłaszcza w stosunku do seniorów lekarze powinni zrezygnować z teleporad i wrócić do bezpośrednich wizyt.

Teleporady miały służyć do tego, by bez konieczności przychodzenia do przychodni poprosić o receptę na leki czy zwolnienie lekarskie w przypadku jakiejś infekcji. W wielu miejscach lekarze ich nadużywają. Diagnozują przez telefon, prosząc o opowiedzenie o dolegliwościach albo wysłanie zdjęcia na którymś z komunikatorów, żeby tylko nie musieć spotykać się z pacjentami. – Nawet psychiatry leczą przez telefon. Od kilku lat jestem pod opieką jednej z podwarszawskich poradni zdrowia psychicznego. Dawno nie byłem na wizycie, mój stan się pogorszył, chciałem skonsultować się z lekarzem. Przez kilka kolejnych miesięcy proponowano mi tylko telewizytę – opowiada 35-latek z Warszawy.

Jeszcze bardziej kreatywna w utrzymywaniu dystansu na linii pacjent-personel medyczny okazała się przychodnia w Tarnobrzegu. Zastąpiła na całą Polskę za sprawą kija umieszczonego na tyłach placówki. Pacjenci pukali nim w okno, by np. odebrać skierowanie czy wyniki badań.

Śmieszne? Chorym z najpoważniejszymi schorzeniami nie jest jednak do śmiechu. Z danych opublikowanych przez fundację Onkologia 2025 w raporcie „Onkologia w czasach COVID-19” wynika, że w kwietniu i maju w dziedzinie świadczeń onkologicznych doszło wręcz do zapaści. Największa dotyczy badań profilaktycznych. Spadki liczby wykonanych badań mammograficznych w trzech województwach, z których dane analizowała fundacja, przekroczyły nawet 99 proc. w porównaniu z rokiem wcześniejszym. Na Śląsku było to w kwietniu o 96,2 proc. badań mniej, w maju – 92,1 proc. Na Mazowszu spadki wyniosły odpowiednio: 95,3 proc. oraz 88,2 proc. Na Warmii i Mazurach w kwietniu zrobiono o 95,8 proc. mniej mammografii. W maju aż o 99,5 proc. mniej, co oznacza, że badanie w tym województwie udało się zrobić zaledwie 14 pacjentkom.

„SKUTKI BĘDĄ KATASTROFALNE”

W kwietniu wykonano też bardzo mało badań cytologicznych. W trzech województwach było ponad 90 proc. badań mniej niż w roku 2019. W maju ok. 80 proc. mniej. – Spadki w liczbie wykonanych badań profilaktycznych najbardziej zwracają uwagę, ale mocno spadła też liczba konsultacji pierwszorazowych, Kart Diagnostyki i Leczenia Onkologicznego (DILo) wydawanych pacjentom, konsyliów, świadczeń w radioterapii – wylicza Anna Andrzejczak, prezes fundacji Onkologia 2025. – Na te dane patrzymy z dzisiejszej perspektywy, ale wiosną wiedzieliśmy dużo mniej i sytuacja wyglądała inaczej, że szpitale płynęły informacje o brakach maseczek, rękawiczek i innych środków ochrony. Myślę, że wówczas czasowe wstrzymanie wizyt było słuszne, ale musimy zrobić wszystko, żeby teraz, mimo większej liczby zachorowań na COVID-19, zapewnić ciągłość udzielania świadczeń w onkologii. W przeciwnym razie skutki będą katastrofalne. Brytyjczycy, którzy przeprowadzili dokładne analizy, spodziewają się, że efektem opóźnień spowodowanych pandemią będzie wzrost liczby zgonów pacjentów onkologicznych – od 5 nawet do 17 proc. To są tysiące osób, które mogą umrzeć przedwcześnie z po-

wodu tego, że zachorowali w takiej, a nie innej sytuacji i za późno trafili do lekarza. Rak nie poczeka. Rokowania w przypadku raka piersi I czy II stopnia są diametralnie inne niż w przypadku III i IV stopnia. A do lekarzy onkologów już teraz napływają niepokojące informacje o pacjentach, którzy nie trafili odpowiednio szybko na badanie albo byli leczeni objawowo w trybie teleporady. Gdyby lekarz miał możliwość spotkać pacjenta w gabinecie i wykonać proste badanie, zapewne szybko zleciłby diagnostykę lub kontakt ze specjalistą i leczenie rozpoczęłoby się wcześniej – mówi prezes fundacji Onkologia 2025.

Zdesperowani chorzy pomocy szukają w organizacjach pozarządowych. – Z naszą fundacją kontaktuje się coraz więcej pacjentów, którzy zostali pozostawieni sami sobie. Ich lekarz wstrzymał przyjęcia chorych, badanie czy wizyta, na które czekali, często miesiącami, znów zostały przełożone. Sytuacja chorych na raka jest bardzo trudna, dotyczy to zarówno pacjentów będących w trakcie leczenia, jak i pacjentów przed diagnozą i w jej trakcie – mówi Joanna Frątczak-Kazana z fundacji Alivia. Podkreśla, że w leczeniu raka kluczowy jest czas. – Widzimy absurdalne procedury utrudniające dostęp do leczenia, szczególnie pacjentom z miejscowości oddalonych od szpitali, w tym obowiązek wykonania testu na COVID-19 w placówce, w której jest zaplanowane leczenie chirurgiczne. To często setki kilometrów do pokonania, dodatkowe koszty i gigantyczne obciążenie psychiczne! Jedna z chorych jechała w ciągu pięciu dni trzykrotnie do oddalonego o 200 km szpitala, raz na test, kolejny raz na wizytę z anestezjologiem i wreszcie na przyjęcie przed operacją – dodaje.

Anna Andrzejczak podkreśla, że choć większość ośrodków onkologicznych stara się działać normalnie, to musi się poprawić dostępność do lekarzy POZ, specjalistów, badań przesiewowych. – Rzadko pacjent trafia od razu do placówek prowadzących leczenie onkologiczne. Ścieżka pacjenta onkologicznego zaczyna się na wizycie u lekarza POZ czy u specjalistów w ambulatorium albo podczas badań przesiewowych – mówi.

Pacjenci skarżą się, że choć od miesiący działają galerie handlowe, fryzjerzy czy kosmetyczki, to w wielu przychodniach personel zamknął się przed ludźmi jak w twierdzy. W małopolskich Kętach ci, którzy zastali zamknięte drzwi ośrodka zdrowia, interweniowali u burmistrza. „Nie może dłużej być tak, że w obawie

przed wirusem pacjenci »dla własnego dobra« odbijają się od drzwi przychodni i są leczeni przez telefon. Nie zgadzam się na to, by młodziutka matka z dwutygodniowym dzieckiem odeszła z placem od zamkniętych drzwi przychodni” – napisał na Facebooku Krzysztof Kłęczar, burmistrz Kęt. Dyrekcji ośrodka dał tydzień na propozycję, jak problem rozwiązać.

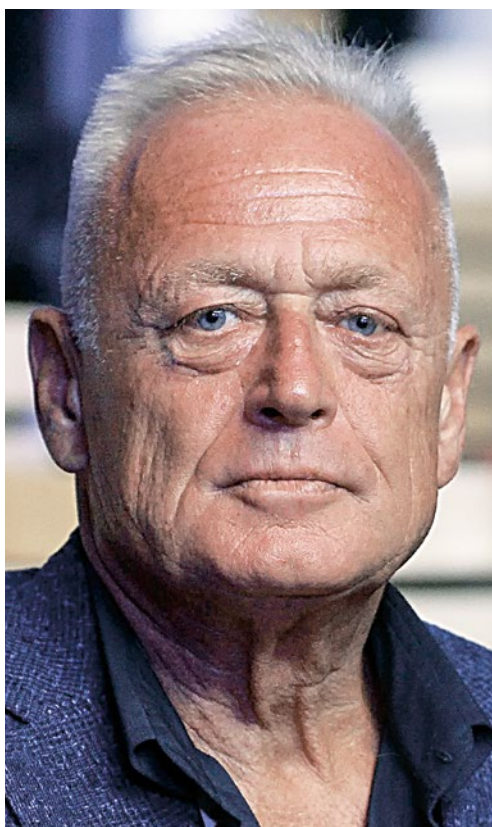
PACJENCI STANOWIĄ ZAGROŻENIE

Dlaczego wielu lekarzy po lockdownie nie wróciło do gabinetów i przyjmowania pacjentów w tradycyjny sposób? Rafał Hołubicki, rzecznik prasowy Naczelnej Izby Lekarskiej, tłumaczy „Do Rzeczy”, że na początku pandemii placówki miały problem z dostępem do środków ochrony indywidualnej, rządzący zalecali odkładanie planowych zabiegów, a w POZ zalecali teleporady. – W obecnej chwili po raz kolejny mamy sytuację, w której zaleca się (są to zalecenia NFZ i MZ) placówkom odkładanie zabiegów planowych z powodu zwiększenia zachorowalności na COVID-19 w celu zwiększenia dostępności dla osób wymagających pomocy z powodu zakażenia koronawirusem – podkreśla Hołubicki. – W chwili obecnej personel medyczny robi, co może, walcząc nie tylko z epidemią, lecz także ze wszystkimi brakami kadrowymi i sprzętowymi – dodaje.

Inaczej sprawę przedstawił jednak dyrektor przychodni w Złotoryi. „Lekarze, każdy z nas ma prawo bać się zakażenia. A pacjenci stanowią zagrożenie. Nigdy nie wiadomo, kto może być zarażony” – mówił Ireneusz Żurawski wp.pl. „Gdyby ludzie bardziej koncentrowali się na swoim zdrowiu, to nie potrzebowaliby tylu wizyt” – doradził.

Sylvia Wądrzyk, rzecznik NFZ, zapewnia jednak, że placówka medyczna ma obowiązek realizować świadczenia zgodnie z umową z NFZ. – Jeżeli odwoła wizytę, to powinna wyznaczyć pacjentowi nowy termin – mówi. I dodaje, że w związku z sygnałami od pacjentów NFZ weryfikuje możliwość telefonicznego kontaktu z placówką medyczną, tryb pracy personelu, możliwość rejestracji do lekarza, a także osobistego kontaktu z lekarzem. – Sprawdziliśmy już ponad 9 tys. placówek w całym kraju. Jeśli pacjent ma problem z uzyskaniem pomocy medycznej, wówczas może zgłosić to do NFZ – zapewnia.

Może się jednak okazać, że na odpowiedź na skargę pacjent poczeka równie długo jak na wizytę.



tw. progi alarmowe. GIIF jest instytucją, której systemy potrafią automatycznie wychwytywać takie transakcje. Banki też są zobowiązane powiadamiać o podejrzanych operacjach na kontach bankowych.

I system ten zadziałał bez zarzutu. Z jednym wyjątkiem – notatka sporządzona w tej sprawie pozostała bez nadania jej biegu. I choć podejrzane transakcje były przeprowadzane także już po sporządzeniu jej, to GIIF przestał się sprawą interesować, a notatkę po tygodniu skierowano do archiwum. Przypomnijmy, że w tamtym okresie na czele GIIF stał Andrzej Parfianowicz. Jak wynika z nagrania ujawnionego w czasie afery taśmowej, to właśnie do niego zwrócił się Sławomir N. (obecnie w areszcie) przerażony kontrolą skarbową w firmie jego żony za rok 2012. Szef GIIF uspokajał wówczas N. i mówił: „Zablokowałem to”. Czy i w przypadku transakcji Polnordu, Prokomu oraz spółek związanych z ludźmi Giertycha ktoś interweniował? To będzie musiała zbadać prokuratura.

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM; LUKASZ DENAROWICZ/FORUM

Jak płynęły pieniądze



Cezary Gmyz

Na trop, który doprowadził śledczych do Romana Giertycha i Ryszarda Krauzego, wpadli urzędnicy skarbowki. Co znaleźli?

W sprawie Romana Giertycha i Ryszarda Krauzego najbardziej zdumiewające jest to, że systemy mające ostrzegać o możliwości prania pieniędzy zadziałały bardzo szybko, niemalże w momencie przeprowadzania dziwnych transakcji. Pierwsza notatka informująca o wielomilionowych przepływach między ad hoc

powołanymi spółkami a Prokomem, Polnordem oraz kancelarią Romana Giertycha została sporządzona w Urzędzie Skarbowym Warszawa-Bielany i została skierowana do Głównego Inspektoratu Informacji Finansowej w lutym 2012 r. Inspektorzy alarmowali o dokonywaniu przez te podmioty wielomilionowych transakcji, znacznie przekraczających

„FOKA” NIC NIE PAMIĘTA

Przez kilka lat w sprawie nic się nie dzieje. Dopiero po zmianie zarządu w Polnordzie, podczas badania dokumentów z czasów poprzedniego zarządu, na jaw wychodzi wypływanie sporych pieniędzy z firmy w latach 2011–2014. Pod koniec 2016 r. zarząd składa zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. W lutym 2017 r. prokuratura podejmuje decyzję, że rozpocznie śledztwo w sprawie wyprowadzania pieniędzy z tej spółki giełdowej.

Badane są dwie sprawy. Po pierwsze operacje handlu rzekomymi wierzytelnościami, które w gruncie rzeczy były czymś w rodzaju weksla bez pokrycia. Po drugie – obrotu działką w Dopiewcu w Wielkopolsce, która w ciągu tygodnia zyskała na wartości ok. 20 mln zł.

Sprawa nie była wówczas traktowana priorytetowo. Dość powiedzieć, że czynności związane z obrotem działką w Dopiewcu zostają powierzone zwykłej komendzie rejonowej policji w Warszawie. Dopiero w lutym 2018 r. na przesłuchanie zostaje wezwany ochroniarz Romana Giertycha o pseudonimie Foka. Pytany jest o transakcję w Dopiewcu przeprowadzoną przez spółkę Propepris 33, której jest wyłącznym właścicielem, a zarząd sprawuje tam jego żona.

Zeznania mają mieć kuriozalny przebieg. „Foka” zastania się niepamięcią.

Nie jest w stanie powiedzieć, czy spółka zatrudniała jakichś pracowników ani czy przed transakcją sporządzono operat szacunkowy dotyczący działki. I choć kwota transakcji sięga wielu milionów złotych, „Foka” nie potrafi odpowiedzieć, skąd wziął pieniądze na zakup tej działki. Wyraża jedynie przypuszczenie, że ktoś mu je pożyczył. Nie pamięta jednak kto. Podobnie nie pamięcią zasłania się w kwestii okoliczności zbycia działki Polnordowi. Przyznaje jednak, że Prope-
ris 33 nigdy potem już nie przeprowadziła transakcji na rynku nieruchomości.

Śledczy uważają, że „Foka” nie zachował tych pieniędzy, lecz najprawdopodobniej przekazał je na konta firm należących do Krauzego, w tym firm zarejestrowanych na Cyprze.

Sprawa nabiera tempa dopiero, kiedy czynności w postępowaniu zostają powierzone Centralnemu Biuru Antykorupcyjnemu. Zaczyna ono szczegółowe badanie wielu transakcji wykonanych przez Prokom, Polnord oraz inne spółki założone przez współpracowników Romana Giertycha, a także roli samego mecenasa w tych transakcjach. Niezależnie od działań CBA i prokuratury sprawa staje się przedmiotem zainteresowania GIIF.

MIASTECZKO WILANÓW

Jedną z transakcji dotyczy roku 2002 r., kiedy to na gruntach nabytych od Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego zaczyna się budowa Miasteczka Wilanów. Żeby budowa mogła się w ogóle rozpocząć tam, gdzie na polach rosła kapusta, konieczne jest zbudowanie kanalizacji – Systemu Odprowadzania Wód Deszczowych (SOWD). Trzy lata wcześniej Prokom, który jest właścicielem działki, zobowiązuje się do nieodpłatnego przekazania miastu stołecznemu tej infrastruktury. Ma to na celu przyspieszenie inwestycji. I rzeczywiście miasteczko zaczyna rosnąć jak na drożdżach.

Jednak kilka lat później Miasteczko Wilanów przechodzi na własność innej firmy, w której podmiotem dominującym jest Ryszard Krauze – Polnord. Częścią transakcji jest przekazanie na własność SOWD. Problem polega na tym, że ten system miał być przekazany nie innej firmie Krauzego, ale miastu Warszawa. Polnord, wykorzystując nie do końca klarowne zapisy w umowach, zaczyna twierdzić, że miasto system powinno odkupić, nie zaś dostać za darmo. Jednak

pozew w tej sprawie kieruje dopiero w 2016 r., kiedy w Polsce zmienia się władza (sprawa wciąż nie ma swojego ostatecznego finału sądowego, miasto Warszawa konsekwentnie odrzuca żądania spółki).

W tej sprawie najistotniejsze jest jednak to, jak doszło do tego, że rzekome wierzytelności stały się własnością Polnordu. A stało się to między październikiem 2011 a sierpniem 2014 r. W tym to właśnie czasie dwaj współpracownicy Romana Giertycha – jego ochroniarz pseud. Foka oraz Piotr Ś. – zakładają spółki. Mają one minimalny kapitał zakładowy (po 5 tys. zł), nie zatrudniają pracowników, a niemal z dnia na dzień zaczynają obracać dziesiątkami milionów złotych. To firmy T.G. sp. z o.o. oraz New Industry sp. z o.o. Według śledczych transakcje mają bardzo podobny przebieg jak w przypadku działki w Dopiewcu (z tą jednak różnicą, że działka w Dopiewcu istnieje rzeczywiście; co do istnienia wierzytelności miasta stołecznego Warszawy wobec Prokomu, a następnie Polnordu są zaś poważne wątpliwości). Prokom sprzedaje rzekomą wierzytelność dwóm dopiero co powstałym spółkom bez badania ich wiarygodności i możliwości finansowych. Następnie obie spółki zbywają tę wierzytelność już za prawdziwe pieniądze Polnordowi. Przypomnijmy, że Polnord kupuje wierzytelność za System Odprowadzania Wód Deszczowych, który i tak od dłuższego czasu jest we władaniu tegoż właśnie Polnordu.

Według śledczych kancelaria Romana Giertycha miała otrzymać kilkanaście milionów złotych za obsługę prawną podmiotów gospodarczych – m.in. Prokomu, Polnordowi, T.G. sp. z o.o. oraz New Industry sp. z o.o. Kancelaria miała wystawiać faktury, a pieniądze miały przechodzić przez system bankowy. GIIF po szczegółowej analizie dochodzi do wniosku, że jest to tzw. metoda mieszania dochodów. Polega ona na tym, że dochody z legalnej działalności mieszane są z dochodami z działalności nielegalnej i uwiarygadniane fakturami. W czerwcu 2019 r. GIIF składa zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. Sporządzona przez inspektora analiza jest zbieżna z ustaleniami CBA i prokuratury.

DROGA PIENIĘDZY

Co się dzieje z pieniędzmi, które trafiły z Polnordu do T.G. sp. z o.o. oraz New

Industry sp. z o.o.? Śledczy odkrywają, że „Foka” dokonuje olbrzymich wypłat gotówkowych w bankomatach i kasach bankowych. Według prokuratury dokonuje m.in. przelewów na konto kancelarii Giertycha jako zapłatę za faktury za usługi prawne.

Roman i Barbara Giertychowie mają rozdzielność majątkową. Mecenas przekazuje pieniądze swojej żonie w formie darowizny. Barbara Giertych kupuje m.in. nieruchomości. Jedną z inwestycji jest zakup posiadłości położonej 40 km od Rzymu. Transakcja jest sfinansowana z włoskiego konta Barbary Giertych, na które pieniądze przelał Roman Giertych.

Poza zdawkową wypowiedzią Ryszarda Krauzego o tym, że śledczy rzekomo pomylili przychód ze stratą, ani Roman Giertych, ani jego prawnicy nie odnoszą się merytorycznie do treści postawionych zarzutów. Cała linia obrotu mec. Giertycha na razie to pretensje pod adresem CBA – m.in. twierdzenie, że agent, który go pilnował, coś mu zrobił, a nawet kuriozalne sugestie, że funkcjonariusz CBA miał kierować seksistowskie uwagi pod adresem córki Giertycha – Marii.

Wstępnej oceny materiału dowodowego zgromadzonego przez prokuraturę, CBA oraz GIIF dokonał sąd w Poznaniu. Uznał, że zachodzi małe prawdopodobieństwo popełnienia przestępstwa, i odmówił zastosowania aresztów wobec podejrzanych. Warto jednak dodać, że sąd miał bardzo ograniczone możliwości analizy materiału dowodowego. Akta sprawy liczą około stu tomów. Sędzia, która badała wniosek aresztowy, miała niewiele czasu na ocenę całego materiału.

Należy też zauważyć, że jeszcze w 2018 r. – co przypomniat portal Onet.pl – sąd apelacyjny uznał, że Polnord ma prawo dochodzić od miasta roszczeń w sprawie Systemu Odprowadzania Wody Deszczowej.

Prokuratura nie zgadza się z postanowieniem sądu i zapowiada zażalenie na jego decyzję. Samo odrzucenie wniosków aresztowych jeszcze o niczym nie przesądza – warto wspomnieć choćby głośną sprawę byłego senatora Józefa Piniora, w której sąd również odrzucił wniosek prokuratury o areszt, a sam Pinior został potem skazany na dwa lata bezwzględnej więzienia.



Batalia o muzeum

FOT. WOJCIECH STRZYŻYŃSKI/REPORTER



Piotr Semka

Sąd w Gdańsku odrzucił 16 z 17 żądań byłego kierownictwa Muzeum II Wojny Światowej postulującego usunięcie zmian w ekspozycji stałej. Żądano m.in. usunięcia zdjęć św. Maksymiliana M. Kolbego, rtm. Pileckiego czy polskiej flagi ocalonej we Lwowie w chwili wejścia wojsk sowieckich w 1939 r. Dlaczego te symbole polskiej martyrologii w ostatniej wojnie stały się przedmiotem długiego przewodu sądu?

Istotą batalii o Muzeum II Światowej były dwie linie sporu.

Po pierwsze tworzone przez Pawła Machcewicza z politycznym parasolem Donalda Tuska muzeum porzuciło zaplanowaną za rządów PiS w latach 2005–2007 ideę muzeum-parku historycznego na Westerplatte. Zamknięto dość zaawansowany już projekt rewitalizacji historycznego półwyspu i skupiono się wyłącznie na muzeum. Po drugie założenia ekspozycji nowej placówki, które przedostały się do prasy, wywołały krytykę z racji wielu braków czy wyzywających deklaracji w stylu: „Wystawa nie będzie panteonem polskiego oręża”. Nie przedstawiono polsko-niemieckiego konfliktu z okresu 1918–1933, śladowo wspomniano o przesładowaniu Polaków w Wolnym Mieście Gdańsku i np. zdawkowo potraktowano męczeństwo polskiego duchowieństwa. W dyskusji na temat planowanej wystawy ekipa Pawła Machcewicza przyjęła taktykę, dającą się streścić w słowach: „Nie ma

co dyskutować o kształcie ekspozycji dopóty, dopóki nie będzie ona gotowa”. A gdy już ją otworzono, okazało się, że jest ona integralną całością, w której nic nie może być zmienione. Do sporej części ekspozycji nie było zastrzeżeń, niektóre jej sekcje wręcz budziły szczere uznanie. Nie zmieniało to jednak sytuacji, że sygnalizowane wcześniej braki pozostały. Machcewicz i jego zastępcy z tej nieustępliwości uczynili cnotę. Założyli, że albo nowy rząd PiS, który doszedł do władzy w 2015 r., nie zdecyduje się na ich usunięcie, albo odejdą z hukiem, aby przybrać rolę ofiar i wrócić do placówki po spodziewanym powrocie Platformy do władzy w 2019 r.

TAKTYKA SPALONEJ ZIEMI

Minister Piotr Gliński nie uległ temu szantażowi i powołał nowe muzeum z nowym kierownictwem. W kwietniu 2017 r. dyrektorem został Karol Nawrocki. Zmiana wywołała protest dawnej rady muzeum i zapoczątkowała kampanię

propozycyjnych mediów głoszących rzekome jego zniszczenie.

Paweł Machcewicz w specjalnym liście ostrzegł nowego szefa placówki, że wszelkie zmiany w ekspozycji wymagać mają konsultacji z nim i jego zgody. Karol Nawrocki odrzucił takie stanowisko. Wskazywał, że muzeum jest placówką publiczną, a prawem każdego nowego szefa są zmiany. Ekspozycja nie może być uznana za dobro niepodlegające jakimkolwiek zmianom. „Inaczej nie miałaby sensu moja nominacja” – wskazywał. „Byłbym wtedy raczej bezsilnym kustoszem nienaruszalnej ekspozycji”.

Dyrektor Nawrocki powołuje zespół do ewaluacji, który dokonuje przeglądu poprzedniej ekspozycji i wskazuje na braki. Zmieniony zostaje też film „Dyptryk”, który żegna widza na koniec zwiedzania. Film z epoki Machcewicza budził wiele kontrowersji. Zrównywał sytuację powojenną po stronie Zachodu z sytuacją w obozie komunistycznym, sugerując, że po obu stronach żelaznej kurtyny pojawiały się ruchy na rzecz emancypacji i poszerzania wolności. Takie zrównywanie sytuacji w wolnym świecie i pod rządami totalitaryzmu musiało wywoływać sprzeciw. Wyekspozowanie we fragmencie o epoce Solidarności postaci prezydent Gdańska Pawła Adamowicza, który stał się bardziej znany dopiero w 1988 r. jako lider strajku NZS na Uniwersytecie Gdańskim, wyglądało albo jak lizusostwo, albo jak wsparcie dla ówczesnego politycznego zaangażowania Adamowicza w politykę.

Zamiast kontrowersyjnego montażu pojawił się animowany film IPN „Niezwyciężeni”.

Po zmianie kierownictwa muzeum zwolennicy Machcewicza w mediach ogłosili, że ekspozycja została barbarzyńsko zniszczona i zmieniona nie do poznania. Nie była to prawda. W ogromnej, zajmującej przestrzeń ponad 5 tys. mkw. i 18 sekcji wystawienniczych wystawie dokonano tylko 26 zmian. Zadbano, aby plastycznie nowe wtręty nie zaburzały wizualnej ciągłości ekspozycji.

W reakcji na zmiany, w styczniu 2018 r. grupa czterech osób – były dyrektor MIIWŚ Paweł Machcewicz, jego dwóch zastępców Janusz Marszałek i Piotr M. Majewski oraz Rafał Wnuk, były kierownik działu naukowego muzeum – podali nową dyrekcję do sądu pod zarzutem nieuprawnionych zmian w ekspozycji wbrew scenariuszowi wystawy. Machcewicz i jego

grupa do dziś głoszą, że bronią pierwotnej wystawy „przed fałszem i polityczną ingerencją”.

PROCES

Warto dokładnie przedstawić pozew grupy Machcewicza. Domagał się on usunięcia 17 zmian w ekspozycji z 26. Na liście tej znalazły się żądania:

- usunięcia portretu o. Maksymiliana Marii Kolbego wraz ze stanowiskiem multimedialnym poświęconym jego postaci,
- usunięcia portretu Witolda Pileckiego wraz ze stanowiskiem multimedialnym dotyczącym jego postaci,
- usunięcia zdjęcia powstańców warszawskich składających przysięgę wojskową przed wstąpieniem do oddziału podczas mszy św.,
- usunięcia zdjęcia rodziny Ulmów wraz ze stanowiskiem multimedialnym „Polacy ratujący Żydów”,
- usunięcia maski pośmiertnej bł. ks. Stefana Wincentego Frelichowskiego (ofiary KL Dachau) wraz z ekspozytorem poświęconym kaźni duchowieństwa w obozach koncentracyjnych,
- usunięcia spisu pomordowanych Polaków w KL Dachau sporządzonego w 1946 r. przez zespół ks. Edmunda Charta (więźnia Dachau),
- usunięcia polskiej flagi narodowej ocalonej w okupowanym przez Sowieców Lwowie i przywrócenie na jej miejsce makaty przedstawiającej powitanie przez mniejszość białoruską Armii Czerwonej wkraczającej na ziemię polskie po 17 września 1939 r.,
- usunięcia ekspozytora poświęconego mjr. Henrykowi Dobrzańskiemu „Hubalowi”,
- usunięcia ekspozytora poświęconego Marianowi Rejewskiemu, polskiemu kryptologowi, który w grudniu 1932 r. złamał szyfr „Enigmy”,
- usunięcia eksponatu – rewolweru Nagant – ilustrującego typ broni, z której NKWD mordowało mniejszości narodowe, w tym Polaków w ramach operacji antypolskiej z lat 1937–1938,
- usunięcia rysunku Matki Boskiej i fragmentu pasiaka z numerem obozowym wykonanych po wojnie przez więźnia KL Mauthausen w trakcie terapii mającej pomóc mu w uwolnieniu się od psychicznego uwięzienia w obozowym koszmarze,
- usunięcia tablic z wystawy głównej MIIWŚ: „Piętno wojny, Związek Sowiecki.

Komunistyczne państwo masowego terroru” oraz „Operacja (anty)polska NKWD 1937–1938. Sowieckie ludobójstwo na Polakach”,

- usunięcia sekcji z wystawy głównej MIIWŚ, poświęconej partyzantom nowych fragmentów treści umieszczonych we wprowadzeniach do tematyki partyzantki sowieckiej, polskiej, francuskiej i jugosłowiańskiej,
- usunięcia z wystawy głównej MIIWŚ statystyk strat osobowych wybranych państw traktujących jako „ofiary wojny” np. żołnierzy niemieckich,
- przywrócenia pierwotnej formy scenograficznej wystawy w części poświęconej Polskiemu Państwu Podziemnemu,
- przeniesienia eksponatów dotyczących kpt. Antoniego Kasztelana w pierwotne miejsce ich prezentacji, czyli do gabloty z eksponatami dotyczącymi Rudolfa Spannera,
- przywrócenia filmu „Dyptyk”.

Przepraszam za ten długi spis, ale tylko on pozwala zrozumieć absurd sytuacji. Autorzy ekspozycji sugerowali, że zmiany są fałszem albo polityzacją wystawy. Polityki bieżącej w zakwestionowanych zmianach nie sposób się dopatrzyć. Można co najwyżej dyskutować o rozłożeniu akcentów. Tymczasem przeciw muzeum wytoczono najcięższe działa propagandowe.

Autorzy poprzedniej wystawy nie tylko nie czują żadnego dyskomfortu, że pominęli kaźń polskiego duchowieństwa, lecz także żądają usunięcia korekt mających nadrobić ten brak. Tak samo żądają powrotu do sytuacji, w której takie postacie jak rtm. Pilecki czy „Hubal” nie były wyeksponowane w sposób adekwatny do wagi ich poświęcenia. Absolutnym kuriozum było żądanie usunięcia flagi ze Lwowa. Po pierwsze tę cenną relikwię historyczną umieszczono w miejscu białoruskiej makatki z okazji 17 września, której termin wypożyczenia uzgodniony przez poprzednią dyrekcję się skończył. Flaga, która zastąpiła makatkę, była darem rodziny prof. Wiesława Gruszkowskiego i została przyjęta przez wicedyrektora Majewskiego. Dlaczego zażądano więc usunięcia jej z ekspozycji?

KONIEC POZWÓW?

Nasuwa się kolejne pytanie.

Czy dawna dyrekcja może rościć sobie prawo, aby jej ekspozycja nigdy nie była zmieniana lub aby odbywało się to za ich łaskawą zgodą? Wystawa, która powstała

za publiczne pieniądze, jest prywatną własnością jej twórców? Werdykt Sądu Okręgowego w Gdańsku oddalający 16 z 17 roszczeń budzi nadzieję, że tak aroganckie założenie będzie odrzucane w przyszłości przez wymiar sprawiedliwości. Ale pewności nie ma.

Machcewicz i jego zastępcy przedstawili werdykt z 15 października w mediach jako swój sukces, choć sąd odrzucił absolutną większość ich roszczeń (nakazał jedynie usunięcie filmu „Niezwyciężeni”, ale nie zażądał przywrócenia poprzedniej produkcji – „Dyptyku”). Nie zmienia to faktu, że ciągnący się prawie dwa lata proces wisiał nad dyrekcją jak miecz Damoklesa, działając paraliżująco na kolejne zmiany. Czy Machcewicz zrezygnuje z dalszych pozwów?

Opinie wśród prawników, z którymi rozmawiałem, są niejednolite. Jedni wskazują, że proces wymaga kosztów, a zbiórka środków na ich pokrycie nie musiałaby dziś przynieść takich samych efektów jak dwa lata temu. Machcewicz wierzył, że PiS będzie rządził najwyżej cztery lata, a potem do władzy wróci Platforma. Teraz perspektywa zmian się oddala.

Inni prawnicy wskazują, że w polskim prawie każdy kolejny wyrok może o 180 stopni odwrócić myślenie o danym przypadku. Wystarczy trafić na „rozgrzanego sędziego” noszącego pod togą koszulkę „Konstytucja”.

Obie strony zapowiedziały, że ewentualną apelację uzależnią od zapoznania się z uzasadnieniem wyroku.

Wyrok sądu z Gdańska utrudni jednak dotychczasową kampanię oczerniania nowej dyrekcji muzeum. Jeszcze trzy lata temu zapowiadano, że po odejściu Machcewicza i jego zespołu darczyńcy eksponatów z ostatniej wojny wycofają swe dary, a nowe przestaną napływać. Tak się nie stało. Od 2017 r. placówka zyskała od zwykłych Polaków ponad 9 tys. nowych eksponatów. W tym roku MIIWŚ zdobyło wyróżnienie w Konkursie na Wydarzenie Muzealne Roku Sybilla 2019 w kategorii „Zarządzanie” za projekt „Koordynacja obchodów 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej”. A liczba widzów, którzy odwiedzili muzeum – liczona już po odejściu Machcewicza – sięgnęła 1 mln 177 tys. osób. Wbrew kampanii hejtu wokół muzeum w Gdańsku Polacy zagłosowali nogami.



Wojciech Pszoniak jako Moryc Welt
w „Ziemi obiecanej” FOT. RENATA PAJCHEL/EAST NEWS

Jako Moryc Welt w „Ziemi obiecanej” i Robespierre w „Dantonie” czy w teatralnych rolach Puka we „Śnie nocy letniej” i Piotra Wierchowienieńskiego w „Biesach” otarł się o genialność. Niestety, z ostatnich ról zmarłego 19 października 78-letniego Wojciecha Pszonia-ka najgłośniejszym echem odbiły się te, w których jak za panią matką powtarza za innymi celebrytami: „Nie świruj – idź na wybory” czy ze swoimi partnerami z „Ziemi obiecanej” – Olbrychskim i Sewerynem – deformuje znany cytat:

na co się odważył, jest czymś więcej, niż się normalnie widuje w filmach polskich, dlatego za tego typu odwagę jestem gotów go docenić jeszcze bardziej... nie mam mu za złe tego, że jego siła przebi-cia polega na umiłowaniu życia bardziej niż na innych treściach, jakie bohater winien nieść ze sobą”.

Zanim rolę Moryca Welta powalił na kolana całą Polskę, miał z tym, bodaj najlepszym, filmem Wajdy niemało problemów: „Andrzej dał mi scenariusz »Ziemi obiecanej« – opowiadał Mi-

jest ta, w której grany przez Pszonia-ka Moryc wychodzi rozemocjonowany i spocony z kantoru Grünspana i po tym, gdy bezczelnie odmówił mu zwrotu pożyczonych pieniędzy, siada przed drzwiami, by po chwili nieoczekiwanie zamachać ręką do kamery czy, jak kto chce, do widowni. Podobno aktor wyko-nał ów gest, zniecierpliwiony, że reżyser nie daje komendy „Stop”. Wajda zdecy-dował się włączyć do filmu tę powstałą absolutnie spontanicznie sekwencję, która już na premierze „Ziemi obiecanej” stała się kultowa.



Krzysztof Masłoń

To truizm, ale Wojciech Pszoniak kochał życie. Zachwycał się pięknymi kobietami i był świetnym mężem wspaniałej żony. Znano go jako smakosza. A jego filmowe i teatralne zasługi, niezależnie od tego, co wygadywał, zupełnie niepotrzebnie wkraczając w rejony polityki, są nie do przecenienia

Wytrawny smakosz życia

„Ja nie mam nic, ty nie masz nic, on nie ma nic – to razem mamy właśnie tyle, aby Polsce przywrócić normalność”.

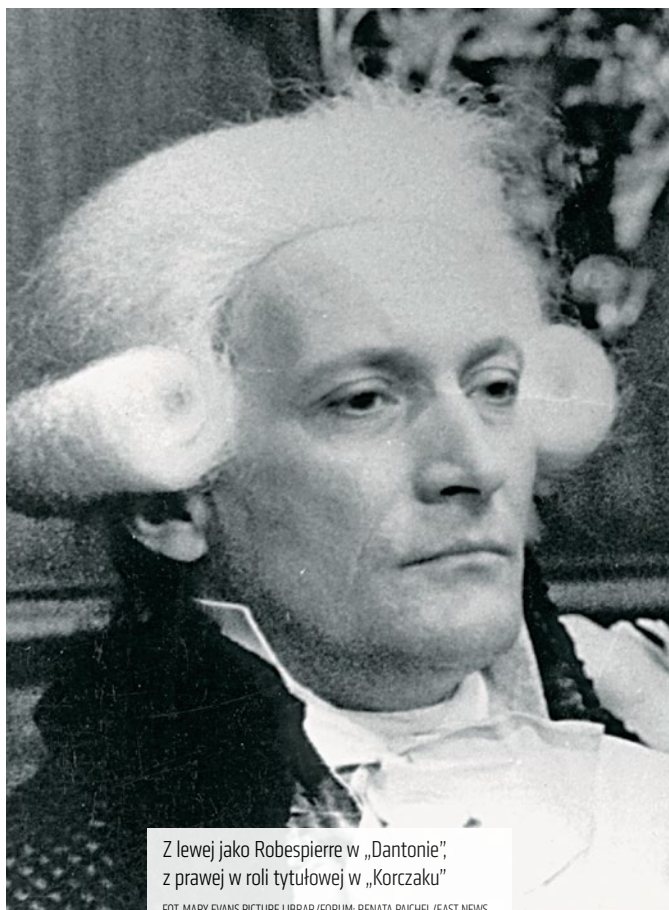
W 1975 r. był już docenionym aktorem, doszłusował do największych. Reżyser Konrad Swinarski tak wtedy mówił o nim: „Jest on wspaniałym instrumen-tem do współpracy, bo przy tej inicjaty-wie, jaką on wnosi do spektaklu, przy jego inteligencji i przy jego zdolnościach aktorskich wystarczy go naprowadzić na trop... niemniej jednak grywał on przez jakiś czas jak dzika kaczka po wystrzale, frf, frf, wszystkie te role... no ale to, czego dokonał ostatnio, co widziałem w Robe-spierze w Teatrze Powszechnym i co wi-działem w filmie »Ziemia obiecana«, i to,

chałowi Komarowi – mówiąc, że mam zagrać rolę Zuckera, starego męża Lucy, kochanki Borowieckiego. Trochę mnie to rozśmieszyło. Byłem młody, długowłó-sy... Rola nie dla mnie i w sumie pomniej-szająca wiarygodność romansu między Borowieckim – Danielem Olbrychskim, a Lucy – Kaliną Jędrusik... Powiedziałem Wajdzie, że oczywiście zagram, ale trzeba będzie dopisać parę scen, aby widz zrozumiał, dlaczego Lucy zdradza mnie z Borowieckim. Po paru tygodniach Wajda wycofał się z tej propozycji, ja zaś pojechałem na plan innego filmu. Osta-tecznie rolę Zuckera zagrał Jerzy Nowak”.

Jedną ze scen „Ziemi obiecanej”, która weszła na absolutny top polskiego kina,

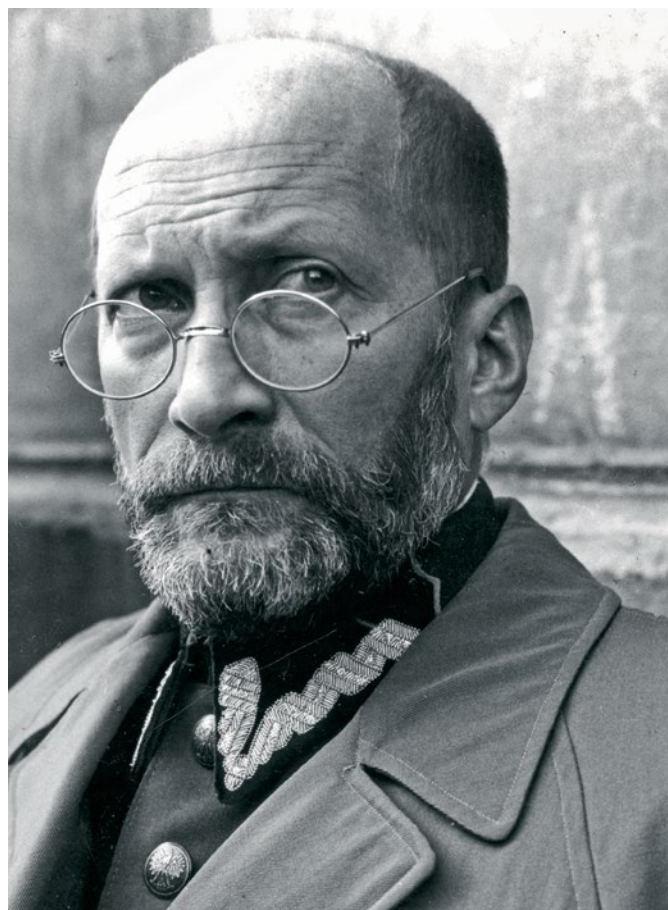
DRUGA ŚMIERĆ JANUSZA KORCZAKA

Amerykańscy Żydzi zablokowali rozpowszechnianie „Ziemi obiecanej” jako rzekomo antysemickiego filmu. Nie dostał on też należnego mu jak psu buda Oscara, a Pszoniak nie stał się aktorem rozpoznawalnym w świecie niczym, dajmy na to, Al Pacino. Zarzut antysemi-tyzmu przeszkodził też karierze innego filmu Andrzeja Wajdy z Wojciechem Pszoniakiem w roli tytułowej – „Korczakowi”. Tak wspominał burzliwe okolicz-ności towarzyszące w 1990 r. francuskiej recepcji tej opowieści o wspaniałym czło-wieku, Żydzie i Polaku w jednej osobie. Po pokazie na festiwalu w Cannes owacja była na stojąco, ale już następnego dnia... „Przeczytaliśmy w jednej z gazet, że to nie była standing ovation, ale wybuch oburzenia. Kłamstwo! Pani Daniele Hey-mann i pan Claude Lanzmann dopatrzili się w filmie akcentów antysemickich. Od wielu lat pani H. ujawnia gorącą niechęć do mnie, na poziomie obsesji, dając temu wyraz w recenzjach publikowanych na łamach »Le Monde«. Podejrzewam, że źle się czuje sama z sobą. Przez pewien czas z równą namiętnością ścigała Gerarda Depardieu. Widać, że sprawa jej to jakąś przewrotną przyjemność. Trudno, każdemu według potrzeb! Z panem Lan-zmannem sprawa jest bardziej złożona. Stworzył ważny film, »Shoah«. Żyje bólem swego doświadczenia. Szanuję ten ból. Ale nie wydaje mi się, by z tego po-wodu pan Lanzmann był uprawniony do rzucania oskarżeń. On – który uznał się za sędziego i prokuratora w jednej oso-bie. Za tego, który wie lepiej od innych – monopolistę! Ja w tej sprawie wolę słuchać opinii doktora Marka Edelmana. Myślę, wiem, że jest stokroć bardziej wiarygodna. Niesprawiedliwe zarzuty wobec »Korczaka« były tak głośne...



Z lewej jako Robespierre w „Dantonie”,
z prawej w roli tytułowej w „Korczaku”

FOT. MARY EVANS PICTURE LIBRARY/FORUM; RENATA PAJCHEL/EAST NEWS



■ Agnieszka Holland powiedziała wtedy, że Korczaka zamordowano po raz drugi, tym razem we Francji...

Pani Dauphine Rocard, żona premiera Francji, zorganizowała pokaz filmu w pałacu Matignon. Kwiat intelektualny i artystyczny Paryża! Po projekcji Lanzmann zaczął pokrzykiwać, że film jest szkodliwy, i wyszedł z sali, trzaskając drzwiami. Pani Rocard rozplakała się. Okropna scena. Dystrybutor odwołał premierę. Tak, »Korczak« został zmasakrowany. W lutym wyświetlano go w małym kinie przy teatrze Odeon... Zabolało mnie. Nawet bardzo.

A potem dowiedziałem się, że w Izraelu »Korczak« jest zalecany w programach szkolnych...”

LWOWSKI ZAŚPIEW

W Ameryce przyjęcie „Korczaka” było, jakżeby inaczej, równie fatalne, przy czym argumenty przeciw niemu wysuwano najgłupsze z możliwych. I tak Terri Ginsberg dworował sobie z chrystianizacji Zagłady sprokuirowanej przez Wajdę i z tego, że „filmowi dane jest wiele neoplatonicznych cech chrześcijańskiego gnostycyzmu z II wieku – dobroczynna pokora, duchowa wstrzemięźliwość,

abstynencja seksualna i duszpasterska wspólnotowość”. O ile wymądrzania amerykańskiego reprezentanta narodu wybranego niespecjalnie zaskakują, o tyle przykrym zaskoczeniem stały się wówczas utyskiwania Anny Sobolewskiej, że filmowa „biografia wybitnego pedagoga niezauważanie zamienia się w biografię świętego”. Ale że napisała to również przedstawicielka tegoż wyjątkowego narodu, i – co najważniejsze – żona Tadeusza Sobolewskiego i mama Justyny Sobolewskiej, reszta tzw. krytyki filmowej nabrała wody w usta i jedną z najważniejszych kreacji Wojciecha Pszoniaka przykryła zasłona milczenia.

Paradoksalne jest, że ze zmurą antypolskiego dorabiania gęby za pomocą antysemityzmu borykać się musiał Pszoniak właśnie, bezkonkurencyjny odtwórca ról żydowskich, bo przecież był nie tylko Morycem Weltem w „Ziemii obiecanej”, lecz także m.in. Joselem w „Austerii” Jerzego Kawalerowicza czy Feingoldem w „Błaszany bębenku” Volkera Schlöndorffa. Że już nie wspomnę, kto użyczył głosu okropnemu Faginowi w dubbingu „Olivera Twista” wyreżyserowanego przez Romana Polańskiego.

W Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Krakowie, gdzie przyszły Welt zgłębiał tajniki sztuki aktorskiej, wykładająca tam wybitna aktorka starszego pokolenia, prof. Zofia Jaroszewska, pytała: „Skąd Pszoniak tak umie grać Żyda, sam nie będąc Żydem?”. Zainteresowany odpowiadał, że matka wychowywała się we lwowskiej dzielnicy Bogdanówka, gdzie mieszkało wielu Żydów, miała żydowskie koleżanki i najserdeczniejszą przyjaciółkę, którą pochłonięła Holokaust. Nie do końca tłumaczenie to przekonuje, podobnie jak zastanawia wspomnianie przez niego napominanie jego brata Antoniego – także aktora – by wyzbył się lwowskiego zaśpiewu. Zważywszy na to, że Wojciech Pszoniak urodził się w roku 1942, a w 1946 r. mieszkał już w Gliwicach, jego lwowskie korzenie nie mogły decydować o tym, jak mówił. A czym był dla niego Lwów?

PSYCHODRAMA W POWSZECHNYM

„Do fizycznego, realnego Lwowa nigdy nie pojechałem i nie pojadę – deklarował w 2011 r. w wywiadzie dla

»Tygodnika Powszechnego«. – Mam albumy, mam piękną, starą mapę Lwowa, którą dostałem niedawno. Jest na niej widoczna fabryka Baczewskiego». To w tej najsłynniejszej w polskich dziejach wytwórni wódek dyrektorem i głównym chemikiem, specjalistą od przewybornych receptur był dziadek Wojciecha, z pochodzenia Węgier, nazwiskiem Babisz. Po wojnie wraz z żoną, babcią aktora, zamieszkał pod Poznaniem. Ojciec Wojciecha, przed wojną pracownik Politechniki Lwowskiej, po wojnie kierował uczelnią biblioteką. Karierę złamało mu odmówienie wstąpienia do partii. Reszty dokonała nostalgia za swoim ukończonym miastem, w którym na terenach za Wysokim Zamkiem rozpoczął miał budowę wymarzonego domu, 1 września 1939 r...

W Gliwicach, w tej samej kamienicy przy ul. Arkońskiej 7, piętro nad rodziną Pszoniaków, mieszkali państwo Zagajewscy z małym Adasiem, późniejszym autorem wiersza „Jedźmy do Lwowa”. A inny, jakże sławniejszy poeta – sam Tadeusz Różewicz – wymienił Wojtkę Pszoniaka w jednym ze swych wierszy, pisząc: „To był jakiś student / Lachman Pszoniak może Raskolnikow”. Dla przyszłego aktora była to ważna, jedna z decydujących w jego życiu znajomości, tak jak z Konradem Swinarskim czy Andrzejem Wajdą.

W Starym Teatrze w Krakowie przez pewien czas był w cieniu starszego brata – Antoniego. Wszystko miało się zmienić po „Kłatwie” i „Sędziach” Wyspiańskiego, a najbardziej po „Śnie nocy letniej” z 1970 r. W roli Puka sięgnął wyżyn sztuki scenicznej, olśniewając rolę wymagającą, poza wszystkim innym, niebywałej sprawności fizycznej. Jak opowiadał, przez pół roku ćwiczył w hali skoki na butacie.

Następne w Starym były sławne „Bieś” według Dostojewskiego w reżyserii Wajdy. I tak się jakoś po nich porobiło, że w Krakowie osiągnął już wszystko, co mógł, i nadeszła pora przeprowadzki do Warszawy. W stolicy grał najpierw w Narodowym u Adama Hanuszkiewicza (nie był to najszcześniejszy wybór) i z nieporównywalnie lepszym skutkiem u Zygmunta Hübnera w świetnym pod jego dyktando Powszechnym. To tam właśnie w 1977 r. stworzył kreację w roli McMurphy’ego w „Locie nad kukułczym gniazdem”. Któż w tym spektaklu nie grał! Były tam zresztą dwie obsady, a zmiennikiem Pszoniaka był, moim zda-

niem, jeszcze lepszy, choć zupełnie inny, Roman Wilhelm. Pszoniakowi zresztą ta wyjątkowa, nieprzypadkowo porównywana z filmową kreacją Jacka Nicholsona, rola niespecjalnie się przysłużyła. Po niefortunnie rozegranej psychodramie obrócił się przeciw niemu niemal cały zespół aktorski. „[...] zaczęło się piekło – wspominał. – Wybuch zbiorowej nienawiści. Kochany Olo Łukaszewicz gonił mnie po korytarzach teatru z morderczym grymasem na twarzy... Puszcza Pandory. Poczulem lęk... Analizowałem to potem z Jankowskim [prof. Kazimierzem Jankowskim, psychologiem – przyp. K.M.]. W pewnym sensie psychodrama zakończyła się sukcesem. Wydobyła na światło dzienne to, co było ukryte... Skutki? Z pewnością korzystne dla przedstawienia... Dla mnie niemiłe”.

PARYSKI ADRES

W efekcie zaczął zbierać się do drogi. Dziś nie tak dalekiej, wtedy, здаваło się mogło, do innego świata. Przypominał sobie Pszoniak o propozycji Claude’a Regy’ego zagrania we Francji, w Théâtre des Amandiers w sztuce Petera Handkego, zeszlórocznego noblisty. O francuskim nie miał pojęcia, a jednak, czytając podczas rozmowy telefonicznej odpowiedzi wskazywane mu przez szwagierkę, został zaangażowany. Grał obok Gérarda Depardieu, Andréi Ferréol, wielu innych znanych aktorów francuskich i szwajcarskich oraz Daniela Olbrychskiego, tylko nieco trochę lepiej znającego mowę Galów od przyswajającego ją opornie, w końcu jakoś jednak, Pszoniaka. Spektakl pokazywano we Francji, Włoszech, w Belgii, Szwajcarii. Pisano o nim, że odniósł sukces. Na koniec tournée, po ostatnim przedstawieniu, Claude Regy zwrócił się do żony aktora, Basi: „Wiesz, z tym Wojtkiem to jakaś dziwna sprawa. On teraz mówi po francusku znacznie gorzej niż na początku”.

To, oczywiście, żart, a Wojciech Pszoniak mieszkał w Paryżu przez 30 lat. Za rolę Matuszka w „Sklepie na rogu ulicy” Mikłósza László, wystawianym przez Théâtre Montparnasse, nominowany był w 2001 r. do Nagrody Moliera. A w 2008 r. odznaczono go francuskim Orderem Narodowym Zasługi. W Polsce doczekał się Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski.

Jako się rzekło, w późnych latach omijały go wielkie role. Na pewno jednak satysfakcję aktorską przyniosły mu

monodram „Belfer” według belgijskiego dramaturga Jeana-Pierre’a Dopagne’a czy gra w Teatrze Współczesnym w „Skarpetkach opus 124” Daniela Colasa wraz z Piotrem Fronczewskim, z którym w końcu lat 70. brylowali Pod Egidą u Jana Pietrzaka. Bezwzględnie trzeba też wspomnieć o jego rolach w „Excentrykach” Janusza Majewskiego czy „Czarnym czwartku” Antoniego Krauzego, gdzie świetnie wcielił się w postać Władysława Gomułki.

ROZKOSZE STOŁU

To truizm, ale kochał życie. Zachwycał się pięknymi kobietami i był świetnym mężem wspaniałej żony. Znano go jako smakosza, popełnił zresztą, jeszcze na początku lat 90., specyficzną książkę kucharską pt. „Pszoniak & Co., czyli Towarzystwo Dobrego Stołu”, w której m.in. znajdziemy przepis na gołąbki z łososiem i wiele daleko bardziej jeszcze wyrafinowanych – by nie powiedzieć: perwersyjnych – potraw. Chociaż, jak przyznawał, pod tym względem najwięcej zawdzięcza kulinariom zapisanym przez słynną Marię Ochorowicz-Monatową. A więc francuskie przysmaki swoją drogą, a lwowskie cebulaki nade wszystko.

Wódkę, jak przystało na wnuka dyrektora wytwórni rosolisów, likierów i innych specjałów Baczewskiego, smakował z upodobaniem, żartując, że nie może bez niej żyć. Prawdą jest jednak, że na korzystanie z rozkoszy stołu nie miał wiele czasu, zajęty próbami, występami w teatrach i kabaretach, zdjęciami na planie filmowym, czyli tym wszystkim, co jest solą tego, co ukochał najbardziej – aktorstwa. Jeśli chodzi o inne używki, to zaręczał, że nigdy nie spróbował heroiny ani kokainy. I, co dzisiaj wydaje się wybitnie niepoprawne, nie miał za sobą żadnych doświadczeń homoseksualnych. Chociaż wystarczyła zabawna rola w „Czterdziestolatku” Jerzego Gruzdy, by i pedalstwo mu przypisano. No cóż, kiedyś o byle jakich aktorach się nie plotkowało. Trzeba się było zasłużyć. A filmowe i teatralne zasługi Wojciecha Pszoniaka, niezależnie od tego, co wygadywał, zupełnie niepotrzebnie wkraczając w rejony polityki – jakże marnej w proporcji do sztuki, którą uprawiał – są nie do przecenienia.

W swoim twórczym życiu wygrał bardzo wiele. Przegrał z chorobą nowotworową.



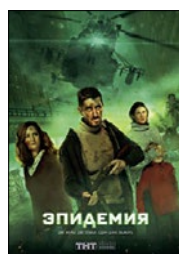
FOT. MATERIAL PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Wersja rosyjska



★★★★★
„KU JEZIURU”
(„EPIDEMIYA”)
ROSJA 2019,
NETFLIX

wyst. Kirill Käro,
Maryana Spivak,
Aleksandr Robak

Produkt przepakowany, z nowym tytułem, w dodatku na aktualny temat, bo na ekranie akcję napędza groźna epidemia kładąca trupem ludność całych metropolii. Zaczęło się od powieści, którą w roku 2011 debiutowała rosyjska pisarka Jana Wagner. Książka ukazała się u nas pt. „Pandemia” w roku 2015, a kilka miesięcy temu została wznowiona. Jest to opowieść postapokaliptyczna o grupie uciekinierów, która wędruje przez rosyjskie pustkowia w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia przed nieznaną chorobą. Była w swoim czasie o tyle oryginalna, że Wagner nie uległa światowej modzie na opowieści o apokalipsie zombie

i pozostała przy starych, dobrych, zabójczych zarazkach. Oraz przy daremnych próbach w wykonaniu rządów całego świata, by tragedię powstrzymać. „Nie było wieczoru, żebyśmy z Sieriożą nie układali planów przedarcia się przez kwarantannę, przez kordony ponurych uzbrojonych mężczyzn w respiratorach” – wspominała w pierwszych partiach książki jej bohaterka i narratorka.

W roku 2019 na podstawie „Pandemii” powstał rosyjski serial „Epidemia”, który teraz trafił do Netflixa pod angielskim tytułem „To the Lake” – i polskim „Ku jezioru”. Premierę w Rosji miał jesienią ubiegłego roku, kiedy jeszcze nikt nie spodziewał się, że w najbliż-

N

szych miesiącach na świat spadnie plaga koronawirusa. Produkcja jest efektowna, dobrze zagrana i nieźle opowiedziana, i mniej ciąży na niej grzech literackiego oryginału. Jana Wagner napisała bowiem bardziej powieść obyczajową rozgrywającą się w realiach postapokaliptycznych niż szarpiący nerwy thriller o zagładzie cywilizacji. I sporo miejsca (moim skromnym zdaniem zbyt wiele) poświęciła rozważaniom na temat relacji damsko-męskich wewnątrz grupy bohaterów.

Adaptacja serialowa oczywiście tych tematów nie porzuca, ale „Ku jezioru” w wersji telewizyjnej mniej się dłuży od powieści i bardziej przygląda starej prawdzie, że w sytuacjach krytycznych człowiek człowiekowi wilkiem. W jednej z amerykańskich recenzji pojawiło się ciekawe zdanie: „Bardzo dobry serial w bardzo kiepskim czasie”. W sumie racja, bo robota dobra, ale czy aby nie jest to nazbyt depresyjna historia w czasach walki z COVID-19? ©©



NOWE SERIALE: „STAR TREK: DISCOVERY”

W ostatnim odcinku drugiego sezonu, by uratować życie we wszechświecie, komandor Michael Burnham ruszyła w odległą przyszłość, a w ślad za nią podążył statek „USS Discovery”. Tysiąc lat po tych wydarzeniach wszystko wygląda inaczej: technologia jest niebywale zaawansowana, podróże międzygwiazdne dostępne tylko dla najsilniejszych,

a Federacja – cóż, Federacja nie istnieje. I co dalej? Trzeci sezon serialu przypomina bardziej „Farscape” czy „Gwiezdne wojny” niż typowy produkt spod znaku „Star Trek”. Zmiana ta ma wśród widzów tylu przeciwników, ilu zwolenników. ©©

Piotr Gociek

• Sezon 3 „Star Trek: Discovery”,
USA 2020

N

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 „Wychowane przez wilki” („Raised by Wolves”), USA 2020
- reż. Ben Wheatley „Rebeka” („Rebecca”), Wielka Brytania 2020
- reż. Terrence Malick „Wątpliwość” („To the Wonder”), USA 2012

HBO

N

CINEMA

Jeden przeciw wszystkim



Rok 2015. Grecja balansuje na krawędzi bankructwa, dług sięga 473 mld euro. Nowy lewicowy gabinet proponuje wyrzucenie kompromisu, jednak zderza się ze ścianą. Banki i UE negocjować nie chcą, oczekują bezwarunkowej kapitulacji. W tym momencie do akcji wkracza minister finansów Yanis Varoufakis. Błyskotliwy jak Demostenes, mądry jak Platon, waleczny jak Leonidas, ani myśli poddać się naciskom arogantów, kurczowo trzymających się zasad tradycyjnej ekonomii. Gdy koledzy z rządu mięknią, on sprzeciwia się „neoliberalnej obsesji”. Niepokorny Yanis wiedząc bije adwersarzy na głowę. Bezdusznym eurokratom rzuca

w twarz cytaty z Beatlesów, demaskuje ich jako fałszywych demokratów, sam bijąc rekordy społecznej wrażliwości.

Francuzi wypadają w tym filmie żałośnie, Niemcy – złowieszczo. Niestety, już na wstępie dowiadujemy się, że złotousty minister skończy jak każdy śmieć próbujący zmieniać system od środka i wytrwa na stanowisku ledwie kilka miesięcy.



★★★★★
REŻ. COSTA-GAVRAS
„DOROŚLI W POKOJU” („ADULTS IN THE ROOM”)
FRANCJA/GRECJA 2019

wyst. Christos Loulis, Alexandros Bourdounis, Valeria Golino

Costa-Gavras to sprawny reżyser, wie, że wyborcy oczekują od polityków cudów, ale – tak jak Varoufakis – woli uprawiać demagogię. Grecy latami kłamali, by fundować sobie dobrobyt na koszt innych, a oburzają się, że nikt im nie ufa. Jakże to europejskie!
©© **Wiesław Chełmiński**



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JESIEŃ ŚREDNIOWIECZA



Zwabionych zajawkami ostrzegam: „Doomsday” nie jest filmem o pandemii. Poszukiwanie antidotum na wirusa, nazywanego pieścizłotliwie Żniwiarzem, służy za pretekst do postapokaliptycznej naparanki. Metodę recyklingu doprowadzono do skrajności. Bob Hoskins i Malcolm McDowell powtarzają dawne role.

Pomysł są skopiowane z „Resident Evil” i „28 dni później”; jednak reżyser chętniej przyznawał się do zżynania z „Mad Maxa” i „Ucieczki z Nowego Jorku”. Wyszedł mu mimowolny pastisz, adresowany do amatorów twardych lasek (uciesz się, że Snake Plissken zmienił płeć i stracił poczucie humoru), miłośników III Rzeszy (doceniaj, że największy łajdak nazywa się Canaris) i entuzjastów średniowiecznego stylu życia. Szkoci na wieść, że film demaskuje wrednych Angoli, którzy po północnej stronie muru Hadriana stworzyli strefę kwarantanny, z mety go dofinansowali. Już nikt nie nazwie ich skąpcami. Mistrzami inwestycji też nie.



wyst. Rhona Mitra, Bob Hoskins, Adrian Lester

★★★★★
REŻ. NEIL MARSHALL
„DOOMSDAY”
WIELKA BRITANIA 2008

ICH CZWORO

W KINACH

Signum temporis. Kiedyś widzów (najpierw francuskich, potem amerykańskich) bawił i wzruszał film o trzech facetach wychowujących noworodka. Dzisiaj zitalianizowany Turek Ferzan Özpetek próbuje powtórzyć ów sukces z fabułą o parze gejów opiekującej się dziećmi znajomej baronessy. Jak wiadomo, przyjaźń, w odróżnieniu od miłości, trwa wiecznie. Annamaria dawno już straciła kontakt z ojcami swych pociech („przeminęli z wiatrem”), więc mając w perspektywie dłuższy pobyt w szpitalu, oddaje je na przechowanie „wujkom”. Tak się składa, że zwiadek hydraulika Alessandra i niespełnionego literata Artura przechodzi kryzys. Próby ożywienia go przez wkładanie się w erotyczne trójkąty i czworo- kąty tylko pogarszają sprawę. Pełniąc obowiązki tatusia, rychło dojrzewa się do partnerstwa – przekonuje bez cienia ironii Özpetek. Melodramat i poczucie humoru – to się po prostu nie rymuje. ©© **recenzuje Wiesław Chełmiński**



wyst. Stefano Accorsi, Edoardo Leo, Jasmina Trinca

★★★★★
REŻ. FERZAN ÖZPETEK
„SEKRET BOGINI FORTUNY” („LA DEA FORTUNA”)
WŁOCHY 2019, AURORA FILMS

GRA TYGODNIA: „AQUANOX: DEEP DESCENT”

Chociaż symulatorów statków kosmicznych znajdziemy na rynku gamingowym bez liku, to jednak czymś niezwykle rzadkim okazuje się przeniesienie podobnych reguł sterowania i klimatu w inne bezkresne przestrzenie – oceanu. „Aquanox” – dzieło serbskiego studia z 2001 r. –

szło właśnie w tym kierunku. Mrok, zagadki głębin, pierwszoosobowy widok z pulpitu podwodnego myśliwca, który można do woli modyfikować i zmieniać mu uzbrojenie. „Deep Descent” w prostej linii kontynuuje ten koncept. Problem? Mimo że czas poszedł do przodu, gra zatrzymała się w rozwoju



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

fabularnym, oferując powtarzalnie misję i przeciętną grafikę. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Akcji/FPS
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Digital Arrow/THQ Nordic
- **Klasyfikacja PEGI:** 12+

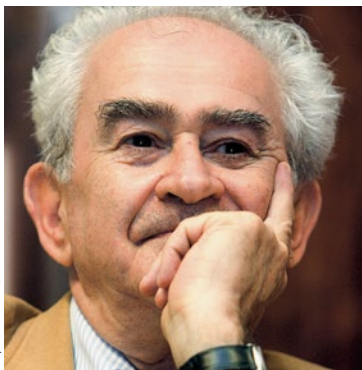
MOJA PÓŁKA

Gdziekolwiek jesteś, Prezydencie

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

Czy dzięki książce prof. Tomasza Szaroty ze stuprocentową pewnością możemy stwierdzić, kiedy i gdzie zginął bohaterski prezydent walczącej Warszawy, Stefan Starzyński? Pewnie nie, bo dopóki archiwa (ktowię, czy niespoczywające w Moskwie) nie potwierdzą wyników niezwykle skrupulatnych badań historyka, w których wykorzystał nowo odkryte dokumenty, nieznanego wcześniej zeznania świadków i niezliczoną ilość artykułów prasowych, często wartościowych, zmuszeni jesteśmy poruszać się w sferze domniemań i konfrontacji wykluczających się materiałów. W każdym razie autor „Tajemnicy śmierci Stefana Starzyńskiego” skutecznie zakwestionował wyniki dwu oficjalnych śledztw prowadzonych w tej sprawie: Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce z przełomu lat 60. i 70. oraz Instytutu Pamięci Narodowej z lat 2005–2014. Przypomnę, że w jakiejś mierze rywalizują ze sobą dwie opinie: że prezydent Warszawy zginął jeszcze w 1939 r., w Polsce albo że rozstrzelano go znacznie później, w Niemczech, najprawdopodobniej jako więźnia obozu koncentracyjnego Dachau. Wszystko przemawia za drugą wersją.

Tymczasem np. w 1971 r. zasugerowano, że Stefana Starzyńskiego rozstrzelano w listopadzie 1939 r., i to w Warszawie, w parku Natolińskim. Znaleźli się świadkowie utrzymujący, że widzieli tę egzekucję, a znany im z imienia i nazwiska mężczyzna rozpoznał wśród prowadzonych na śmierć prezydenta Warszawy. Przeprowadzona ekshumacja wykluczyła tę możliwość, poznano za to nazwiska ofiar tej niemieckiej zbrodni. Wtedy to prof. Tomasz Szarota dowiedział się, gdzie zginął jego ojciec. Właśnie tam! Nic dziwnego, że odtąd sprawa zamordowania prezydenta



FOT. JAN KUCHARCZYK/FEST NEWS

Starzyńskiego nabrała dla niego charakteru osobistego i zajmował się nią niemal równie wytrwale, co ustaleniem miejsca i daty śmierci dowódcy Armii Krajowej, gen. Stefana Grot-Roweckiego.

„Jestem przekonany – pisze w zakończeniu swej, jakże ciekawej, książki prof. Szarota – że dowódca Armii Krajowej, aresztowany w Warszawie 30 czerwca 1943 r., należał do tej kategorii więźniów Trzeciej Rzeszy, do której odnosił się rozkaz Hitlera z 7 grudnia 1941 r., znany pod kryptonimem »Nacht und Nebel«, czyli noc i mgła. Znakomity znawca »państwa stanu wyjątkowego« tak wyjaśnia, co miało spotkać ludzi zakwalifikowanych do tej kategorii więźniów (NN-Haftling). Otóż, jak pisze Franciszek Ryszka, »ofiara porwaną z ojczystego kraju miała pochłonąć nicość. Gineła ona jak zagubiona w nocy i we mgle. Na zawsze«. Chociaż Stefan Starzyński został aresztowany na długo przed wspomnianym rozkazem Hitlera, prawdopodobnie potem do kategorii więźniów »nocy i mgły« go dołączono. Obaj, Starzyński i Rowecki, zostali zamordowani, ciała obu spalono w krematorium, obaj mają tylko symboliczne groby, ale przecież wbrew woli tych, którzy ich uśmiercili, bynajmniej nie »pochłonęła ich nicość«. Przeciwnie, w ojczystym kraju uznano ich za bohaterów i czci się ich pamięć”.

Hitlerowcy aresztowali prezydenta stolicy Polski 27 października 1939 r., 23 grudnia został przez nich wywieziony z Warszawy. Dokąd? 11 maja 1940 r. w warszawskim piśmie konspiracyjnym „Znak” ukazał się artykuł „Stefan Starzyński”, napisany prawdopodobnie przez Lucjana Rościszewskiego. W zakończeniu można było przeczytać: „Panie Prezydencie Starzyński! Gdziekolwiek jesteś, w Dachau czy w lochach Norymbergi, żywy czy umarły – za obronę Warszawy dziękujemy Ci. Zasłużyłeś się dobrze Ojczyźnie”. To z tego tekstu wzięty tytuł znanego filmu Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego z 1978 r. „... gdziekolwiek jesteś, Panie Prezydencie...”.

Pisano o nim wiersze, najpiękniejszy wyszedł spod pióra Jana Lechonia, już w 1940 r., po pierwszych – jak miało się okazać – przedwczesnych informacjach o jego śmierci. W „Pieśni o Stefanie Starzyńskim” poeta przebywający wtedy w dalekiej Brazylii pisał:

*Poszgi roztraskane i – któż by je zliczył?
Te ulice w płomieniach – to on je wytyczył.
I on, gdy miasto było pochodnią czerwoną,
Powiedział: „Nie ustąpię. Niech te domy
płoną.
Niech dumne moje dzieła na proch się
rozpękną!
I cóż, że z marzeń moich wszystkich rośnie
cmentarz?”*

Stefanowi Starzyńskiemu, więźniowi „nocy i mgły”, w październiku 1943 r. w berlińskim więzieniu Niemcy podsunęli do podpisu odezwę wzywającą do stworzenia armii walczącej przeciwko Sowietom. Odmówił. „Odmowa – konkluduje Tomasz Szarota – okazała się wyrokiem śmierci”. Po przewiezieniu z powrotem do Dachau, zamordowany został w jednym z bunkrów pod Monachium. Być może zresztą do Dachau już nie dojechał. Dziejnej daty zbrodni nie znamy. ©©



★★★★★
TOMASZ SZAROTA
„Tajemnica
ŚMIERCI STEFANA
STARZYŃSKIEGO”
BELLONA,
WARSZAWA 2020



PIOTR GOCIEK

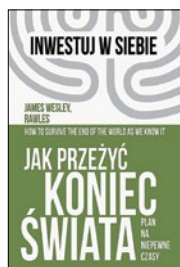
POCZYTANKI

Będzie gorzej

Oto książka niezbędna każdemu pisarzowi SF, choć nie z myślą o nich była pisana. Młodzi adepci marzący o karierze autora bestsellerów postapokaliptycznych uświadomią sobie dzięki niej, jakie wyzwania stoją przed wymyślonymi bohaterami doświadczającymi końca cywilizacji. Co ważniejsze jednak, tego samego dowiemy się i my, całkiem poważnie zastanawiający się w czasach pandemii nad odpowiedzią na pytanie: „A co będzie, jeśli to wszystko padnie?”

James Wesley Rawles, były oficer wywiadu armii USA, napisał praktyczny poradnik, który jednocześnie jest książką przerażającą. Bo uświadamia nam, jak słabo jesteśmy przygotowani na poważne kłopoty. Co zrobić, kiedy okaże się, że prądu nie ma przez kilka tygodni, a nie kilka godzin? Jak oczyszczać wodę, gdy zabraknie tej z kranu i z butelek? Co powinno znajdować się w spiżarni, żeby w warunkach katastrofy zapewnić sobie i bliższemu odpowiednią dietę? Czy można używać alkoholu w lampach naftowych? Jak zemleć samemu ziarno na mąkę? Ile żeliwnych garnków, kociołków i form do pieczenia chleba powinniśmy mieć na wszelki wypadek? Co trzeba mieć, żeby skorzystać z benzyny w opuszczonej stacji benzynowej, której pompy nie działają?

Książka Rawlesa, choć napisana 11 lat temu i skierowana do czytelnika amerykańskiego, idealnie wpisuje się we współczesne dyskusje o tym, co uświadomiła nam walka z koronawirusem. Na przykład jak bardzo uzależnieni jesteśmy od Internetu, od towarów i usług dostępnych od ręki o każdej porze dnia i nocy czy mody na optymalizowanie wszystkiego. Ta optymalizacja doprowadziła np. do tego, że w Japonii to, co widzimy na półkach sklepu, to pełny stan zatowarowania, na zapleczu nie ma nic, bo to nieekonomiczne. A jeśli trzeba, to się od razu dobierze z magazynu, dowiezie. Nietrudno się domyślić, co czeka tak rozproszony świat w chwili, gdy nagle padają sieć komunikacyjna oraz logistyka, a spanikowani obywatele bezradnie szukają zapasów tam, gdzie ich nie ma. Witajcie w świecie nieustannego optymizmu. A teraz się z nim pożegnajcie.

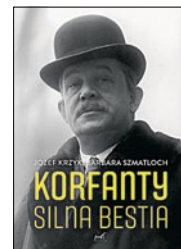


★★★★★
JAMES WESLEY RAWLES
„JAK PRZEŻYĆ KONIEC ŚWIATA”
KOMPANIA
MEDIOWA 2020

Niezależnie od przygotowań, list zakupów, zapasów i umiejętności, które powinniśmy osiąść, trzeba pamiętać o najważniejszym – to także przypomina Rawles. Samotny Mad Max przeżyje tylko w filmie. Kluczem do przetrwania w prawdziwym świecie jest współpraca. Nie czekajmy na prawdziwy koniec świata, by to zrozumieć. ©©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Barwna biografia jednego z ojców polskiej niepodległości, kluczowej postaci w dziejach powstań śląskich, a zarazem postaci kontrowersyjnej. Książka opatrzona wstępem wnuka polityka – Feliksa. Brakowało takiej pozycji.



JÓZEF KRZYK, BARBARA SZMATLOCH
„KORFANTY. SILNA BESTIA”
POST FACTUM

Obszerny zbiór poezji nieco zapomnianego noblisty z 1963 r., wybitnego greckiego poety. Tym razem w przekładach Michała Bzinkowskiego, który tłumaczył też wydane w ubiegłym roku dzienniki Seferisa („Dni 1941–1956”).



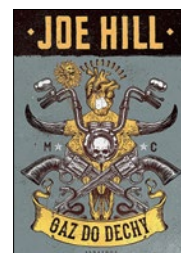
JORGOS SEFERIS
„KRÓL ASINE I INNE WIERŚE”
KOLEGIUM
EUROPY
WSCHODNIEJ

We wstępie podróżnik twierdzi, że to książka, w której podsumowuje swoje życie i peregrynacje. Bardziej niż podsumowanie jest to jednak zbiór myśli, wspomnień i notatek rozproszonych. Z różnych miejsc i czasów.



JACEK PAŁKIEWICZ
„PAŁKIEWICZ.COM”
ŚWIAT KSIĄŻKI

Joe Hill to pseudonim syna Stephen Kinga, Josepha, który od ponad dwóch dekad rozwija własną karierę pisarską (kilka utworów zekranizowano). Spośród 13 opowiadań grozy w tym tomie dwa napisał z ojcem. ©© **poleca Piotr Gociek**



JOE HILL
„GAZ DO DECHY”
ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA: „RAPORT W”

Wstrząsający, znakomity komiks o misji rtm. Pileckiego w niemieckim obozie zagłady Auschwitz. Dzieło francuskiego rysownika to świetny przykład połączenia sztuki obrazkowej z historyczną edukacją. Niestety jest to jeden powód do protestu. W posłowie pióra Isabelle Davion z Sorbony pojawia się haniebne zdanie o polskich „ultranacjonalistach”, którzy chcą zakazać historykom



GAETAN NOCQ
„RAPORT W. OPowieść Rtm. PILECKIEGO”
MARGINESY 2020

badań nad Zagładą. Otóż nie, szanowna pani, takich nad Wisłą nie ma. Są natomiast ci, którzy protestują przeciw kłamliwemu obciążaniu Polaków winą za Holocaust dokonany przez Niemców. ©©

poleca Piotr Gociek



FOT. ANIA POWALDZIŚKA/MIĘSTA

Myasta na dobrym kursie

W klipie do pierwszego singla promującego nadchodzącą płytę obok muzyków z zespołu Myasta pojawiają się ich dzieci, rodziny, przyjaciele oraz dzieci i opiekunowie z Placówki Opiekuńczo-Wychowawczej w Chełmnie (Domy Chełmno i Unisław). „Tańcz”, zachęca tytuł piosenki, a w klipie główny bohater, posiadacz dodatkowego chromosomu 21, najpierw spotyka się

z emocjonalną barierą i nieufnością, ale właśnie tańcem szybko burzy wszelkie mury. Robi to przy energetycznym akompaniamencie instrumentów dętych, klawiszowych i perkusjonaliów, za pomocą których Myasta „łączy pozytywną wibrację reggae z takimi stylami jak dancehall, raggamuffin, rap, ska”.

Grupa powstała w 2015 r. z inicjatywy Michała Kowal-

skiego (wokół) i Mariusza Mitury (perkusja). Skład obecny to ośmiu muzyków z trzech miast: Chełmno, Toruń, Bydgoszcz. Oprócz wspomnianych: Dominik Gryń (bass), Szymon Kubiak (gitar), Adam Kowalski (puzon), Paweł Nowicki (trąbka), Tomek Stachowicz (instrumenty klawiszowe), Marcin Pankowski (perkusjonalia, elektronika). A gościnnie

skład uzupełniają saksofonista Patryk Krajnik. „Każdy z muzyków tworzących Myasta ma za sobą wieloletnie doświadczenia w różnych formacjach związanych nie tylko z muzyką reggae, lecz także w odmiennych programach artystycznych – opisuje się Myasta. – W repertuarze zespołu można znaleźć pulsujące rytmy i teksty o tematyce miłosnej jak i żywe skoczne brzmienia, które rozbudują każdego, mówiące o radości życia i jego trudach”.

Debiutancki album, który premierę będzie miał 6 listopada, muzycy nazwali „Na dobrym kursie”. Kurs ten pozwoliło im obrać zwycięstwo w konkursie Polskiego Radia „Wydaj płytę z Będzie Głośno”. W tegorocznej, czwartej edycji plebiscytu panował tłok. Zgłosiło się ponad 300 zespołów, które zasypały jurorów ponad trzema tysiącami piosenek. © © **Radosław Wojtas**



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Tekstem po uszach

Filmy Marka Koterskiego („Dzień świra”, „Wszyscy jesteśmy Chrystusami”, „Nic śmiesznego”, „7 uczuć”) wbrew podziałom pokochała cała Polska. Śmialiśmy się przez łzy, a teraz możemy sobie pośpiewać o naszych słabościach.

Zgodnie z tytułem większość piosenek nawiązuje do filmu „7 uczuć” opowiadającego w nostalgiczno-komediowym stylu o szkolnym dorastaniu. Siłą rzeczy teksty mówią o niespełnionych marzeniach, rozczarowaniach i strachach z czasów PRL. Usłyszymy opowieści o udręce polskich kobiet, wyrzucaniu pie-sków, poszukiwaniu zagranicznego męża, a nawet odę do wody.

Z 15 tekstów niewątpliwie najmocniej daje po uszach „Modlitwa Polska”: „O to wznoszę swoje modły

do Boga Maryi i Syna / Zniszczcie tego skurwysyna / Mego rodaka sąsiada / Tego wroga, tego gada...”. Koterski kocha swój kraj i jest od niego uzależniony, o czym dobitnie świadczy następna, równie sarkastyczna piosenka: „Jak to dobrze, Polsko, że jesteś...”. Ta płyta jest bowiem o miłości. O tej wymarzonej, a jednocześnie niemożliwej.

To jest również album rodzinny. Piosenki śpiewają, wykrzykują, deklamują wraz z autorem jego najbliżsi: żona – Małgorzata Bogdańska, syn – Misiek Koterski i jego partnerka Marcela Leszczak. Kwartet rodzinny wspomagają: piosenkarka i skrzypaczka Natalia Gadjina oraz wokalista i producent płyty Arek Grochowski.

Niestety muzyka i aranżacje nie dorównują tekstom. © ©



★★★★★
MATT BERNINGER
„SERPENTINE PRISON”
CONCORD

Intymny, refleksyjny debiut solowy lidera The National. Dominuje ponury nastrój. Aranżacje są oszczędne mimo wykorzystania wielu instrumentów. Znużonym głosem Berninger wyśpiewuje poematy o życiowych porażkach i niepostrzeżenie uwodzi słuchacza.



★★★★★
DIANA KRALL
„THIS DREAM OF YOU”
IMPULSE!

Ta jesienna płyta jest hołdem dla zmarłego przyjaciela, producenta Tommy'ego LiPumy. Album przypomina spokojną przechadzkę w towarzystwie amerykańskich standardów. Z ilości wyłamuje się piosenka tytułowa, którą Bob Dylan napisał przed 11 laty. © ©



★★★★★
RÓŻNI WYKONAWCY
„7 UCZUĆ.”
PIOSENKI MARKA KOTERSKIEGO”
AGORA

Już 2 listopada w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

Pegaz dęba!



Krzysztof Mastoń



Mój kontakt z kulturą w wydaniu telewizyjnym dzielił się na oglądanie „Pegaza”, teoretycznie magazynu poświęconego kulturze i sztuce, oraz na wysłuchiwanie jeremiad sierot po zmarłym sześć lat temu jego twórcy i wieloletnim prowadzącym ów legendarny program Grzegorzu Lasocie oraz jeszcze żywym Jerzym Urbanie. Odnosnie do Lasoty, to zaczął on karierę jako terrorysta literacki, rozstawiający po kątach pisarzy nie dość socrealistycznych, a dla dodania sobie powagi wymachujący co jakiś czas pistoletem. Następnie pistolet ten, zgodnie z późniejszym apelem Muńka Staszczyka, odłożył na stół, wczuwając się w rolę subtelnej krytyki i wyrafinowanego twórcy filmów dokumentalnych, najczęściej rejestrujących wydarzenia z dziedziny baletu. Prawdziwą sławę i popularność zyskał dzięki czwartkowemu „Pegazowi”, którego nazwę wymyślił nie kto inny, tylko sam Jerzy Urban. Po marcu 1968 r. zbrzydziło Lasotę to wszystko, rzucił Telewizję czy Telewizja rzuciła jego, wziął sobie za żonę kobietę z dalekiej Wenezueli o najmodniejszym obecnie kolorze skóry i jakoś dożył 85 lat. „Pegaz” za to bez niego radził sobie coraz gorzej.

Łatwiej byłoby wskazać, kto go nie prowadził, niż wymienić pełną listę gospodarzy programu. Przez ekran przewinęli się Krzysztof Teodor Toeplitz i Janusz Rolicki, Maciej Wierzyński i Andrzej Urbański, Tomasz Jastrun

i Marcin Król, Bogusław Sobczak i Piotr Bałtroczyk, Kazimiera Szczuka i całkiem świeża ofiara czystek w faszystowskiej telewizji publicznej – Agnieszka Szydłowska, a nawet – w co najtrudniej uwierzyć – Rafał Grubiński. Mimo lawinowo postępujących zmian „Pegaz” był niestety coraz gorszy i za cholerę nie chciał stanąć dęba, jak zażyczył sobie tego, już dawno temu, Julian Tuwim. Właściwie godny zapamiętania był chyba tylko epizod z udziałem Marcina Świetlickiego i Grzegorza Dyducha, ale to moje czysto subiektywne zdanie, z którym oczywiście się nie zgadzam. Starsza część uchodzącej za kulturalną warstwę narodu i tak łała rześiste łzy, wspominając Grzegorza Lasotę, a młodsza nie wiedziała, o co chodzi, na wszelki wypadek mając „Pegaza” w głębokim poważaniu.

Ostatnio jednak gapiąc się w telewizor i pokazywany na nim bez mała 75-minutowy (!) talk-show o intrygującym tytule „Tego się nie wytnie” i tęsknie wypatrując w nim zapowiadanych przez dyrektora od telewizyjnej kultury, Mateusza Matyszkowicza, „wyższych lotów”, przyszyła mi do głowy nieoryginalna specjalnie myśl, że to może być naturalna kontynuacja „Pegazowych” tradycji, naturalnie, w nowej, lżejszej formie. Do rzeczy w pierwszych programach wypowiadali się w tym programie komentatorzy: Justyna Melonowska i, zwłaszcza, Łukasz Adamski. Pierwszych gości, choć niepokoiła znacząca przewaga wśród nich aktorów i piosen-

karzy, też można było potraktować na zasadzie: pierwsze koty za płoty. Jednak w ostatnim programie, o ile wytrzymałem wywody Antoniego Królikowskiego reklamującego film „Banksterzy”, w którym zagrał, o tyle Izabelę Trojanowską zdecydowanie wolę w „Klanie” jako właścicielkę restauracji Rosso niż w „Tego się nie wytnie” jako autorkę czy współautorkę książki, którą zapowiedziała oryginalnie jako tę, z której usunęła wszystko, co mogłoby być drażliwe czy kontrowersyjne. Nie wydaje mi się, by zachęciła tą zapowiedzią czytelników, no chyba że prowadzącego program Mariusza Cieślaka, który zadeklarował się jako fan wykonawczy „Podaj cegłę”.

Cieślak zachował za to dystans do zarekomendowanej przez dr. Tomasza P. Terlikowskiego jego 61. książki i w tym pewnie objawiła się jego, deklarowana w tytule programu, nieomal szaleńcza odwaga. Na wszelki wypadek przypomnę znów aktualne zdanie Artura Sandauera z okresu popaździernikowego (czyli po 1956 r., bo młódz tego nie wie): „Odwaga staniała, rozum podrożał”.

Terlikowski wystąpił jako komentator, a towarzyszyła mu – nie wiem dlaczego obrażona na wszystko – socjolożka Karolina Wigura. Jeśli dalej ten talk-show zapowiadany jako wydarzenie, którego nie da się porównać z niczym znanym z telewizyjnych annałów, dryfować będzie w znanym aż za dobrze kierunku, to duch Grzegorza Lasoty wciąż będzie krążył po Woronicza. ©©

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 2



Niemiecka polityka historyczna

– odpowiedzialność pod znakiem zapytania

- Dlaczego hitlerowscy zbrodniarze mogli robić kariery w powojennych Niemczech?
- Współczesna polityka historyczna Berlina kontra pamięć o polskich ofiarach
 - Jak Niemcy opowiadają o swoich ofiarach z czasów II wojny światowej
 - Piotr Semka o sprawie niemieckich wypędzonych



FOT. JAKUB KRUPA/PAP

PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI





FOT. DICKSON/WIKIPEDIA

SPIS TREŚCI

57 MACIEJ ROSALAK POZORNA DENAZYFIKACJA ADENAUERA

Zapomnieć, ukryć, zatrzeć ślady win lub przynajmniej ferować najłagodniejsze wyroki – oto denazyfikacja po niemiecku ery Konrada Adenauera. Równocześnie kanclerz RFN mocno postawił na pojednanie z Francją

61 BOGDAN MUSIAŁ POLITYKA PUSTYCH GESTÓW

Na czym polega niemiecka propaganda historyczna? Rozmowa Piotra Włoczyka

z prof. Bogdanem Musiałem, historykiem specjalizującym się w XX-wiecznych dziejach Niemiec

65 WOJCIECH SIMON NIE TYLKO REPARACJE

– Nie możemy zapomnieć, kto był ofiarą, a kto okrutnym oprawcą i katem – podkreślił we wrześniu premier Mateusz Morawiecki. Polacy mogą mieć powody do obaw. W Niemczech maleje wiedza o zbrodniach z czasów drugiej wojny

światowej i rośnie chęć relatywizowania zbrodni wojennych

69 PIOTR SEMKA PROBLEM Z „WYPĘDZONYMI”

Środowisko „wypędzonych” przez wiele lat wywierało ogromną presję na niemieckich polityków, co zatruwało relacje z Polakami. Co o jego wpływie na współczesną rzeczywistość mówi sprawa budowy w Niemczech Centrum przeciwko Wypędzeniom?



Konrad Adenauer
i Charles de Gaulle
podczas spotkania
w Bonn, 1958 r.

FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA



Pozorna denazyfikacja Adenauera



Maciej Rosalak

Zapomnieć, ukryć, zatrzeć ślady win lub przynajmniej ferować najłagodniejsze wyroki – oto denazyfikacja po niemiecku ery Konrada Adenauera. Równocześnie kanclerz RFN mocno postawił na pojednanie z Francją

Po zakończeniu drugiej wojny świat ujrzał w pełni rany zadane przez Niemców. Morze wylanej krwi i łez, groby milionów ludzi i zgłiszcza ich siedzib. Głód, choroby oraz poniewierkę wielkiej części mieszkańców Europy. Winą za to obarczono cały naród niemiecki.

Alianci rozpoczęli proces rozliczania Niemców od procesu 29 głównych oskarżonych przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze. Poza tym od 1945 do 1949 r. przeprowadzono przed sądami amerykańskimi 12 procesów norymberskich

zwanych następczymi. Łącznie stanęło przed sądem 177 osób, w tym 39 lekarzy i prawników, 56 esesmanów, 42 przemysłowców, 26 dowódców wojskowych, 22 wysokich urzędników III Rzeszy. Dwadzieścia pięć osób skazano na karę śmierci (12 stracono); 19 skazano na dożywotnie więzienie, 98 na terminowe kary więzienia, a 35 uniewinniono.

Na różnice denazyfikacji w poszczególnych strefach okupacyjnych wskazuje następujące zestawienie ogółu osób weryfikowanych, a w tym (w nawiasie) uwolnionych od zarzutów: amerykańska – 95 250 (44 244 = 46 proc.); brytyjska ■

■ – ok. 64,5 tys. (ok. 34 tys. = 53 proc.); francuska – 18 963 (8040 = 42 proc.); sowiecka – 67 179 (8214 = 12 proc.). W strefie sowieckiej wykonano kilkakrotnie więcej wyroków śmierci niż w strefach zachodnich razem wziętych.

W Polsce osądzono i powieszono m.in. dwóch pierwszych komendantów KL Auschwitz – Rudolfa Hössa i Arthura Liebehenschela. Około 600 członków załogi KL Auschwitz przekazano do osądzenia w Polsce. Kilkudzieścioro otrzymało wyroki śmierci, ale wielu wymierzono kary krótkoterminowe, a niektórych uznano za niewinnych. Przypomnijmy, że z 8-tysięcznej załogi obozu aż 7 tys. esesmanów przeżyło wojnę, natomiast osądzono zaledwie 700.

Z początku Niemcy w poczuciu winy i ze strachu znosili to pokornie, ale po czterech latach – kiedy zezwolono na własną organizację państwową – mieli dość. Powrót do ideologii „narodu panów” był, rzecz jasna, niemożliwy, ale rodziło się pytanie: Jak teraz próbować żyć z podniesioną głową wśród innych narodów? Było również pytanie o własny rozrachunek z przeszłością i o znalezienie nowej polityki historycznej...

WYSIEDLENI CZY „WYPĘDZENI”

Między zwycięzcami rozpoczęła się ryćło „zimna wojna” i zjednoczenie czterech stref okupacyjnych w jedno państwo – oraz zawarcie z nim układu pokojowego – stało się nierealne. Przy tym państwa zachodnie miały „swoich” Niemców, a Sowieci „swoich”; we wszystkim im posłusznych komunistów niemieckich. Zaufanym powierzono zadanie objęcia władzy w obu państwach niemieckich, które utworzono w 1949 r.

Amerykanie znaleźli już w 1945 r. i umieścili na pierwszym miejscu swojej białej listy osób spełniających kryteria doświadczenia, wykształcenia, postawy moralnej i politycznej 69-letniego wtedy prawnika, w latach 1917–1933 będącego burmistrzem Kolonii. Hitlerowcy wytańczyli mu sfingowane procesy, aresztowali go dwukrotnie, zabrali dom, musiał się ukrywać u przyjaciół, ale nigdy na współpracę z nazistowskim reżimem nie poszedł. Ów wyjątkowy wśród Niemców ideał nazywał się Konrad Adenauer.

Już we wrześniu 1945 r. wraz z grupą byłych członków Partii Centrum założył Unię Chrześcijańsko-Demokratyczną (CDU). Pod jego kierunkiem przygotowany projekt konstytucji przyszłej RFN. Czte-

ry lata później, w pierwszych demokratycznych wyborach na ziemi niemieckiej od lat 30. XX w., CDU zdobyła najwięcej głosów (31 proc.), ale – aby rządzić – zawiązała koalicję z liberałami (FDP). Przewagą jednego głosu na kanclerza wybrano Adenauera. Odtąd dopóty, dopóki był on kanclerzem, CDU rządziła w RFN albo samodzielnie, albo – unikając w wyborach 1953 r. sojuszu z socjalistami (SPD) – wspólnie np. z sezonową partią polityczną, jaką stał się w 1950 r. Związek Wypędzonych ze Stron Ojczystych i Pozbawionych Praw (BHE) powołany przez ziomkostwa i inne organizacje wysiedlonych.

Adenauer, który podobno osobiście nie był entuzjastą ruchu wysiedlonych, tak jak większość polityków niemieckich doceniał jednak ich potencjał wyborczy. Potencjał ten – co może wydać się paradoksalne – rósł wraz z upływem lat. O ile w spisie powszechnym z 1950 r. „wypędzonych” odnotowano 7876 tys., a w 1961 r. było ich 8956 tys., a w 1971 r. aż 9598 tys. Owemu wzrostowi sprzyjała na pewno polityka władz RFN, które w 1952 r. spowodowały wydanie ustawy o wyrównywaniu obciążeń. Faktycznie umożliwiła ona transfer pieniędzy od tej części Niemców, którzy w wyniku wojny nie ponieśli strat materialnych, do tych rodaków, którzy je ponieśli. Były to po prostu zakamuflowane odszkodowania.

O opublikowanej w 1950 r. Karcie wypędzonych tak pisał Jan Rydel w eseju o polityce historycznej w RFN (nr 599 „Prac Monograficznych” krakowskiego Uniwersytetu Pedagogicznego): „Autorzy Karty wyrzekali się zemsty na sprawcach ich niedoli, a równocześnie zastrzegali sobie prawo do powrotu do swych stron ojczystych i do swej własności pozostawionej na wschodzie, co czyniło ich wyrzeczenie połowicznym. Karta zapoczątkowała tryumf terminów »wypędzeni« i »wypędzenie« w języku politycznym RFN. Ich użycie jest tam bezwzględnie przestrzegana normą, pomimo że w ciągu pierwszych lat po wojnie w okupowanych Niemczech nazywano ten krąg osób po prostu »uchodźcami«. Słowo »wypędzeni« na określenie całej zbiorowości jest semantycznym nadużyciem, ponieważ ponad połowa osób tak określanych uciekała lub została ewakuowana przed nadejściem frontu. Termin ten ponadto w sposób szczególnie emocjonalizuje bolesne zjawisko przymusowych migracji, gdyż ewokuje antynomię: wypędzony – wypędzający, ofiara – oprawca, dobry

– zły, która zupełnie nie odpowiada dramatyzmowi dziejów Europy Środkowo-Wschodniej lat 1939–1949”.

W szeregach ruchu „wypędzonych” co rusz wyłaniały się osoby z zaszarganą nazistowską przeszłością, których nie namierzyła dziurawa ani nazbyt tolerancyjna denazyfikacja kontynuowana od 1949 r. przez samych Niemców. To jeszcze nic, że np. na pierwszego przewodniczącego Związku wybrano członka hitlerowskiej Partii Robotniczej z Poznańskiego – Waldemara Krafta. W końcu NSDAP liczyła pod koniec wojny aż 8,5 mln członków... Jednak przewodniczący w latach 1959–1963 i minister ds. „wypędzonych” Hans Krüger okazał się hitlerowcem jeszcze z czasów puczu monachijskiego i – co więcej – sędzią sądów specjalnych wydającym liczne wyroki śmierci.

Od zapowiedzi rewizji granic oraz rewanżyzmu „wypędzonych” Adenauer absolutnie się nie odcinał. Przeciwnie. Ten 80-letni już, ale działający ciągle na najwyższych obrotach polityk poruszał konieczność powrotu do granic z 1937 r. (dobrze, że nie z końca 1939 r.) za każdym razem, gdy była ku temu okazja. Pozwalał sobie na takie demonstracje jak paradowanie w płaszczu krzyżackim podczas przyjęcia go do zakonu w 1958 r. Dla ludzi z krajów zachodnich nic złego to nie znaczyło, ale w Europie Wschodniej – a zwłaszcza w Polsce – jego wykorzystywanie w oficjalnej propagandzie PRL zdjęcie z czarnym krzyżem również licznym Polakom kojarzyło się z „rewizjonizmem i militaryzmem niemieckim”. Polakożerca podobno nie był, ale na opinii PRL mu po prostu nie zależało.

A opinię tę alarmowały m.in. podręczniki szkolne z mapkami Niemiec w przedwojennych granicach czy wspomnień prominentnych generałów hitlerowskich o drugiej wojnie światowej, bez cienia refleksji nad własną odpowiedzialnością za jej ludobójczy koszmar.

U GROBU KAROLA WIELKIEGO

Wspieranie „wypędzonych” było ze strony Adenauera działaniem stricte politycznym, skierowanym głównie na użytek wewnętrzny, a zarazem oznajmieniem światowej opinii publicznej, że zachodnie Niemcy nie godzą się na rozstrzygnięcia, które zapadły w Po-



Tak zwany proces lekarzy (XII 1946–VIII 1947)

– pierwszy z 12 procesów norymberskich FOT. DOMENA PUBLICZNA

czdamie. Kanclerz sporo osiągnął taką polityką, również historyczną. Zyskał trwały sukces wyborczy w kraju, a za granicą pewien respekt u tych sojuszników zachodnich, którzy wstrzymywali się z oficjalnym uznaniem naszej granicy na Odrze i Nysie aż do początku lat 90. i układu RFN – III Rzeczpospolita. Korzystając zaś ze zmian w ZSRS po śmierci Stalina (1953), uzyskał w 1955 r. zgodę na powrót do kraju 10 tys. przetrzymywanych tam po wojnie jeńców niemieckich.

Na arenie międzynarodowej Adenauerowi udało się zbudować i umocnić pozycję RFN jako państwa praworządnego, kraju sukcesu gospodarczego, który przy tym kieruje się dobrem całego zachodniego świata i chce sprostać jego zasadom. W 1951 r. – na zaproszenie szefa dyplomacji francuskiej Roberta Schumana – został sygnatariuszem traktatu powołującego Europejską Wspólnotę Węgla i Stali, która z czasem zamieni się w Europejską Wspólnotę Gospodarczą, a następnie w Unię Europejską.

Rok później uznał zobowiązanie Niemiec Zachodnich względem Izraela, jako głównego przedstawiciela Żydów, do rekompensaty za Holocaust.

Już u schyłku kariery kanclerskiej (1963 r.) Adenauer odniósł ogromny sukces polityczny. Oto prezydent Francji Charles de Gaulle zaprosił go do swej prywatnej rezydencji (1958) i od tamtej pory obydwa pochylali się nad wspólną koncepcją dziejowego francusko-niemieckiego pojednania. Do finału doszło w Akwizgra-

nie (niem. Aachen) u grobu Karola Wielkiego – wspólnego dla obu nacji protoplasty ich państwowości – 22 stycznia 1963 r. Traktat zwany elizejskim ustanawiał stałe konsultacje w kwestiach polityki zagranicznej i obronnej, a także ścisłą współpracę gospodarczą oraz wymianę młodzieży.

Korzystając z odpowiedniej większości w Bundestagu, CDU zmieniła konstytucję RFN – usuwając zapis o rezygnacji z posiadania sił zbrojnych. Adenauer wyszedł tu zresztą naprzeciw oczekiwaniom USA, które chciały wzmocnienia potęgi wojskowej NATO w środkowej Europie. W 1955 r. RFN wstąpiła do NATO i Niemcy znowu zaczęli budować silną armię – 12 dywizji nasyconych bronią pancerną, ze wsparciem nowoczesnego lotnictwa, a przede wszystkim z ochroną amerykańskiego parasola nuklearnego oraz taktycznej broni atomowej. Kanclerz nie krył zresztą zamierzenia uzyskania własnej broni masowej zagłady.

„NIESZCZĘŚCIA” DENAZYFIKACJI

W swym pierwszym exposé Adenauer stwierdził: „Denazyfikacja była przyczyną wielu nieszczęść. Ci, którzy rzeczywiście są winni przestępstw popełnionych w okresie narodowego socjalizmu i wojny, powinni zostać ukarani z całą surowością. Ale poza tym nie wolno nam dzielić ludzi w Niemczech na dwie klasy: jednych bez politycznych zastrzeżeń i drugich z zastrzeżeniami. Ten podział musi jak najszybciej zniknąć. Wojna i zamęt okresu powojennego przyniosły wielu tak ciężkie próby i pokusy, że

musimy mieć zrozumienie dla pewnych potknięć i wykroczeń. Z tego powodu rząd federalny rozważy sprawę amnestii...”. Rozwahał, ale jednak musiał się liczyć nadal ze stanowiskiem potężnych sojuszników zachodnich, a ci dobrze pamiętali jeszcze wojnę oraz liczyli się ze Związkiem Sowieckim i ustaleniami poczdamskimi.

Kilkunastoletnie rządy Adenauera przyniosły bezkarność wielu zbrodniarzy i aktywistów hitlerowskich. Zapomnieć, ukryć, zatrzeć ślady win lub przynajmniej ferować najłagodniejsze wyroki, zwalniać z odbycia kary czy maksymalnie skracać ich odbywanie w więzieniu – oto denazyfikacja po niemiecku ery Konrada Adenauera. Na przykład feldmarszałka Luftwaffe Erharda Milcha (członka NSDAP od 1933 r.) skazano na dożywocie w jednym z norymberskich procesów następczych za deportację cudzoziemskich robotników, ale w 1951 r. karę skrócono do 15 lat, a w 1954 r. w ogóle go wypuszczono.

Podobnie stało się z Brigadeführerem SS Kurtem Meyerem skazanym na karę śmierci za mordy przeprowadzone na kanadyjskich jeńcach wojennych w 1944 r. Karę zamieniono mu na dożywocie. Kanclerz otwarcie odwiedził go w 1953 r. w więzieniu, a rok później Meyer zażywał już wolności. Jak wspominał jego syn, pierwsze, co tata wtedy zrobił, to powiesił na ścianie portret Adolfa Hitlera...

Honorowanie generałów Wehrmachtu przez Adenauera przybierało często charakter ostentacyjny – miało przywrócić Niemcom dumę z ich armii. Tymczasem nawet na znakomitym generale broni pancerniej Heinzu Guderianie ciążyła spora część odpowiedzialności za zbrodnie dokonane podczas operacji „Barbarossa” i podczas powstania warszawskiego (a w 1939 r. groził obrońcom Wizny, że jeśli nie poddadzą się, to rozstrzela wziętych dotąd jeńców). W swych „Wspomnieniach żołnierza” o takich drobiazgach – jak również o otrzymywanych od Hitlera pieniądzach i ogromnym majątku na Kujawach (skąd wygnano polskich właścicieli) – nie pisze. Włos mu z głowy nie spadł.

W założeniu słuszne – i wedle kanclerza konieczne dla RFN – przywracanie przestępców do normalnego życia prowadziło do tak rażących sytuacji jak kariera kata powstańczej Warszawy ’44, SS-Gruppenführera Heinza Reinefartha, który po wojnie uniknął przekazania



SS-Gruppenführer Heinz Reinefarth (pierwszy od lewej) podczas powstania warszawskiego

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Polisce przez Brytyjczyków, a niemiecki sąd w Hamburgu zwolnił go z „braku dowodów winy”. Następnie wybrano go (z listy partii „wypędzonych”) na długoletniego burmistrza Westerlandu na wyspie Sylt (1951) oraz posła do Landtagu w Szlezwiku-Holsztynie (1958). Był też wziętym prawnikiem. Władze RFN z uporem odrzucały polskie wnioski o ekstradycję zbrodniarza i przyznały mu nawet rentę generalską.

W swym ostatnim słowie przed izraelskim sądem SS-Gruppenführer Adolf Eichmann – główny koordynator i wykonawca planu ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej – zawarł 13 grudnia 1961 r. taką oto wykładnię linii obrony hitlerowskich zbrodniarzy: „Miałem to nieszczęście, że zostałem uwikłany w okrucieństwa. Do czynów tych doszło jednak bez mojej woli. Nie miałem woli zabijać ludzi. Wyłączną winę za ten masowy mord ponoszą przywódcy polityczni”.

Absurd i bezgraniczny cynizm tej wypowiedzi, pozbawionej cienia refleksji moralnej, charakteryzował postawę tysięcy jego towarzyszy z NSDAP i SS, policji i sądów czy np. urzędników Arbeitsamtu – od góry do dołu. Kanclerz i ministrowie z chrześcijańsko-demokratycznej partii albo woleli tego nie słyszeć (z powodu rzekomej racji stanu), albo podzielali ich pogląd. „Adenauer – jak pisze Jan Rydel – unikając wprowadzie ostentacji, aby nie drażnić swych zachodnich protektorów, stał się oponentem wszczynania nowych procesów nazistów i rzecznikiem łagodzenia zapadłych już

wyroków, a sekundował mu w tym najwybitniejszy ewangelicki polityk w CDU, Eugen Gerstenmaier, a nawet przywódca SPD Kurt Schumacher, przez wiele lat więzień obozów koncentracyjnych”.

Liczni sędziowie, prokuratorzy i adwokaci mieli na koncie hańbiącą przeszłość. Przykładem odkrycie, że sędziowie Hans-Joachim Rehse i Roland Freisler ferowali wyroki śmierci w pozakonstytucyjnym Trybunale Ludowym utworzonym w III Rzeszy w 1934 r. W RFN ich uniewinniono. Wieloletni sędzia Sądu Federalnego Wolfgang Fränkel – podczas wojny prokurator – wnioskował o najwyższy wymiar kary w kilkudziesięciu drobnych sprawach. Skutecznie. Polskiego robotnika przymusowego skazano np. za wypowiedź, że Hitler nie opanuje całej Europy. Po wojnie Fränkla nie pozbawiono nawet prawa wykonywania zawodu. Z kolei Hans Filbinger – wieloletni premier Badenii-Wirtembergii z ramienia CDU – podczas wojny wydawał w Norwegii wyroki śmierci jako sędzia Kriegsmarine. Tylko publiczny skandal przeciął jego karierę polityczną.

W RFN nie tylko chroniono prawników o zabagnionej przeszłości, lecz także stanowiono prawo, które nie pozwalało pociągać ich do odpowiedzialności. Przykładowo w 1968 r. tak zmodyfikowano paragraf dotyczący współnictwa w przestępstwie, że uniemożliwiono karanie tzw. przestępców zza biurka. Cóż, szef urzędu kanclerskiego Adenauera i jego „szara eminencja” – Hans Globke – nie należał wprawdzie do NSDAP,

ale współtworzył antysemickie ustawy norymberskie i do końca wojny służył hitlerowcom jako prawnik.

Po mniej więcej 10 latach sytuacja w RFN, jeśli chodzi o rozrachunki z przeszłością, ulegała jednak coraz bardziej korzystnym przemianom. Wpływ na to miały z pewnością tzw. destalinizacja w Sowietach i ogłoszenie tam polityki współistnienia zamiast konfrontacji. Zachód nieco odetchnął i mobilizacja fachowców od wojny – choćby z Waffen-SS – przestawała być już tak bardzo potrzebna. Należy jednak docenić też niezgodę sporej części Niemców na pozorną denazyfikację i przyspieszone amnestionowanie przestępców hitlerowskich w ich kraju. Konstytucja nie pozwalała wprowadzić na odwoływanie sędziów, nawet skompromitowanych działalnością w III Rzeszy, ale nacisk opinii publicznej często powodował, że sami prosili o dymisję.

Do głosu dochodziło młode pokolenie, które krytycznie spojrzało na swych ojców i swoje matki. Stąd piękny odruch moralny młodzieży chrześcijańskiej, z której kręgów wywodzili się w 1958 r. założyciele ruchu Akcja Znak Pokuty – Służba dla Pokoju (Aktion Sühnezeichen Friedensdienste). Najbardziej znaną formą działalności uczestników była społeczna praca przy porządkowaniu miejsc martyrologii ofiar hitleryzmu. Z kolei w 1959 r. student Reinhard Strecker urządził w Karlsruhe (siedziba sądu najwyższego i trybunału konstytucyjnego) wystawę „Ungesühnte Nazi-justiz” („Bezkarany nazistowski wymiar sprawiedliwości”). Przedstawienie hitlerowskiej przeszłości około setki znanych prawników wywołało w RFN spory wstrząs.

Na koniec ciekawe spostrzeżenie Jana Rydla: „Po 1945 roku środowisku historycznemu w Niemczech Zachodnich udało się, niejako w cieniu swych cieszących się powszechnym szacunkiem (także władz okupacyjnych) nestorów, przetrwać okres denazyfikacji bez najmniejszego uszczerbku i zająć silne pozycje w strukturach naukowych Republiki Federalnej Niemiec. Liczba profesorów i docentów historii usuniętych z uczelni z powodu ich działalności w okresie nazizmu była znikoma”. Kto bada dzieje i przynosi podstawę faktyczną do nakreślania polityki historycznej państwa? Oczywiście historycy...

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Polityka pustych gestów



Z prof. Bogdanem Musiałem, historykiem specjalizującym się w XX-wiecznych dziejach Niemiec rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: „Moje pokolenie przejęło pełną odpowiedzialność za zbrodniczą przeszłość Niemiec” – powiedział w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” Arndt Freytag von Loringhoven, ambasador Niemiec w Polsce. Czy niemiecka polityka historyczna powinna cieszyć Polaków?

PROF. BOGDAN MUSIAŁ: To tylko słowa. Ambasador jest w takim wieku, że trudno łączyć jego pokolenie z niemieckimi zbrodniami w czasie drugiej wojny światowej. To niemiecki urzędnik, więc oczywiste jest, że musi wypowiadać się w ten sposób. Zostawmy jednak na boku deklaracje i spójrzmy na fakty. Prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier z ubolewaniem przyznał niedawno, że

niemiecki system prawny zawiódł, jeżeli chodzi o ściganie zbrodniarzy. To oczywiście nieprawda i myślę, że prezydent zdawał sobie z tego sprawę. System nie zawiódł, tylko doskonale wypełnił swoje zadanie. Fakty są bowiem takie, że od początku był on tak zaprojektowany, by nie ścigać zbrodniarzy niemieckich z czasów drugiej wojny światowej, tylko ich chronić. Poświęcane były tylko jednostki, żeby zachować jakiegokolwiek pozory. System odniósł więc totalny sukces.

A jednak w zachodnich społeczeństwach panuje raczej konsensus, że kto jak kto, ale Niemcy rozliczyli

się raczej ze zbrodni wojennych i wyciągnęli z tego wnioski.

Faktycznie, świat generalnie „kupił” tworzoną przez dekady opowieść, że Niemcy rozliczyli się z przeszłością. Na tym właśnie polega niemiecka propaganda historyczna. Celowo używam tu tego pojęcia. Niemcy w moim odczuciu nie prowadzą bowiem polityki historycznej, lecz właśnie propagandę historyczną.

Różnie można oceniać to, jak Izrael wykorzystuje historię w polityce, ale nie sposób się nie zgodzić z tym, że polityka historyczna tego państwa opiera się na prawdziwym fundamencie – Holokaust się wydarzył i skończył się apokalipsą dla europejskich Żydów. Tymczasem Niemcy mistrzowsko stwarzają wrażenie, że tak właściwie oni sami byli ofiarami Hitlera i nazistów, którzy ich opanowali w latach 30. i trzymali żelazną ręką aż do 1945 r. (widać to świetnie w miniseriale „Nasze matki, nasi ojcowie”), a po wojnie zrozumieli swoje błędy i rozliczyli się ze zbrodni.

Mają przy tym gigantyczny potencjał medialny, który opowiada taką historię światu. Wszyscy wiemy, jak karne są niemieckie media. Niemcy wykonują tę pracę od dekad i teraz ta opowieść toczy się już własnym pędem. Świat uwierzył, dzięki ich propagandzie, że Niemcy po wojnie uczciwie stanęli w prawdzie. A to tylko genialnie wytworzone złudzenie.

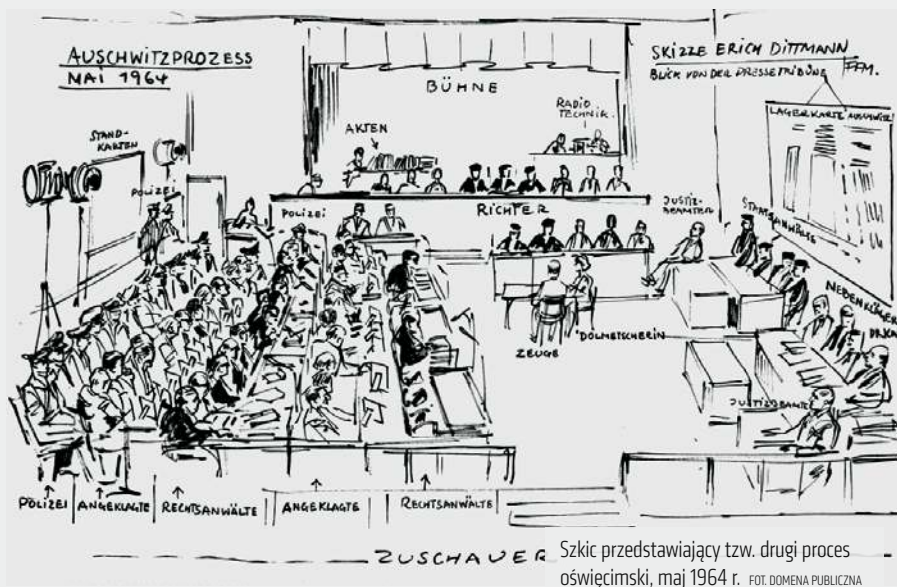
Można jednak odnieść wrażenie, że Niemcy na każdym kroku podkreślają, iż ponoszą odpowiedzialność za zbrodnie III Rzeszy. Angela Merkel w samym środku konfliktu polsko-izraelskiego o ustawę o IPN wyraźnie podkreśliła, że obozy śmierci były niemieckie. To nie pokazuje dobrej woli?

A co właściwie miała powiedzieć? Że Auschwitz-Birkenau był polskim projektem?

Mogła nic nie mówić.

Istniała presja, żeby coś powiedziała. To ją nic nie kosztowało i to było logiczne. Nikt nie mówi przecież, że Niemcy wypierają się tych zbrodni. Holokaustowi nie da się zaprzeczyć, więc byłoby to z ich strony czymś kompletnie nieracjonalnym. Ta propaganda czy – jak kto woli – niemiecka polityka historyczna jest bardziej subtelna.

Przypomnijmy, co było priorytetem po stworzeniu RFN: ochrona zbrodniarzy i zapobieżenie wypłacaniu odszkodowań za straty wojenne. Pomogła im w tym oczywiście zimna wojna. Zachodowi



Skiz przedstawiający tzw. drugi proces oświęcimski, maj 1964 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

potrzebny był silny sojusznik w postaci Niemiec. Chodziło nie tyle nawet o siłę wojskową Niemiec, ile o potencjał gospodarczy, świetny przemysł zbrojeniowy. Kiedy alianci przyjęli Niemcy do NATO, musieli zmienić narrację. Już nie mówili się o zbrodniach Niemców, tylko nazistów. To samo było po drugiej stronie żelaznej kurtyny. W 1945 r. komuniści założyli w Polsce Główną Komisję Badania Zbrodni Niemieckich, ale w 1949 r. zmieniono jej nazwę na Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich.

Żeby sojusznik – NRD – nie kojarzył się źle?

Dokładnie o to chodziło. Nawiasem mówiąc, to od samego Stalina wyszła dyspozycja, żeby pod żadnym pozorem nie mówić, że Hitler stał na czele narodowego socjalizmu. Związek Sowiecki chciał za wszelką cenę bronić wizerunku socjalizmu i dlatego komuniści wbijali ludziom do głów, że w czasie drugiej wojny światowej ZSRR walczył z faszyzmem. To wierutne kłamstwo – faszyzm był włoski, a nazizm niemiecki.

Jak już mówiłem, Niemcy, gdy pozwolono im w 1949 r. na stworzenie własnego państwa, stworzyli system obronny. I wpisali do swojej ustawy zasadniczej dwa kluczowe artykuły, które miały stać na jego czele. Jeden mówi o zakazie ekstradycji obywateli niemieckich (art. 16), a drugi o zakazie stosowania kary śmierci (art. 102). Dzięki temu, po pierwsze, nie musieli wydawać nikomu swoich zbrodniarzy, a po drugie – nawet jeżeli byłiby już zmuszeni do sądenia ich u siebie, to nie mogli ich ukarać śmiercią.

Po wojnie w bardzo wielu państwach zniesiono karę śmierci. Czy przykład niemiecki powinien więc nas tak bardzo dziwić?

Przyjrzyjmy się więc okolicznościom wprowadzenia tego zakazu, ponieważ mówi on wszystko o prawdziwych intencjach Niemców. Już w latach 20.

Heinz Reinefarth, rzeźnik warszawskiej Woli, jeszcze w drugiej połowie lat 60. był burmistrzem miasta Westerland.

Człowiek, który dowodził masakrą ludności Woli – Niemcy wymordowali wówczas w ciągu kilku dni ok. 50 tys. ludzi – nigdy nie poniósł za to odpowiedzialności

pojawił się w Niemczech niewielki ruch zmierzający do takiej zmiany prawa. Był on jednak na kompletnym marginesie. I nagle, od 1945 r., widzimy w Niemczech bardzo silną koalicję, która domaga się wprowadzenia takiego zakazu. Dużą rolę odgrywał w tym Hans Globke, późniejszy szef urzędu kanclerskiego Konrada Adenauera.

Globke, prawnik z wykształcenia, zasłynął jako jeden z twórców antysemitycznych ustaw norymberskich.

Wcześniej nie widział problemu w traktowaniu Żydów jak podludzi, nie przeszkadzało mu mordowanie tej społeczności, a nagle po wojnie stał się wielkim przeciwnikiem kary śmierci! Byli naziści bardzo się jej bali. Alianckie sądy wydawały przecież takie wyroki, a do samej Polski przekazano do 1949 r. 1776 niemieckich zbrodniarzy,

z których wielu skazano na śmierć. To wywoływało wielkie oburzenie w Niemczech. „Przecież oni tylko wykonywali rozkazy” – twierdzili ich liczni obrońcy. I w końcu, kiedy tylko Niemcy znów mogli się sami rządzić, od razu wprowadzili do konstytucji zakaz kary śmierci. To nie wynikało ze zwykłych pobudek humanitarnych...

Niemieckich zbrodniarzy było tylu, że aby uczciwie ich rozliczyć, Niemcy musieliby wprowadzić specjalne zespoły prokuratorskie. Tymczasem RFN działała w tym kontekście na podstawie starego prawa karnego. Zbrodniarzom trzeba było więc udowodnić bezpośredni udział w konkretnej zbrodni, mnożono warunki, które trzeba było spełnić, by pociągnąć ich do odpowiedzialności.

Zwykle to się kończyło tak, że ci nieliczni zbrodniarze, którzy stanęli przed obliczem niemieckiej Temidy, nie siedzieli w więzieniach dłużej niż 10 lat i wychodzili z powodu słabego stanu zdrowia. Ludzie, którzy obsługiwali komory gazowe, co do zasady żyli zaś sobie spokojnie i umierali we własnych łóżkach.

Niemcy nie mają chyba zbyt wiele powodów, by chwalić się tym, w jaki sposób ich wymiar sprawiedliwości, i w ogóle środowisko prawnicze, zostały „zdenazyfikowane”.

Tego środowiska denazyfikacja praktycznie w ogóle nie dotknęła. Aparat sądowy był opanowany przez byłych nazistów. Wielu sędziów w czasie wojny osądzało Polaków w Generalnym Gubernatorstwie i wymierzało im drakońskie kary za najmniejsze przewinienia.

Niemcy są bardzo dumni z tzw. procesów frankfurckich, do których doszło w latach 60. Sądzone wówczas niewielką część załogi Auschwitz-Birkenau. Tymczasem mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że przewodniczący składu sędziowskiego Hans Hofmeyer sam powinien być sądzony za zbrodnie wojenne. Proces był sterowany, tzn. Niemcy wiedzieli, że muszą kogoś ukarać, ale nie chcieli, by grono oskarżonych się rozrastało. Dlatego w tym

przypadku śmiało można powiedzieć, że góra urodziła mysz. Skazano garstkę zbrodniarzy, a wyroki nie były zbyt dotkliwe. Tak jak jednak wspominałem, Niemcy są mistrzami propagandy. Proszę sobie wyobrazić, że we Frankfurcie powstał specjalny instytut, którego celem jest rozpropagowanie na świecie tego, jak rzekomo wspaniale Niemcy rozliczyli się z przeszłością. Dlatego proszę się nie dziwić, że uważam niemiecką politykę historyczną za czystą propagandę, a niemieckie kajanie się za zbrodnie, w świetle tego wszystkie, za nie do końca szczere.

Pytanie jednak, czy Adenauer w tamtych czasach mógł prowadzić inną politykę? Nikt chyba nie wątpi, że był to przyzwyczajony polityk, który był jawnym przeciwnikiem narodowego socjalizmu.

I dlatego alianci zachodni postawili go po wojnie na czele państwa. Mało było niemieckich polityków, którzy mieli w czasie wojny czyste ręce. Ma pan rację: społeczeństwo niemieckie nie pozwoliłoby mu prowadzić innej polityki. Adenauer w tym sensie nie miał wielkiego wyboru i musiał bardzo ograniczyć ściganie zbrodniarzy.

Zresztą ten program polityczny nie był ograniczony jedynie do formacji centrowprawicowych. Willy Brandt, przewodniczący niemieckiej socjaldemokracji, który zasłynął w Polsce z pustego gestu klęknienia przed pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie, powiedział w latach 50., że jego partia nie może wzywać do ścigania zbrodniarzy, bo inaczej nie będzie miała szansy na przejęcie władzy – nie będzie wielką partią w sensie poparcia społecznego (Volkspartei). Brandt był realistą. Ilu Niemców było rzeczywiście zaangażowanych w dokonywanie zbrodni? Najniższe szacunki mówią o 300 tys. ludzi. To jest absolutne minimum. Dołączmy do tego ich rodziny. Mamy już kilka milionów głosów. A poza tym były miliony Niemców, którzy po prostu nie chcieli być kojarzeni jako naród zbrodniarzy.

System obronny cały czas był udoskonalany. Niemiecki trybunał konstytucyjny w 1969 r. orzekł, że nie można tak po prostu skazać człowieka wykonującego rozkazy, lecz trzeba wykazać jego indywidualną winę i wolę dokonania zbrodni. W świetle tej wykładni prawa przynależność np. do



Willy Brandt świętuje objęcie urzędu kanclerza RFN, 1969 r.

FOT. ERIC KOCH/ANEFO/NATIONAAL ARCHIEF NL

SS o niczym jeszcze nie świadczyła. Cztery dekady później, kiedy już biologia załatwiła problem Niemców zaangażowanych w zbrodnie, nagle niemiecki trybunał konstytucyjny zmienił zdanie. To się ujawniło przy okazji sprawy Iwana Demianiuka. Dopiero jego skazano według nowych przepisów, których wcześniej Niemcy nie chcieli stosować. Wtedy skazano tylko kilku zbrodniarzy, to już były niedobitki. Propagandowo pokazywało to jednak, że Niemcy są nieugięci w ściganiu i nawet dziadków na wózkach inwalidzkich pociągną do odpowiedzialności za zbrodnie. Niemieckie media zadbały o to, by nadać temu odpowiednią oprawę.



Dlaczego nie przywiązuje pan dużej wagi do słynnego gestu Willy'ego Brandta z 1970 r.? Zdjęcie kanclerza klęczącego przed pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie przez wielu odbierane jest jako wydarzenie przełomowe, świadczące o drodze, jaką pokonały Niemcy – od butnego narodu dokonującego w Polsce potwornych zbrodni do pokornego społeczeństwa, które chyli czoła przed ofiarami III Rzeszy.

Wiele wysiłku włożono w to, by pokazać, że ukłęknięcie Brandta było wielkim przełomem. A to tylko pusty gest. Zaledwie rok wcześniej Brandt powiedział, że Niemcy nie mogą cały czas płacić za zbrodnie z czasów wojny, chociaż w rzeczywistości bardzo mało zapłacili. Równolegle Brandt dogadywał się z Sowietami i robił z nimi energetyczne biznesy, rzucając im – naszym okupantom – gospodarcze koło ratunkowe, bez

którego blok wschodni szybciej musiałby upaść. Powtarzam: miarą rozliczenia z historią jest wymierzenie sprawiedliwości zbrodniarzom. Za Brandta nic się w tej sprawie nie zmieniło. Przykładowo Heinz Reinefarth, rzeźnik warszawskiej Woli, jeszcze w drugiej połowie lat 60. był burmistrzem miasta Westerland. Człowiek, który dowodził masakrą ludności Woli – Niemcy wymordowali wówczas w ciągu kilku dni ok. 50 tys. ludzi – nigdy nie poniósł za to odpowiedzialności. Zamiast tego robił sobie spokojnie karierę polityczną.

W latach 60. rozpoczął się jednak w Niemczech proces głębokich zmian społecznych. Młodzi Niemcy zaczęli pytać ojców i dziadków o ich rolę w czasie wojny, zaczęli domagać się zmian. Część polityków i sędziów z brudną przeszłością została zmuszona do ustąpienia.

Tak, młodzi zaczęli to krytykować na fali zmian 1968 r. Rzeczywiście wściekli się na rodziców i dziadków, ale to nie wpłynęło w większym stopniu na politykę. Rozliczanie zbrodniarzy, czyli fundament prawdy o wojnie, nie zostało potraktowane poważnie. W zasadzie nic się nie zmieniło. Jeszcze w latach 90., jako doktorant w Niemczech, robiłem wywiady ze zbrodniarzami niemieckimi, którzy wciąż spokojnie robili kariery!

Zajmowałem się wtedy naukowo niemiecką administracją cywilną w okupowanej Polsce. Jednym z moich rozmówców był Peter Grubbe alias Klaus Volkmann, bardzo znany dziennikarz „Stern”. Tymczasem był to zbrodniarz czasów wojny, który był wówczas m.in. Kreishauptmannem (starostą) w Łowiczu. Z wykształcenia był oczywiście



Żołnierze US Army pokazują
niemieckim cywilom ekshumowane
ciała ofiar niemieckich zbrodni

FOT. DOMENA PUBLICZNA

D prawnikiem. Podczas służby w administracji niemieckiej w dystrykcie galicyjskim wysyłał do obozów zagłady Żydów.

Co panu mówił?

Mówił, że wykorzystywał swoje stanowisko, by ratować ludzi tam, gdzie tylko było to możliwe. Ja go jednak rozpracowałem. W moim doktoracie udowodniłem na podstawie dokumentów, że Grubbe wręcz łamał niemieckie prawo okupacyjne, by szkodzić ludziom, by jak najwięcej ofiar wysyłać do obozów. Czyli robił coś dokładnie odwrotnego, niż twierdził, że robił. Grubbe strasznie się na mnie wściekł za ujawnienie tych faktów.

I co się stało? Zajął się nim niemiecki wymiar sprawiedliwości?

Proszę nie żartować. Nawet nie wszczęto w tej sprawie śledztwa. On się oczywiście bronił, mówiąc, że przecież w latach 60. prowadzono w jego sprawie dochodzenie, ale niczego mu nie udowodniono. To prawda – tak działała wówczas niemiecka machina ochrony zbrodniarzy. Maksymalnie ograniczano grono tych, których trzeba było poświęcić dla „dobrej sprawy”. Takich przykładów było mnóstwo.

Czy Niemcy w ogóle „przepracowali” narodowy socjalizm? Często bowiem można usłyszeć z ust Niemców, że NSDAP i Hitler mogli w zasadzie pojawić się wszędzie indziej, ale trafiło akurat na nich.

Niestety Niemcy nie rozumieją po dziś dzień, że narodowy socjalizm to specyfika

niemiecka. Z jednej strony mieliśmy tam socjalizm, a z drugiej agresywny niemiecki nacjonalizm, który rozwinął się już w XIX w. Jego kluczowym elementem były antysemityzm i antyslawizm. To prawda, że Niemcy analizują korzenie tego pierwszego, ale do drugiego nie przywiązują już takiej wagi. Dlaczego? Ponieważ antysemityzmowi nie można było zaprzeczyć, gdy na świecie zaczęto nagłaśniać zbrodnię Holocaustu. A o antyslawizmie nie trzeba było mówić. Niemcy bardzo sprawnie weszli w narrację o walce z antysemityzmem. Gdy w Waszyngtonie zaczęło powstawać Muzeum Holocaustu, Helmut Kohl wpadł początkowo w panikę. Niemcy szybko jednak weszli w ten projekt, by ograniczyć straty. Jaki jest tego efekt? Co jest ostatnią zbrodnią Holocaustu na wystawie w tym muzeum? Pogrom w Kielcach!

I między innymi dlatego tak trudno namówić Niemców na postawienie polskim ofiarom ich okupacji pomnika w centrum Berlina?

Niestety, prawda jest taka, że Niemcy generalnie nie wiedzą prawie nic o zbrodniach popełnionych w Polsce. Wiedzą tylko o Holocaustie i o zbrodniach w Związku Sowieckim. Polskie ofiary są na kompletnym marginesie opowieści o drugiej wojnie światowej.

Stosunki ze Związkiem Sowieckim to chyba dla Berlina spory problem. Jak Niemcy opowiadają o okresie 1939–1941, gdy obowiązywał pakt Ribbentrop-Mołotow?

Jeśli to tylko możliwe, wówczas pomijają ten okres. Lepiej o tym nie rozmawiać, bo stawia to w złym świetle państwo, które „wyzwoliło” ich od Hitlera. Tak to widzą. Poza tym to zadrażniałoby świetne stosunki z Rosją, a to dla Niemiec priorytet.

W 2009 r. tygodnik „Spiegel” opublikował głośny artykuł pt. „Die Komplizen” („Wspólnicy”). „Spiegel” stwierdził tam, że o ile „Niemcy są za Holocaust, masowe zabójstwo Żydów przeprowadzone na przemysłową skalę, odpowiedzialni”, to jednak „nie byliśmy sami. Wykonawcami rozkazów i współsprawcami z własnej woli byli Ukraińcy, Francuzi, Holendrzy, Łotysze, Litwini, Chorwaci, Hiszpanie, Włosi, Polacy”. Czy to jest marginalny dla nas problem, czy taka narracja ma jednak w Niemczech duże grono zwolenników?

Ta narracja zyskuje niestety na sile i jej ostrze wymierzone jest przede wszystkim w Polaków. Kiedyś było to nie do pomyślenia, ale czasy się zmieniają. Po raz pierwszy spotkałem się z tym w 1999 r. na konferencji w byłym niemieckim obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie mordowano m.in. polskich księży. Gerhard Paul, jeden z niemieckich historyków zajmujących się drugą wojną światową, powiedział tam publicznie: „Holocaust to było europejskie przedsięwzięcie pod niemieckim kierownictwem”. Ręce mi opadły, nie mogłem w to uwierzyć.

Niestety Niemcy mają w tym wsparcie – cytują polskich historyków, których tezy pasują im do tej narracji. Jan Grabowski, Jan Tomasz Gross mają w niemieckim środowisku historycznym status gwiazd. Trzeba przyznać, że kłamliwa teza Jana Grabowskiego o tym, jakoby Polacy zabili w czasie wojny 200 tys. Żydów, została w Niemczech doskonale przyjęta. Kiedy w ostrych słowach krytykuję za takie rzeczy Grossa czy Grabowskiego, jestem w Niemczech atakowany dosłownie przez wszystkich, od skrajnej lewicy do skrajnej prawicy. Oni bardzo chcą wierzyć w tezy, które podsuwają im ci badacze.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Bogdan Musiał – jest historykiem specjalizującym się w XX-wiecznych dziejach Niemiec, autorem wielu prac na temat niemieckich zbrodni w okupowanej Polsce (m.in. „Kto dopomógł Żydowi...”).



Berliński pomnik
Pomordowanych Żydów
Europy FOT. ADOBE STOCK

Nie tylko reparaacje

Wojciech Simon

Nie możemy zapomnieć, kto był ofiarą, a kto okrutnym oprawcą i katem – podkreślił we wrześniu premier Mateusz Morawiecki. Polacy mogą mieć powody do obaw. W Niemczech maleje wiedza o zbrodniach z czasów drugiej wojny światowej i rośnie chęć relatywizowania zbrodni wojennych

Kolejny raz premier Polski musiał przypominać, kto wywołał drugą wojnę światową i który naród kryje się za określeniami „hitlerowcy” czy „naziści”. Wcześniej, w 74. rocznicę wyzwolenia obozu Auschwitz, Mateusz Morawiecki stwierdził, że Zagłady nie dokonali „żadni naziści”, tylko hitlerowskie Niemcy. Sprytna, konsekwentnie prowadzona propaganda historyczna doprowadziła bowiem do sytuacji, w której dla wielu odbiorców, którzy słabo znają historię, odpowiedzialni za zbrodnie drugiej wojny światowej „naziści” to grupa o bliżej niesprecyzowanej narodowości.

– Wymiar sprawiedliwości chronił zbrodniarzy, a nie ofiary – zauważył też

we wrześniu 2020 r. premier Mateusz Morawiecki. „Po wielu wezwaniach z Polski niemiecki »wymiar sprawiedliwości« zajął się po wojnie zbrodnią na mieszkańcach Torzeńca dokonaną 2 września 1939 roku na rozkaz dowódcy 41. pułku piechoty Wehrmachtu płk. Friedricha Gollwitza, w wyniku której śmierć poniosło 37 Polaków”. „Mogło się wtedy wydawać, że wygra prawda i sprawiedliwość. Tymczasem niemieckiego dowódcę oskarżono co prawda o »rażące naruszenie prawa międzynarodowego«, w wyniku czego śmierć ponieśli polscy mieszkańcy Torzeńca, ale równocześnie barbarzyństwo niemieckie – palenie żywcem polskich kobiet i dzieci, rozstrzelania

i bestialskie mordy popełnione z zimną krwią przez żołnierzy Wehrmachtu – de facto usprawiedliwiono. Zbrodniarzy nie spotkała żadna kara” – zauważył w facebookowym apelu, że „w tej sprawie przez kilkadziesiąt lat mówiono zbyt mało i zbyt cicho, a ona zasługuje na to, aby o niej mówiono jak najgłośniej”. Niestety, choć w Niemczech przetoczyła się debata nad zbrodniami, to prawdziwa kara za zbrodnie popełnione podczas drugiej wojny światowej spotkała zaledwie niewielki odsetek pechowców.

NIEWIEDZA I WALKA Z PRAWDĄ

Niemcy, promując w świecie takie terminy jak „hitlerowcy” czy „naziści”, doprowadzili do rozmycia odpowiedzialności narodu niemieckiego. Z tego właśnie powodu w zachodnich społeczeństwach, które o historii wiedzą niewiele, a o historii okupowanej Polski już wyjątkowo mało, zaczęto mylić katów z ofiarami. I z tego właśnie powodu konieczne było dopowiedzenie, że Auschwitz-Birkenau był nie „polskim”, lecz niemieckim nazistowskim obozem koncentracyjnym i Zagładą.

Niewiele osób pamięta dziś, że w zamyśle Hitlera oraz Rzeszy Niemieckiej Polacy w najlepszym razie mieli być jedynie niewolnikami „narodu panów”. Jeszcze mniej zna zapewne fakty dotyczące eksterminacji polskiej inteligencji i szczegóły mordów dokonywanych przez niemieckich żołnierzy na polskich profesorach, nauczycielach i księżach. Niewielu pamięta też dziś, że Auschwitz pierwotnie było obozem utworzonym właśnie dla zagłady polskiej inteligencji.

W niemieckich podręcznikach próżno też szukać jasnego powiązania paktu Ribbentrop-Mołotow z wojennymi losami Europy, nie wspominając już o informacjach o zbrodniczych deportacjach w głąb Związku Sowieckiego czy mordzie w Katyniu.

Ogromna niewiedza z obszaru dotyczącego polskich ofiar wojny jest charakterystyczna nie tylko dla Amerykanów, Brytyjczyków czy Francuzów, lecz także nawet dla młodych Niemców. O tym, jak katastrofalnie niska jest wiedza niemieckiej młodzieży o zbrodniach popełnianych przez ich dziadków i pradiadków na terenie Polski, świadczą sondy prowadzone regularnie wśród uczniów niemieckich szkół. Z badania przeprowadzonego latem 2017 r. przez Instytut Badania Opinii Publicznej „Forsa” na zlecenie hamburskiej Fundacji Körbera wynika, że tylko 59 proc. młodych Niemców jest świadomych, że Auschwitz-Birkenau był niemieckim obozem zagłady. Jeszcze gorzej wiedza o okresie drugiej wojny światowej wyglądała w przypadku najmłodszych uczniów. W grupie wiekowej 14–16 lat jedynie 47 proc. ankietowanych znało podstawowe fakty dotyczące obozu Auschwitz-Birkenau, który Niemcy założyli w połowie 1940 r. na okupowanych ziemiach Polski i który stał się dla świata symbolem terrorku oraz ludobójstwa.

Wielu młodych Niemców nie ma też świadomości morderczych działań ich dziadków i pradiadków wobec ludności cywilnej, w tym brutalnych gwałtów dokonywanych na Polkach przez żołnierzy Wehrmachtu.

Takie wyniki muszą niepokoić, ale niestety nie powinny nikogo specjalnie dziwić. Oczywiście, za fatalną wiedzę można winić autorów niemieckich programów nauczania, a także niemieckich podręczników historii, w których pomija się wiele zbrodni, zwłaszcza dokonanych przez Niemców na narodzie polskim. Z tego powodu wielu niemieckich uczniów nie



ma bladego pojęcia choćby o powstaniu warszawskim i o jego znaczeniu dla tożsamości współczesnych Polaków.

Teoretycznie w zrozumieniu, czym była ta wojna, młodym Niemcom powinny pomagać seriale telewizyjne i filmy dotyczące tego okresu, a także artykuły publikowane w niemieckich mediach. W praktyce tak się jednak nie dzieje, ponieważ niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny i zagłady nawet w niemieckich mediach przerażająco często bywa błędnie nazywany „polskim”. O „polskich” obozach pisała agencja DPA, mówiła też o nich niemiecka stacja radiowa z Bawarii: B5 aktuell. I chociaż często redakcje szybko prostują ten skandaliczny błąd, to nie wszystkie są chętne do tego, aby odpowiednio za niego przeprosić.

Szczególny opór w przedstawieniu prawdy wykazali szefowie drugiego programu niemieckiej telewizji publicznej – Zweites Deutsches Fernsehen (ZDF). 15 lipca 2013 r. na portalu tej niemieckiej stacji pojawiło się określenie „polskie obozy zagłady Majdanek i Auschwitz”,

zapowiadające emisję filmu dokumentalnego przygotowanego przez niemiecko-francuski kanał telewizyjny ARTE. Warto zauważyć, że ARTE w informacji dla mediów zapowiadającej film posłużyło się poprawnym określeniem: „niemieckie nazistowskie obozy zagłady w okupowanej Polsce”. Karol Tendera, były więzień Auschwitz i Flossenbürg, uznał więc, że Niemcy celowo dopuścili się kłamstwa historycznego, i wystąpił z pozwem przeciw ZDF. W grudniu 2016 r. krakowski sąd apelacyjny nakazał niemieckiej telewizji ZDF zamieścić na portalu zdf.de przeprosiny Karola Tendery za użycie w 2013 r. określenia „polskie obozy śmierci”. Niemiecki nadawca próbował wykręcić się od wykonania wyroku i odwołał się do niemieckiego wymiaru sprawiedliwości. Stacja próbowała następnie przeproszać ogólnie, publikując komunikat, w którym przeproszała wszystkich, którzy poculi się urażeni nazwaniem Auschwitz i Majdanek „polskimi obozami”. Sądy w Moguncji i w Koblencji przyznały jednak, że sformułowanie



Kadr z serialu „Nasze matki, nasi ojcowie”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„polskie obozy zagłady” może „wywołać u przeciętnego odbiorcy wrażenie, że nie chodzi tylko o geograficzną lokalizację, lecz także narodową”, co sugerowałoby, że obozy były tworzone i prowadzone przez Polaków. Adwokaci ZDF odwołali się jednak do Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe, gdzie wywalczyli przychylny dla siebie werdykt – zgodnie z prawem niemieckim nie można przymuszać dziennikarza do zmiany opinii, nawet jeśli ta jest nieprawdziwa. Szefowie niemieckiej stacji skapitulowali dopiero po trwającej niemal sześć lat batalii sądowej. – Informacje przekazywane przez nadawców beczeszczą i fałszują pamięć o tym, kto był mordercą, a kto ofiarą w niemieckich obozach podczas wojny – podkreślał wielokrotnie mec. Lech Obara, radca prawny znany ze swej bezkompromisowej walki z objawami antypolonizmu.

Dobrym przykładem prób relatywizowania historii i rozmywania winy za niemieckie zbrodnie wojenne był również film „Nasze matki, nasi ojco-

wie”. Co prawda pokazał on brutalność niemieckiej okupacji na Wschodzie, ale jednocześnie autorzy filmu próbowali przypisać zbrodniczą rolę żołnierzom Armii Krajowej.

I chociaż oficjalnie żaden poważny niemiecki polityk nie podważa niemieckiego sprawstwa w zbrodni Holocaustu, to od lat Niemcy próbują relatywizować zbrodnie własnego narodu, umniejszając zwłaszcza bestialskie czyny przeciw narodowi polskiemu. Twórcy filmu zręcznie pominęli problem szerokiego poparcia społecznego Niemców dla reżimu Hitlera, a także rozpoczęli akcję od napaści na Związek Sowiecki w 1941 r., co u przeciętnego widza mogło wywołać przekonanie, że dopiero wówczas rozpoczęła się druga wojna światowa.

Z coraz większą śmiałością patrząc też na okrutne postępowanie ojców, dziadków i pradziadków w kategoriach sukcesów militarnych. – Francuzi są dumni ze swojego wodza, Brytyjczycy z lorda Nelsona i Churchilla, a my mamy prawo być dumni z osiągnięć naszych

żołnierzy na frontach pierwszej i drugiej wojny światowej – przekonywał podczas wiecu wyborczego w 2017 r. Alexander Gauland, jeden z założycieli skrajnie prawicowej, populistycznej partii Alternatywa dla Niemiec (AfD).

Gauland przekonywał także, że nikt inny w Europie „nie rozliczył się tak dobrze ze swoją przeszłością jak Niemcy”. Niemcy od kilkudziesięciu lat robią wiele, aby świat uwierzył w to rozliczenie, które – jeżeli nawet do niego doszło – jest jedynie rozliczeniem na pokaz, w które wierzy zaledwie mała część niemieckich elit. I chociaż niemiecki filozof, Karl Jaspers, w esej „Pytanie o winę” wskazywał, że żaden Niemiec nie może się uchylić od odpowiedzialności za drugą wojnę, to współcześnie coraz częściej nie tylko populiści, lecz także niemieccy historycy próbują przekonywać, że Niemcy sami padli ofiarą nazizmu, a w zbrodnie hitlerowskie zaangażowanych było również wiele innych narodów.

I chociaż skandaliczne słowa Gaulanda wywołały burzę w polskich mediach, to liderzy AfD nie wyciągnęli z niej żadnych mądrych wniosków. We wrześniu 2020 r. na jaw wyszła nagrana ukrytą kamerą wypowiedź jednego z liderów AfD, 44-letniego Christiana Luetha, który podczas spotkania z youtuberką Lisą Licentią przekonywał, że Niemcy powinny przyjmować jak najwięcej uchodźców, bo „im gorsza sytuacja jest pod tym względem w Niemczech, tym lepiej dla AfD”. Szok nawet wśród Niemców wywołało kolejne zdanie: „Możemy ich wszystkich wtedy zastrzelić. To żaden problem. Albo ich zagazować czy cokolwiek chcecie. Wszystko mi jedno”.

Jak zauważył dziennik „Die Zeit”, w tonie tej wypowiedzi nic nie wskazywało na to, że Christian Lueth mógł żartować. Wcześniej ten sam polityk AfD – głównej opozycyjnej partii w Bundestagu, której przedstawiciele zasiadają w niższej izbie parlamentu od 2017 r. – przyznawał się do aryjskiego pochodzenia oraz sam siebie określał mianem „faszysty”. Szefowie Alternatywy dla Niemiec zdecydowali więc o usunięciu Luetha, rzecznika frakcji parlamentarnej AfD, z grona swych członków. Alexander Gauland nadal jest jednak jej liderem.

BEZ POMNIKA POLSKICH OFIAR

Oczywiście, wielu Niemców dba o gesty. W rocznicę napaści na Polskę flaga na budynku ambasady Niemiec w Warsza-



Ulica Marszałkowska podczas powstania warszawskiego. FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ wie opuszczana jest do połowy masztu. O ważnych i symbolicznych słowach pamiętają nie tylko dyplomaci, lecz także zdecydowana większość rządzących polityków.

Gorzej jest z konkretnymi działaniami. Punktem zapalnym we wzajemnych relacjach – który będzie powracał tak długo, aż wreszcie zostanie załatwiony – jest wciąż kwestia należnych Polsce reparacji za straszliwe niemieckie zbrodnie wojenne. Polska nie ogłosiła jeszcze konkretnej kwoty żądań. Jak jednak we wrześniu 2020 r. ogłosił poseł PiS Arkadiusz Mularczyk, raport w sprawie wysokości odszkodowania od Niemiec dla Polski za zniszczenia podczas drugiej wojny światowej jest już finalizowany. O jakich pieniądzach mowa? Szacuje się, że w grę mogłoby wchodzić od 800 mld do 2 bln euro.

Rząd Niemiec uważa sprawę reparacji dla Polski i Grecji za ostatecznie załatwioną. Tymczasem nawet niemieccy historycy, tacy jak Karl Heinz Roth i Hartmut Rübner, uważają takie stanowisko za „prawnie nieuzasadnione” i „nieodpowiedzialne z historyczno-politycznego punktu widzenia”. Zauważają oni, że prawo międzynarodowe nie zna terminu przedawnienia, rezygnacja z reparacji ogłoszona przez PRL w roku 1953 dotyczyła jedynie NRD, a nie całych Niemiec. Traktat 2 + 4 o zjednoczeniu Niemiec z 1990 r. nie był z kolei traktatem pokojowym, nie mógł więc ostatecznie zamknąć tematu reparacji. Roth i Rübner szacują

straty wynikające z niemieckich zbrodni w Polsce – mordów (Polska straciła ok. 5,9 mln swoich obywateli), eksploatacji i zniszczeń – na 1,182 bln euro.

Polska nie jest zresztą jedynym państwem, które porusza w stosunkach z Niemcami kwestię należnych reparacji. W 2019 r. oficjalnie do otwarcia negocjacji w sprawie wypłaty reparacji za pierwszą i drugą wojnę światową wezwały Niemcy władze Grecji. Od 2015 r. rząd w Berlinie prowadzi rozmowy z Namibią, która domaga się reparacji za zbrodnie popełnione podczas rządów kolonialnych. Od Niemców i Belgów 36 mld euro odszkodowań domagają się m.in. władze Burundi, byłej niemieckiej kolonii.

W stosunkach polsko-niemieckich niezrozumiałe jest również to, dlaczego w stolicy Niemiec wciąż nie ma pomnika polskich ofiar drugiej wojny światowej. O jego postawienie apelował już minister spraw zagranicznych Władysław Bartoszewski. – Niemcy prowadzili wobec Polaków politykę zagłady. Niemcy mordowali jeńców i intelektualistów z Polski – przypominał Niemcom profesor.

Mimo upływu wielu lat Polacy takiego pomnika wciąż się jednak nie doczekali. Przeciwnicy jego postawienia argumentują, że ofiarami niemieckich zbrodni w czasie drugiej wojny światowej padło tak wiele różnych narodów, że w centrum Berlina nie wystarczyłoby miejsca na upamiętnienie ich wszystkich. W Berlinie są już jednak pomniki upamiętniające inne ofiary Adolfa Hi-

tlera: pomnik ku czci pomordowanych Żydów, homoseksualistów oraz Sinti i Romów. Trudno też zapominać o tym, jak niezwykle brutalnego terroru od Niemców doświadczyli Polacy.

Taki pomnik jest szczególnie potrzebny, aby przypomnieć narodowi niemieckiemu nie tylko o zbrodniach popełnionych na sąsiadach, lecz także o wartości wymagającego od Polaków dużego poświęcenia pojednania między narodem katów i narodem ofiar. W czasach, gdy pamięć o wydarzeniach, od których nie minęło jeszcze nawet sto lat, tak bardzo się zaciera, taki pomnik mógłby też pozytywnie wpływać na przyszłe stosunki polsko-niemieckie, a także być przestrogą dla zapędów niektórych mniej lub bardziej neofaszystowskich polityków w Niemczech.

Przywódcy Polski i innych krajów Europy Środkowej i Europy Wschodniej z niepokojem postrzegają bowiem sposób, w jaki Rosja wykorzystuje niemiecką wrażliwość historyczną, a zwłaszcza powtarzany często przez Niemców zwrot „Rosja jest naszym sąsiadem”. Chociaż wystarczy rzut oka na mapę, aby przekonać się, że jest inaczej, to Berlin wciąż lubi rozmawiać bezpośrednio z Moskwą z pominięciem Warszawy, Wilna, Rygi czy Tallina. Wśród bieżących kwestii duże kontrowersje budzą sprawy rurociągu Nord Stream 2, a także żądania reparacji konsekwentnie wysuwane przez polityków Zjednoczonej Prawicy. Kraje regionu V4 i Niemców dzielą również wyobrażenia o przyszłości Unii Europejskiej: Niemcom bliższa jest wizja Stanów Zjednoczonych Europy pod przywództwem Berlina, z kolei Polacy i inne narody Europy woleliby, aby UE nie wykraczała nadto poza ramy gospodarcze.

O różnych wizjach przyszłości Europy można debatować. Punkty sporne w narracji historycznej obu narodów trzeba jednak jak najszybciej wyjaśniać i prostować. Następne pokolenia, wychowane w niewiedzy, mogą bowiem naprawdę nie rozumieć słusznych pretensji ze strony sąsiadów. Biorąc pod uwagę to, jak ważne dla losów Europy były, są i będą stosunki polsko-niemieckie, warto inwestować w edukację kolejnych pokoleń i prowadzić świadomą politykę historyczną oraz zagraniczną. I sprawić, by polski głos był lepiej słyszalny podczas międzynarodowej debaty.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Parada niemieckich „wypędzonych” mieszkających w Nadrenii Północnej-Westfalii, 1959 r.

FOT. DIETER SELIGER/WIKIPEDIA

Problem z „wypędzonymi”



Piotr Semka

Środowisko „wypędzonych” przez wiele lat wywierało ogromną presję na niemieckich polityków, co zatruwało relacje z Polakami. Co o jego wpływie na współczesną rzeczywistość mówi sprawa budowy w Niemczech Centrum przeciwko Wypędzeniom?

Lata 1944–1945 były dla milionów Niemców czasem ucieczki przed nawałą ze Wschodu. Na mocy rozkazów partii i dowództwa wojskowego zarządzano wysiedlanie ludności cywilnej z terenów, na które wkraczała Armia Czerwona walcząca z Wehrmachtem. Była to chronologicznie pierwsza grupa niemieckiej ludności, która musiała opuścić swoje domostwa na Wschodzie.

Wśród uciekających wówczas w kierunku centralnej części Rzeszy byli zarówno przedwojenni obywatele III Rzeszy z Prus Wschodnich, Pomorza

i ze Śląska, lecz także Niemcy, których rodziny często od stuleci zamieszkiwały kraje podbite lub podporządkowane sobie przez Berlin, takie jak Słowacja, Węgry czy Rumunia.

We wszystkich krajach, w których mieszkali niemieckie wspólnoty narodowe, od 1933 r. NSDAP podporządkowało sobie miejscowe organizacje ludności niemieckiej, czyniąc z nich często swoistą piątą kolumnę działań Hitlera. Najbardziej drastycznie objawiło się to w postaci działania podziemnych organizacji niemieckich na terenie Polski do 1939 r.

Niemcy urodzeni w Polsce byli w wielu przypadkach rezerwą kadrową dla sił policji gestapo i żandarmerii jako ludzie znający teren i język podbijanych krajów środkowej Europy. Z kolei w państwach, które stały się satelitami III Rzeszy, takich jak np. Słowacja, Węgry, Rumunia czy tereny byłej Jugosławii, Berlin wyznaczał niemieckim mniejszościom rolę swoistych strażników lojalności miejscowych władz wobec III Rzeszy.

Wszystko to powodowało odwet na Niemcach. W rezultacie większość niemieckiej ludności środkowej Europy opuszczała swoje domostwa i posuwała się w kierunku Niemiec w granicach z 1937 r. jako miejsca schronienia. Ci, którzy zostali mimo wycofywania się Wehrmachtowi, zderzyli się z brutalnością żołnierzy sowieckich, a potem bezwzględnością oddziałów zabezpieczania tyłów NKWD. Plany Stalina przewidywały wysyłanie Niemców, którzy nie byli jeńcami wojennymi, do bezterminowego zatrudnienia przy robotach w Związku Sowieckim.

Wszystkiemu towarzyszyły też gwałty na niemieckich kobietach, brutalne morderstwa często osób niewinnych czy wreszcie zmuszanie Niemców do wieloletniej pracy na zasadach niewolniczych przy demontażu niemieckich zakładów przemysłowych czy pracy w gospodarstwach rolnych pracujących na potrzeby wojsk frontowych. Koniec wojny oznaczał sytuację, gdy na terenie Niemiec znajdowało się wiele milionów ludzi, którzy opuścili swoje domy na wschodzie. Do tej liczby doszły kolejne miliony wysiedlonych w konsekwencji postanowień konferencji w Poczdamie latem 1945 r. Niemców wysiedlali ze swoich rodzinnych stron nie tylko Polska czy Czechosłowacja, lecz także Węgry, Jugosławia i częściowo Rumunia. Wszyscy oni „spadli” na głowy głównie administracji zachodnich stref okupacyjnych. Nie znaczy to jednak, że wysiedleni planowali osiedlać się na stałe na nowych dla siebie terenach.

We wschodnich Niemczech setki tysięcy rodzin czekało na rozwój wydarzeń. Jeszcze więcej niemieckich Pomorzan, Ślązaków czy Wschodnich Prusaków było przekonanych, że wyznaczona granica Polski na Odrze i Nysie jest tylko chwilowym zwrotem politycznej akcji. Chociaż granicę tę potwierdziła konferencja wielkich mocarstw w Poczdamie, to Niemcy cierpliwie czekali, aż jakieś nowe wydarzenia unieważnią jej postanowienia. Tym czymś miała być początkowo zgoda na neutralizację Niemiec w zamian za zgodę Stalina na powrót do granic z 1937 r. lub pomoc mocarstw zachodnich w korekcie na rzecz Niemiec granicy na Odrze i Nysie. Rosjanie po zajęciu Szczecina przez prawie trzy miesiące utrzymywali niemiecki komunistyczny zarząd miasta. Potem gdy Szczecin przyznano Polsce, ludzono się, że planowana przyszła konferencja pokojowa skoryguje granice na Odrze i Nysie na korzyść Niemiec. Wreszcie pojawiały się idee wspólnego zarządu wszystkich mocarstw nad Niemcami. Wszystkie te plany jednak dość szybko się rozwiały. Narastająca rywalizacja Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego przyniosła podział Niemiec na część zachodnią i wschodnią. O traktacie pokojowym przestano mówić na długie lata.

„WYPĘDZENI” SIĘ ORGANIZUJĄ

Do ok. 1948 r. przybysze ze wschodnich prowincji Niemiec żyli na walizkach. Zakładali, że w każdej chwili mogą wrócić



Matka jeńca wojennego dziękuje kanclerzowi Adenauerowi za powrót jej syna z ZSRS, 1955 r.

FOT. BUNDESARCHIV/WIKIMEDIA COMMONS

do swoich dawnych siedzib za Odrą. W miarę upływu czasu dochodziła do nich jednak prawda, że może się to przynajmniej odwlec w czasie. Landsmannschaften, ziomkostwa, które grupowały przybyszy z poszczególnych krain dawnej Rzeszy, organizowały się i wzajemnie wspierały. 5 sierpnia 1950 r. wygnańcy spotkali się w Stuttgarcie przed zamkiem. Ogłoszono tam wtedy i przyjęto przez aklamację tzw. kartę wypędzonych, w której pod naciskiem aliantów zachodnich deklarowano wyrzeczenie się przemocy i środków wojennych dla zmian granic powojennych, ale jednocześnie wyraźnie mówiono, że wysiedleni Niemcy nie zrezygnują ze swego żądania powrotu do ojczyzny. Od samego początku stowarzyszenia „wypędzonych” pełniły funkcję wentyli bezpieczeństwa dla szoku, jaki przeżyli Niemcy, przegrywając wojnę. Jednocześnie optyka „wypędzonych” była zakłócona przez niedawne, często dramatyczne wydarzenia. Spowodowała ona przyjęcie bardzo wygodnej dla Niemców formy uznania się za ofiary wojny, a nie jej sprawców. Pojawiła się wręcz ideologia mówiąca, że „wypędzenie” było formą odpowiedzialności moralnej Niemiec za rozpętanie najstraszniejszej z wojen.

Jedną z pierwszych osób publicznych, które zaczęły wygłaszać tego typu teorie na procesie norymberskim, był były wielki przywódca Hitlera w Generalnym Gubernatorstwie – Hans Frank. W jednym z przemówień na procesie w Norymberdze niemiecki dygnitarz mówił: „Wszelka wina narodu niemieckiego została już zmazana nie tylko przez zachowanie się zwycięzców wobec nas i naszych żołnierzy, lecz także przez ogrom straszliwych zbrodni, jakie popełnili na Niemcach – Rosjanie, Polacy i Czesi zwłaszcza na Śląsku, Pomorzu i w Sudetach”.

Alianci w zachodnich sektorach okupacyjnych także uważali ruch ziomkostw za wentyl bezpieczeństwa dla nacjonalizmu lub recydywy nazizmu. O tym, jak bardzo było to wybiórcze, świadczy fakt, że władze francuskie bardzo ostro interweniowały, gdy pojawiały się jakiegokolwiek zawiązki „wypędzonych” z Alzacji i Lotaryngii, ale nie reagowały już zbyt ostro, gdy wypędzeni rozprawiali o zbrodniach Polaków i Czechów w trakcie „wypędzania” Niemców na zachód. Na początku lat 50. „wypędzeni” próbowali założyć własną partię. Ugrupowanie to odnosiło pewne sukcesy np. w takich małych landach Niemiec jak Szlezwik-Holsztyn, ale rychło Konrad Adenauer, najbardziej utalentowany lider niemieckiej sceny politycznej po wojnie, zaczął działać w kierunku osłabiania partii „wypędzonych” na rzecz budowy silnej chadecji CDU/CSU.

Miało to swoją cenę. CDU przejęło rolę patrona wysiedlonych, choć ówczesna SPD także rywalizowała z partią Adenauera o status partii, której „wygnańcy” mogą zaufać. Ostatecznie CDU, ale i częściowo SPD doprowadziły do powstania 27 października 1957 r. jednego wielkiego Związku Wypędzonych – Bund der Vertriebenen, w skrócie BdV – do którego weszło 21 poszczególnych ziomkostw z ziem wschodniej Europy.

LATA CHWAŁY I CHWIEJNOŚCI

Konrad Adenauer, który rządził w latach 1949–1963, zadbał o stworzenie ustawodawstwa, które było niezwykle łaskawe dla przybyszy ze wschodu. „Wypędzeni” otrzymywali bardzo wysokie sumy na pomoc w odnalezieniu się w nowym otoczeniu. Państwo zachodniemieckie finansowało instytuty badawcze zbierające relacje o ich cierpieniach

i pamiątki z ich dawnych ojczyzn, wreszcie „wypędzeni” uzyskali spore sumy na organizowanie imprez mających kultywować ich tradycje. Mniej chętnie podkreślanym faktem był bardzo duży udział byłych członków NSDAP we władzach BdV. Był to wynik paru okoliczności. Po pierwsze, byli naziści mieli w sobie najwięcej zapału i nawiązywania do przewodzenia. Po drugie, mieli oni za sobą okres dominacji nad organizacjami Niemców ze wschodu, gdyż np. organizacje niemieckie na Węgrzech, Słowacji czy w Rumunii, ale także na terenie Polski sprzed 1939 r., podlegały ścisłej kontroli już nie tylko NSDAP, lecz także RSHA, czyli głównego urzędu bezpieczeństwa Rzeszy.

Spośród 13 pierwotnych założycieli BdV w 1958 r. byli tacy naziści jak Alfred Gille (NSDAP), Erich Schellhaus (oficer Wehrmachtu) czy Heinz Langguth oraz Rudolf Wollner – obaj z SS. Ta dominacja ludzi o brunatnej przeszłości została nieco tylko złamana w połowie lat 60., kiedy to drugi prezydent związku Hans Krüger został zdemaskowany jako polityk, który ukrył, że był hitlerowskim sędzią skazującym na śmierć Polaków w okupowanej Polsce. Krüger działał w okolicach Chojnicy w ramach tzw. Sondergerichte – sądów specjalnych. Po ujawnieniu przez media przeszłości Krügera został on zmuszony do ustąpienia w 1964 r. z funkcji szefa BdV, a kanclerz Ludwig Erhard odwołał go z funkcji ministra ds. wypędzonych. Dla zatuszowania fatalnego wrażenia nowym liderem związku został Wenzel Jaksch – wywodzący się z Sudetów działacz SPD.

Nie tylko jednak skandale rzuciły cień na BdV. Atmosfera wokół ziomkostw zaczęła się powoli zmieniać po wybuchu lewicowej rewolty 1968 r. Wówczas to nowa generacja młodych Niemców w ramach konfliktu pokoleniowego zaczęła zarzucać pokoleniu rodziców nazistowską przeszłość wojenną. Środowisko „wypędzonych” z ich licznymi byłymi nazistami było wyjątkowo wdzięcznym celem do takich demaskatorskich ataków. W latach 70., gdy niemiecka lewica zaczęła odwojowywać z rąk chadeckich niemieckie media i instytucje publiczne, zaczęto powoli ograniczać niezwykle uprzywilejowanie ziomkostw poprzedniej epoki. Proces ten został wzmocniony jeszcze przez decyzje kanclerza Willy’ego Brandta o uznaniu granic na Odrze i Nysie oraz podpisaniu traktatu państwowego z PRL. Był to już bardzo wyraźny komunikat państwa niemieckiego, że jego obywatele ze wschodnich części Rzeszy

nie mają co się łudzić w sprawie powrotu do swoich rodzinnych „małych ojczyzn”. Pewnym ożywieniem dla organizacji „wypędzonych” była tzw. fala spätaussiedlerów, czyli „późnych przesiedleńców”, których to Republika Federalna wykupywała w zamian za sowite kredyty i umorzenia długów Polsce czy Rumunii.

ŁABĘDZI ŚPIEW ERIKI STEINBACH

W połowie lat 90. wydawało się, że ziomkostwa przestaną być kością niezgody w relacjach Polski i Niemiec. Po upadku komunizmu w Polsce doszły do głosu nowe elity, które na naszych ziemiach zachodnich przestały patrzeć na pamiątki poniemieckie jak na ślad krwawego nazizmu, ale widziały w nich elementy dziedzictwa kulturowego ziem, które przyszło zająć Polakom po 1945 r. Umożliwiło to współpracę ziomkostw i pojedynczych

Niemców dobrej woli z Gdańska czy Wrocławia w ratowaniu dziedzictwa kulturowego za Odrą i Nysą. Częste były spotkania Niemców, muszących opuścić Pomorze czy Śląsk z Polakami, którzy przybyli na te ziemie z Wilna czy ze Lwowa. Takim spotkaniom patronowały często niemieckie instytucje państwowe, które miały nadzieję, że refleksja nad podobieństwem losów wygnańców ze wschodnich kresów Niemiec

i Polski będzie ostatecznym zamknięciem kwestii „Vertriebenen”.

Jednak w 1998 r. szefostwo BdV objęła niespodziewanie żywotna i dynamiczna Erika Steinbach. Potrafiła ona w ciągu paru lat skupić wokół siebie postacie życia publicznego Niemiec o sporym autorytecie i zachęcić je do poparcia idei budowy Centrum przeciwko Wypędzeniom. W dość sprytny sposób wykorzystwała ówczesne współczucie Europy dla masowego wygnania albańskich mieszkańców Kosowa przez ówczesne postkomunistyczne władze Serbii do wskrzeszenia kultu ofiar wypędzeń tym razem w pozornie uniwersalistycznym sosie. Ten nagły impuls żywotności w działalności BdV szybko przyniósł konsekwencje, które stały się dla Polaków nie do zaakceptowania. Oto

urodzony we Wrocławiu w 1940 r. działacz Ziomkostwa Śląskiego – Rudi Pawelka – rzucił ideę powołania Powiernictwa Pruskiego, które zobowiązało się do pisanie pozwów o odszkodowania za utracony majątek na terenach należących obecnie do Polski. Po stronie polskiej zaniepokojeniem i oburzeniem powrotem do kwestii przeszłości był fakt wykrycia przez dziennikarza „Rzeczpospolitej” Jerzego Haszczyńskiego okoliczności przyznania Ericie Steinbach statusu wypędzonej. Jak się okazało, urodziła się ona w 1943 r. w Rumi koło Gdyni jako córka okupacyjnego oficera sił zbrojnych Niemiec, którego skierowano na teren okupowanej Polski z terenów centralnych Niemiec.

Epoka Eriki Steinbach trwała do 2014 r., kiedy wskutek swojej coraz bardziej awanturniczej polityki zaczęli odsuwać się od niej dotychczasowi sojusznicy. Naj-

większe dzieło jej życia – Centrum przeciwko Wypędzeniom – wciąż nie zostało otwarte mimo powtarzających się w ciągu ostatnich lat komunikatów o powolnym kończeniu prac nad ekspozycją stałą centrum. W powolnym schyłku siły BdV widać też wpływ biologii. Najmłodszy urodzeni jeszcze na terytoriach Pomorza czy Prus Wschodnich mają już dziś 75 lat. Ci, którzy świadomie pamiętają te tereny, mają w najlepszym wypadku 85 lat. A ich synowie

i wnukowie, którzy także mają prawo do statusu „wypędzonych”, albo pogodzili się z nowymi granicami, albo stracili zainteresowanie ziemią przodków.

Istnieje oczywiście nacjonalistyczne podziemie, w którym kultywuje się tradycje wschodniopruskich generałów czy „bohaterskich” obrońców Festung Breslau w 1945 r., ale to już oczywiście pilnie inwigilowany przez odpowiednie służby margines. Jeśli coś jest punktem sporów pomiędzy Polską a Niemcami, to raczej lewicowa krytyka stosunku władzy w Warszawie do ideologii LGBT czy prób reform sądów i wymiaru sprawiedliwości. Ziomkostwa powoli zaczynają wymierać i przygasać. W Polsce nikt po nich płakać nie będzie.



Algorytmy trybalizacji

Kadr z filmu dokumentalnego „The Social Dilemma”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Rafał A. Ziemkiewicz

Media „społecznościowe” karmią każdą ze swych baniek tym, co czyni ją jeszcze bardziej zamkniętą w zapiekłej nienawiści. Dając każdemu więcej i więcej tego, co go „nakręca”, wzmocniły tylko proces mający głębsze źródła

Na finiszu kampanii sztaby wyborcze kandydatów odpalają ostatnie „haki” na przeciwnika – to już rutyna. W amerykańskim dzienniku „New York Post”, powszechnie znanym i wciąż wysokonakładowym, ukazał się artykuł demaskujący powiązania syna demokratycznego kandydata Joe Bidena z ukraińską mafią. Czy oskarżenia są prawdziwe i czy wpłyną na wynik wyborów, zostawmy na boku – sprawa zostanie zapamiętana jako przełomowa z zupełnie innego względu. Oto liczni stronnicy Trumpa, którzy próbowali podzielić się linkiem do sensacyjnego artykułu ze swoimi znajomymi, ze

zdumieniem dowiadywali się od Twittera i Facebooka, że link nie zostanie przesłany, ponieważ „ten materiał został uznany przez nas bądź naszych partnerów za niewłaściwy”.

Tak jednoznacznej ingerencji w kampanię wyborczą ze strony jakiegokolwiek medium jeszcze w Ameryce nie odnotowano. Przyzwyczajono się już, że media i dziennikarze nie są bezstronni, zostało to nawet opisane przez politologów i socjologów – wiadomo od dawna, że dysponenti mediów manipulują emocjami wyborców, że eksponując jedne tematy, a wyciszając inne, sprawiają, iż odbiorcy, dajmy na to Fox News, żyją w nieco innym świecie niż widzowie CNN, być może nawet w świecie zupełnie innym. Świadomość tę łagodziło jednak przekonanie, że podstawowy wybór, do którego świata się zapisać, wciąż należy do obywatela. Że to on wybiera sobie takie medium, które obsługuje jego przekonania i jego emocje.

Do pewnego stopnia to prawda – z zasady uznajemy za mądrych tych, którzy mówią nam to, co chcemy usłyszeć, i zasada ta działa również przy ocenie postaci z telewizyjnego ekranu bądź łamów. Media od dawna korzystają jednak z tego mechanizmu świadomie – z podobną perfidią, z jaką sieci fast food

posługują się tzw. wzmacniaczami smaku, żeby po jakimś czasie inne jedzenie wydawało się ich klientom mdłe, media podkreślają stale emocje widzów, uzależniając od siebie odbiorców. Każdy oczywiście mówi sobie: „Oglądam właśnie tę stację, bo ją cenię, ale mogę ją w każdej chwili zmienić”, ale wiele w tym odwiecznego samookłamywania się alkoholików: „Piję, bo lubię, mógłbym w każdej chwili przestać, gdybym chciał”.

PRAWICA NA CENZUROWANYM

Z punktu widzenia mediów nowych, internetowych, które isticie po orwellowsku nazwane zostały „społecznościowymi”, mechanizm uzależniania emocjonalnego wydaje się już jednak pocziwizną. Komunikacja internetowa nie pozostawia nawet pozorów wyboru.

Jednym z pierwszych sygnałów alarmowych, że zmiana sposobu komunikacji czyni procedury demokratyczne fikcją, była publikacja Roberta Epsteina i Ronalda E. Robertsona z Princeton o wyborach parlamentarnych w Indiach w roku 2014. Naukowcy po szczegółowej analizie – jak to określili – „bąbli filtracyjnych” wyszukiwarki Google, czyli sprzężenia pomiędzy historią wyszukiwania a sugestiami podsuwanymi przy kolejnych wyszukiwaniach, stwierdzili,

że sugestie Google zdecydowały o co najmniej 20 proc. głosów wyborców niezdecydowanych. Co więcej, badacze nie ukrywali, że zabrali się do analizy materiału zagranicznego tylko dlatego, że Indie to „kraj jednej wyszukiwarki”, co pozwala mechanizm manipulacji pokazać bardziej przejrzystość, ale bynajmniej nie znaczy to, że taki sam mechanizm wypaczania wyników nie działa w USA i innych krajach Zachodu.

Odpowiedzi przedstawicieli firmy Google czytelnik zapewne łatwo się domyśli: nikt świadomie wynikami wyborów nie manipulował, po prostu „tak działają algorytmy”. Algorytmy to stałe wyjaśnienie, którym quasi-monopolisci kontrolujący komunikację w sieci odpierają każdy kierowany przeciwko nim zarzut. A te zarzuty stawiane są coraz częściej. Przedstawiciele Facebooka, Twittera, YouTube i innych popularnych serwisów musieli się już tłumaczyć przed Senatem USA, odcinać się od firmy Cambridge Analytica, zaprzeczać oskarżeniom o próby zmanipulowania poprzednich wyborów prezydenckich w USA czy brytyjskiego głosowania w sprawie opuszczenia Unii Europejskiej. Przy czym warto zwrócić uwagę, żadne oskarżenia, którym w ostatnich latach stawiali czoło, nie wpłynęły negatywnie na ich zasięgi, a więc także interesy. Można się spodziewać, że internetowe „wygaszenie” informacji o powiązaniach Bidena juniora z ukraińską i rosyjską mafią również im nie zaszkodzi.

Tłumaczenie wszystkiego „algorytmami” słabo wytrzymuje konfrontację z tym, że ofiarą cenzorskich zapędów Facebooka czy YouTube padają w zdecydowanej większości strony i konta kojarzone z szeroko rozumianą prawicą. Bez żadnej przeszkody można za ich pośrednictwem agregować nienawiść wobec konserwatystów, religii i księży, podczas gdy strony lewicy i LGBT pozostają pod szczególną ochroną, a ich zgłaszanie, nawet gdy mówimy o treściach tak plugawych jak powiązany z PO „Sok z Buraka”, jest „pisanem na Berdyczów”. Nie jest żadną spiskową teorią stwierdzenie, że wśród pracowników tych korporacji odsetek zwolenników skrajnej lewicy jest dużo większy niż w społeczeństwie i zwykle dominują oni w komunikacji wewnętrznej firm – pokazały to spektakularne bunt personelu Google czy YouTube przeciwko nominowaniu nielewicowych autorytetów do rad, ma-

jących stworzyć wrażenie, że koncerny chcą przestrzegać zasad bezstronności – mimo że sama konstrukcja wspomnianych rad i tak skazywała takie osoby na pełnienie funkcji dekoracyjnej.

EMOCJA TO PIENIĄDZ

Z różnych względów informatyczne giganty wspierają u siebie zwolenników lewicy, ale bynajmniej nie zmienia to zasady ich działania: maksymalizowania zysków. I w tym sensie tłumaczenie takich, a nie innych zachowań „algorytmami” ma sens. Zadaniem algorytmów jest skłaniać każdego z użytkowników do maksymalnej aktywności. A ten cel najskuteczniej realizuje się, wzmacniając wszystkie przekazy, które podnoszą poziom emocji. Algorytmy, ci, którzy je tworzą, i ci, którzy je nadzorują, chcą, w największym skrócie, dawać każdemu więcej tego, co budzi w nim oburzenie, gniew, zmusza do komentowania, do alarmowania i zachęca do aktywności internetowych przyjaciół. Jeśli ktoś często podaje i komentuje wypowiedzi czy linki do materiałów krytycznych wobec Żydów, to będzie ich dostawał więcej i więcej, i niewiele pomogą wysiłki usadzonych w korporacjach tęczyowych wallenrodów, by takie treści eliminować, ani wzmocnienia starających się im to ułatwić aktywistów, którzy organizują akcje masowego zgłaszania wskazanych przez nich treści jednocześnie przez wielu pozostających w porozumieniu użytkowników. W pewnym sensie ta aktywność jest nawet przeciwnie skuteczna, bo cenzura w internetowych korporacjach jest na tyle powszechnie zniechęcona, że „zbanowane” materiały docierają często szerzej niż pozostawione w spokoju.

Z kolei sympatykowi LGBT algorytm podsuwać będzie każdą informację, na przykład o rzekomym samobójstwie, pobiciu czy próbie wepchnięcia pod tramwaj homoseksualisty albo „queera”.

Media „społecznościowe” karmią każdą ze swych baniek tym, co czyni ją jeszcze bardziej zamkniętą w zapiekłej nienawiści. Umownych Hutu bombardują dzień w dzień materiałami potęgującymi ich agresję wobec umownych Tutsi i odwrotnie. Ktoś tam, na górze, ma oczywiście możliwość wykorzystywania tych narzędzi „kierunkowo”, zwłaszcza gdy chce, dajmy na to, „ustawić” wybory albo kampanię społeczną w którymś z mniejszych krajów, których jurysdykcji nad sobą koncerny w najmniejszym stopniu

nie uznają. Czy z niej korzysta? Jak na razie nagłośnione medialnie postępowania amerykańskich komisji Senatu nikomu niczego nie udowodniły.

Dały przynajmniej tyle, że monopol internetowych gigantów w kształtowaniu emocji i opinii decydujących o zachowaniach całych zachodnich społeczeństw zaczęto postrzegać jako zagrożenie dla demokracji. Owocem tej zmiany był popularny film dokumentalny Netfliksa „The Social Dilemma”. Jest tam sporo o działaniu algorytmów, ale istota sprawy wydaje się twórcom filmu umykać.

„Przestaliśmy ze sobą rozmawiać, nienawidzimy się – nigdy jeszcze nie byliśmy tak dramatycznie podzieleni” – ubolewa jeden z cytowanych w filmie ekspertów. Rzecz w tym, że ten sam proces w podobnym stopniu, nawet większym, wystąpił również w krajach znacznie rzadziej używających mediów „społecznościowych” i zaczął się przed ich upowszechnieniem. Te ostatnie, dając każdemu więcej i więcej tego, co go „nakręca”, wzmocniły tylko proces mający źródła głębsze.

NOWE PLEMIONA

Teoretycy nazwali go „trybalizacją” społeczeństw – to słowo bodaj najmłodniejsze dziś w naukach społecznych. A wyjaśnienie jest proste, choć od powiedzenia tego, co oczywiste, na głos odstrasza „polityczna poprawność”. Winę za obecny stan ponosi ponad pół wieku intensywnych starań liberalnych elit, by osłabić, zniszczyć i wykorzenić poczucie szerszej, narodowej wspólnoty. To ono, „nacjonalizm”, uznane zostało za główną przyczynę wojen, ludobójstw i wszystkich innych nieszczęść, jakie spadły na ludzkość. Przez wiele dziesięcioleci politycy, intelektualiści, liderzy popkultury etc. dokładali wszelkich wysiłków, by identyfikację narodową, patriotyzm i wszystkie jego konsekwencje ze społeczeństw wykorzenić. Miało to wprowadzić ludzkość w nową erę, erę wspólnoty ludzkiej, ponadnarodowej.

Mimo że chcieli jak najlepiej, wyszło jak zwykle – tak jak w innych sztafardowych projektach liberalnej demokracji skutek okazał się odwrotny. Zniweczenie wspólnot narodowych, cywilizacyjnego osiągnięcia wieku XIX, popchnęło ludzkość w tył, cofając ją do wcześniejszych, plemiennych form organizacji. Z nieuchronną w nich wzajemną nienawiścią formujących się na nowo plemion.

Niemieccy biskupi i wpływowi świeccy od lat opowiadają się za wprowadzeniem w swoim kraju pełnej interkomunii, którą nazywają „gościnnością eucharystyczną”. Kilka tygodni temu postanowili zagrać w tej sprawie w otwarte karty. 3 września przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec, bp Georg Bätzing, zapowiedział, że interkomunia z chrześcijanami ewangelickimi zostanie zainicjowana w maju 2021 r. To oznaczałoby w praktyce, że od przyszłorocznej wiosny protestanci w Niemczech przyjmowałiby Komunię Świętą za formalną zgodą katolickich biskupów; katolicy mieliby z kolei zyskać możliwość pełnego uczestnictwa w protestanckiej Wieczerzy. Plan został oparty na tekście, który jesienią 2019 r. ogłosiła Ekumeniczna Grupa Robocza teologów katolickich i ewangelickich. Stwierdzono w nim wbrew prawdzie, jakoby nie istniały już dziś żadne przeszkody dla interkomunii. W tworzeniu dokumentu uczestniczył sam bp Bätzing.

Sprawa ma wymiar globalny, bo, po pierwsze, chodzi tu o serce Kościoła, Eucharystię; po drugie – bo Niemcy dążą w istocie do arbitralnego zażegnania podziałów wśród chrześcijan i zamknięcia dialogu ekumenicznego z protestantami. Papież Franciszek, podpisując w 2017 r. deklarację w Lund z przewodniczącym Światowej Rady Luteranckiej, wskazał, że wspólne przyjmowanie Eucharystii przez katolików i protestantów byłoby wyrazem „pełnej jedności” oraz „bycia jednym w Chrystusie”. Niemcy postanowili, że sami zadekretują tę pełną jedność, a cały Kościół po prostu pójdzie w ich ślady.

WATYKAN MÓWI „STOP”

Jest nadzieja, że powstrzyma ich Stolica Apostolska. W połowie września prefekt Kongregacji Nauki Wiary, kard. Luis Ladaria Ferrer, wystosował pismo do bp. Bätzinga, w którym określił interkomunię jako obecnie niemożliwą. Wskazał na różne rozumienie Eucharystii i kapłaństwa przez katolików i protestantów. Przestrzegł też przed negatywnym wpływem interkomunii w Niemczech na dialog z prawosławiem. Wreszcie podkreślił też związek między Komunią a przynależnością do Kościoła.

Kongregacja już w 2018 r. wysuwała podobne argumenty, sprzeciwiając się dopuszczeniu do Komunii protestanckich małżonków katolików. Zmianę jednak i tak

Kościelna rewolucja



Paweł Chmielewski

Biskupi z Niemiec ogłosili, że od 2021 r. ma obowiązywać w ich kraju pełna interkomunia z protestantami. Projekt skrytykował Watykan i możliwe, że tym razem prawda zatryumfuje. Niestety, jednocześnie na sile przybierają dążenia do akceptacji homoseksualizmu oraz wyświęcania kobiet



FOT. THOMAS LOHMEYER/GETTY IMAGES

wprowadzono, choć nie na szczepie całego kraju. Tym razem Watykan może jednak osiągnąć więcej. Wprawdzie bp Bätzing odniósł się do dokumentu kard. Lada-rii lekceważąco, ale pozostali biskupi opublikowali krótką notatkę specjalnej katolicko-ewangelickiej komisji, w której podkreśla się braki dokumentu „Wspólnie u Stołu Pańskiego”. Dwóch postępowych biskupów – bp Franz Jung z Würzburga i Bertram Meier z Augsburga – stwierdziło, że obecnie interkomunii wprowadzić się nie da.

NOWA (NIE)MORALNOŚĆ SEKSUALNA

Interkomunia to jednak tylko jeden z elementów niemieckiej rewolucji. Swoim torem idzie rozpoczęta w grudniu 2019 r. Droga Synodalna. W ostatnich tygodniach uczestniczące w niej grupy (tzw. fora) ogłosiły dwa krótkie dokumenty robocze poświęcone miłości oraz roli kobiet.

W pierwszym z tekstów stwierdzono, jakoby pierwszym celem seksualności nie była prokreacja, ale budowanie tożsamości danej osoby. Otwartość na potomstwo uznano za jeden z dalszych elementów, bynajmniej nie nieodłączny. Dla autorów dokumentu nie ma znaczenia, czy seksualność realizowana jest w związku małżeńskim, czy poza nim, między osobami przeciwnej płci czy tej samej. Doświadczenie seksualne określono po prostu jako instrument „umożliwiający transcendentne doświadczenie miłości Boga”. Stwierdzono również, że płodność to nie tylko zdolność do dania życia nowemu człowiekowi; miała by mieć jeszcze charakter społeczny, wobec czego „płodne” byłyby również związki homoseksualne. Podkreślono, że w przeżywaniu seksualności najważniejsze jest „osobiste samostanowienie”, a to oznacza, że każdy może wchodzić w takie związki seksualne, w jakie tylko chce. Jedynym warunkiem jest zgoda partnera. Forum o seksualności, w geście protestu, kilka miesięcy temu opuścił biskup pomocniczy Kolonii – Dominikus Schwaderlapp. Jak zapewnia jednak bp Franz-Josef Overbeck z Essen, skoro większość członków Drogi chce zmian, to te zmiany będą, demokratycznie prze głosowane.

SPÓR O KAPŁAŃSTWO KOBIE

Niemąla burza rozpetęła się wokół roboczego dokumentu poświęconego roli kobiet. Przeciwno niemu zaprotesto-

wał bp Rudolf Voderholzer z Ratyzbony. Przygotowany przez uczestników Drogi tekst stwierdzał, że płciowość nie ma większego znaczenia dla rozumienia kapłaństwa. Uznano, jakoby fakt, że Jezus Chrystus wybrał na apostołów jedynie mężczyzn, nie był dla współczesnego Kościoła w żaden sposób wiążący. Zaszkodziła argumentacja, zgodnie z którą... Jezus nie ustanowił sakramentów; te, należąc do rzeczywistości Kościoła po Wniebowstąpieniu, byłyby poddane przede wszystkim ludzkiej woli i inwencji, a zatem otwarte na głębokie nawet przekształcenia. Biskup Voderholzer zauważył krytycznie, że na tej samej zasadzie można zakwestionować również inne sakramenty, w tym Eucharystię. Co ciekawe, w sporze zabrał głos sam bp Bätzing, ale... odniósł się jedynie do kilku marginalnych w gruncie rzeczy kwestii proceduralnych, które opisywał też bp Voderholzer, całkowicie ignorując merytoryczne zarzuty biskupa. Podobnie jak w przypadku moralności seksualnej, także w kwestii kapłaństwa kobiet zdecydowana większość członków Drogi jednoznacznie popiera zmiany.

KU SYNODOWI EUROPEJSKIEMU

Kurs przyjęty przez katolickich biskupów i świeckich w Niemczech nie jest bynajmniej ograniczony do Kościoła w tym jednym kraju. Niedawno dał temu wyraz luksemburski kardynał Jean-Claude Hollerich, przewodniczący Komisji Episkopatów Wspólnoty Europejskiej. Ten ceniony przez papieża Franciszka purpurat w jednym z wywiadów był pytany o swój stosunek do Drogi Synodalnej. Wyraził dla niemieckiego procesu duże uznanie i stwierdził, że pytania, które się tam stawia, są niezwykle ważne. Hollerich zaznaczył zarazem, że wątpli, by Niemcy mogli samodzielnie przeprowadzić pożądane przez siebie zmiany. Zaproponował więc zwołanie Synodu Biskupów poświęconego Europie, na którym można byłoby przedyskutować takie sprawy jak podejście do homoseksualizmu czy święcenia kobiet. Taki pomysł przedstawił już w czerwcu tego roku bp. Bätzing, uznając Synod Europejski za naturalne zwieńczenie Drogi Synodalnej. Na takim zgromadzeniu Niemcy mogliby być pewni poparcia biskupów z wielu zachodnioeuropejskich państw.

DOMNIEMANY GNIEW PAPIEŻA

Na to wszystko Watykan na razie nie reaguje. W czerwcu 2019 r. Franciszek

wysłał do Kościoła w Niemczech list, w którym przestrzegł przed skupianiem całego wysiłku na reformach struktur i wezwał do przyznania prymatu ewangelizacji. Tekst nie zawierał jednak potępienia żadnych konkretnych błędów. W efekcie został zignorowany. Jak twierdzi emerytowany biskup Fuldy, Heinz-Josef Algermissen, który na początku października został przyjęty przez Ojca Świętego, papież nie jest z tego zadowolony. Według Algermissena w całym Watykanie patrzy się na Drogę Synodalną z dużym krytycyzmem. Nie wiadomo, czy relacja hierarchy jest prawdziwa. Wiele wskazuje jednak na to, że w Kurii Rzymskiej opór wobec Niemców narasta. Świadczy o tym nie tylko kwestia interkomunii, lecz także dokument, który jeszcze w lipcu wydała Kongregacja ds. Duchowieństwa, mówiący o kształtowaniu życia parafialnego. Chociaż tekst jest w istocie jedynie przypomnieniem obowiązujących w Kościele reguł i praw, to przez część niemieckich modernistów odebrany został jako policzek wymierzony w postulaty Drogi Synodalnej zmierzające do przyznania większej władzy świeckim.

CZAS NA GŁOS Z POLSKI

Nie sposób przesądzić, czy zbierające się nad głową niemieckich progresistów czarne chmury zapowiadają prawdziwy przełom w dotychczasowej watykańskiej polityce swoistego appeasementu. Trzeba jednak kuć żelazo, póki gorące, i ze wszystkich sił wspomóc walkę z błędami. Jak dotąd głos przeciw zmienianiu prawd wiary w Niemczech podniosło tylko kilku kardynałów i biskupów na całym świecie, w tym hierarchowie z Ukrainy. Być może nadszedł czas, by dołączyli do nich Polacy. W naszym episkopacie działa Zespół ds. Kontaktów z Konferencją Episkopatu Niemiec. Wiedza o tym, co się dzieje za Odrą, jest niewątpliwie bardzo duża. Zajęcie jasnego stanowiska w obliczu radykalnych poglądów biskupów z Niemiec byłoby dobre nie tylko z perspektywy Kościoła powszechnego, lecz także polskiego – w naszym kraju, niestety, coraz śmielej działają rozmaici harcownicy rewolucji, którzy starają się przeszczepić na polski grunt błąd progresywizmu. Trzeba dać im odpór, a można to zrobić, choćby potępiając ich ideowych przywódców zza Odry.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.



Barbara Nowak

Lewicowe ideologie obecnie kreują nie tylko popkulturę, lecz także cały obszar kultury i sztuki, zarówno w Polsce, jak i na Zachodzie. Ludzie prawicy ten obszar zaniedbali

Szeroko pojęte środowisko ludzi szanujących tradycję i historię, dla których prawa natury są czymś więcej niż oczywistością, niedawno doznało szoku. Dowiedziało się bowiem, że nie ma czegoś takiego jak płęć biologiczna. Normą jest to, że człowiek nie rodzi się ani mężczyzną, ani kobietą, dzieci są seksualne od urodzenia i należy je rozbudzać seksualnie jak najwcześniej. To tylko najbardziej szokujące przykłady. Wielu do dziś nie wierzy, że to możliwe, iż ktoś mógł wymyślić coś podobnego i jeszcze uznać to za naukę. Zamknięci w bańce własnych potrzeb i ideałów uznaliśmy, że osiągnięcia cywilizowanego świata ukształtowane wielowiekową tradycją są niezbywalne i wieczne, a nade wszystko tak oczywiste, że możemy darować sobie ich propagowanie, tłumaczenie, dlaczego są tak ważne dla trwałości cywilizacji łacińskiej – najwyższej formy rozwoju społecznego i kulturowego.

To wielki błąd! Niestety, wykorzystany przez grupy ideologów neomarksistowskich, które za pieniądze wielkich korporacji i wspierane przez rzeszę wpływowych elit politycznych podjęły kolejną próbę – po klęsce bolszewickiej rewolucji i komunistycznego totalitaryzmu – zburzenia świata „cywilizacji życia” opartej na wzorcach judeochrześcijańskich. Na scenę weszła lewica zwana seksualną z chwytliwymi hasłami łatwego, przyjemnego życia, powszechnej anarchii, egocentryzmu i nihilizmu. Trudno się dziwić, że młodzież nie tylko w Polsce dała się omamić agresywnym lewicowym ruchom LGBTQI+.

Lewicowe poglądy stały się absolutną doktryną w świecie popkultury, a przecież to właśnie ona jest najczęściej źródłem młodzieżowych autorytetów. Każdego, kto się im nie podporządkuje, spotyka ostracyzm ze strony wpływowych elit. Młodych ludzi

zawsze pociąga ideowość, są też niestety bardzo podatni na wpływy, modę. Lewicowe ideologie obecnie kreują nie tylko popkulturę, lecz także cały obszar kultury i sztuki, tak w Polsce, jak na Zachodzie. Uważam, że ludzie prawicy całkowicie ten ważny obszar kształtujący postrzeganie świata przez społeczność państw, Europy i niestety Polski

zaniedbali. Świadomość tego faktu do wielu ostatnio dotarła.

POWRÓT KULTURY KSZTAŁTUJĄCEJ

Z poziomu nauczyciela patrzę ogromnie bezradna, gdy nie mogę uczniom zaproponować ani spektaklu teatralnego, ani filmu czy serialu telewizyjnego.



Zostawiliśmy ich samych

Obawiam się treści niszczących psychikę młodego człowieka, gdy włącza on grę komputerową, a nawet gdy otwiera podręcznik szkolny lub czyta lektury do konkursu wiedzy przedmiotowej bądź tematycznej. Co może zwykły człowiek z poziomu rodziców, wychowawców? Poruszanie się w świecie lektur, dziejów historycznych do czasów Polski współ-



FOT. ADRIAN STOK

czesnej nie znajduje ciągu dalszego w świecie nas otaczającym. Oczywiście, że są też i takie społeczności, które mimo powszechnego niszczenia, potwornego hejtu, ostracyzmu, cenzury wciąż walczą o wartości „cywilizacji życia”. To jednak są tylko enklawy, tak jak enklawą są niszowe propozycje teatrów, zespołów muzycznych czy innych artystów. Oni sami nie naprawią polskiego przekazu kulturowego. To zadanie za siły mocarza, a nie jednostek, nawet najwybitniejszych. Jednemu Herbertowi nie uda się zmienić narracji Polski.

Powrót kultury kształtującej społeczeństwo w wartościach europejskiej cywilizacji łacińskiej opartej na chrześcijańskiej idei życia, od której Europa Zachodnia dziś odchodzi w kierunku neobarbarzyńskiej, antykulturowej cywilizacji śmierci, jest możliwy tylko wówczas, gdy będzie polityką powszechną, a jego powodzenie zależy od determinacji aparatu państwowego, organizacji społecznych i oddziaływania edukacyjnego na całą społeczność Polski. Szczególnym wyzwaniem jest takie uformowanie młodzieży, aby była zdolna do troskliwego zadbania o swoich bliskich, rodzinę, którą musi stworzyć, aby odnawiać pokolenia i Polskę, za której losy we własnym interesie musi wziąć odpowiedzialność. Współczesna młodzież w większości myli wolność z anarchią, nie rozumie, że największym gwarantem poczucia bezpieczeństwa są silna rodzina i silny naród.

Należy więc uważnie i dokładnie zdiagnozować jej potrzeby i oczekiwania. Zadaniem nadrzędnym staje się dziś wytłumaczenie młodym ludziom, że nie ma potrzeby i sensu w dążeniu do szczęścia wywracanie świata do góry nogami, obalanie praw natury, a wszelkie potrzeby można zaspokajać w harmonii z przyrodą, dziełami rąk ludzkich, talentów, a przede wszystkim w zgodzie z rozumem.

WEJŚĆ W POPKULTURĘ

Szukając dróg dojścia do młodych ludzi, musimy stworzyć atrakcyjną ofertę w sferze popkultury. Dlaczego np. nie ma być projektantów mody, którzy mieliby odwagę promować tradycyjnych wartości? Jak najszybciej powinniśmy uruchomić narzędzia wsparcia dla wszystkich artystów, muzyków, piosenkarzy, twórców teatralnych, reżyserów, pisarzy, którzy z powodu niehołdowania lewicowym ideologiom są dziś odrzucani przez establishment, co nie daje im szans na zaistnienie. Młodzież czerpie wiedzę i wzorce z Internetu. Tutaj oferta lewicowa jest ogromna. Lewica potrafiła dobrze opanować język i sposób komunikacji z młodymi ludźmi. Świetnie opanowała sposoby kreowania potrzeb młodzieży. To tu powinna zacząć się ofensywa. Zyskiwanie pola poprzez wpływanie na gusty młodych osób – tworzenie grup, wydarzeń, imprez. Dobór tematyki, kreowanie idoli pozytywnych, którzy wskażą azymut wartości.

Musimy również dopracować się atrakcyjnego przekazu treści patriotycznych. Mamy dziś np. fascynujące pomysły grup rekonstrukcyjnych, gier edukacyjnych. Długotrwałe apele, deklamacje wierszy często nudzą, a nie zachęcają do świętowania. Klucz do przeżywania i pamiętania zawsze wiąże się z aktywnym uczestnictwem. Dwa lata temu z okazji 100. rocznicy odzyskania niepodległości zorganizowałam Widowisko Dumy i Radości. Dziesięć tysięcy dzieci ubranych w zaprojektowane przez siebie stroje, przebranych za znane postaci z historii Polski przemaszerowało pochodem spod Wawelu do parku Jordana, gdzie czekały na nich występy, pokazy i słodycze. Innym przykładem jest zorganizowana w Warszawie w 2016 r. przez Fundację Reduta PWPW największa w tej części Europy rekonstrukcja walk powstańczych o Polską Wytwórnę Papierów Wartościowych, mających miejsce w sierpniu 1944 r., czy zorganizowany w roku następnym przez PWPW całodzienny Piknik Powstańczy, który przeciągnął kilka tysięcy warszawiaków, głównie młodych ludzi zafascynowanych historią powstania warszawskiego.

Kształtowaniu służą też organizowane imprezy sportowe pamięci znanych osób, bohaterów narodowych. Ciekawe turnieje, pikniki tematyczne, koncerty. Wspólne oglądanie zawodów sportowych bardzo jednoczy, buduje więź i jeszcze pozwala na bezpieczne ujście emocji, a to szczególnie ważne w okresie, kiedy nastolatkom kipią energią. Festiwale, przeglądy – jest tyle możliwości! Dzisiaj nawet gdy są pomysły, nie znajdują się na ich realizację pieniądze. Potrzebne są organizacje pozarządowe nastawione na promowanie wśród młodzieży tradycyjnych wartości, różne oferty programów wspierających rozwój, wolontariatów nie tylko o charakterze czysto katolickim. Opieka nad samotnymi seniorami, dziećmi z domów dziecka, pomoc niepełnosprawnym wszędzie, gdzie uczyliby się empatii, radości z dawania czegoś od siebie, prawdziwej wartości człowieka jako istoty duchowej.

ODKŁAMAĆ ŚWIAT

Potrzebujemy też odpowiedniego, merytorycznego przekazu na temat kłamstw lewicowych ideologii, np. gender/LGBT. Musimy rozmawiać z młodzieżą. Mówić do niej tak, aby nas rozumiała, ale również uważnie jej

■ słuchać. Dyskutować. Prawda jest taka, że zostawiliśmy ją samą. Szansę obronić się przed atakiem progresywnej ideologii mają jedynie ci, którzy otrzymują odpowiedni przekaz w domu, ale to przecież nie wystarcza. Przychodzi okres buntu, przedkładania grupy rówieśników nad autorytet rodziców. Musimy uczyć młodzież na wszechobecne w przestrzeni medialnej kłamstwo, uświadamiać, jak łatwo w dobie „mediotyzmu” zostać oszukanym przez pseudonaukowców, pseudofilozofów, płytkich myślicieli, celebrytów. Nie uchronimy młodzieży przed indoktrynacją ruchów LGBT, mówiąc im tylko, że to jest złe i stosując zakazy. Tylko uświadamianie, budowanie mocnego poczucia bezpieczeństwa w cywilizacji życia jest w stanie stworzyć skuteczną zaporę przed zagrożeniami szkodliwych ideologii.

Jeżeli młodzi ludzie usłyszą, że warto zacząć z inicjacją seksualną na odpowiedni moment, że seks jest czymś więcej niż zwykłym zaspokajaniem potrzeb, że może być czymś pięknym dzięki połączeniu go z głęboką więzią duchową i wzajemnym oddaniem, to sami wybiorą trudne piękno. Muszą usłyszeć, że warto szukać tej jedynej prawdziwej miłości, uczyć się, czym ona jest i jak wiele może mieć wymiarów. Miłość dla nastolatków jest czymś, co bardzo skupia ich uwagę, podchodzą do niej bardzo emocjonalnie i dlatego łatwo ich oszukać każdym hasłem, które mówi o miłości, ale niczego nie wyjaśnia.

Młodzi ludzie chętnie godzą się na rozwiązłość seksualną, narkotyki, anarchię, bo to przy odpowiednim przekazie jest dla nich atrakcyjne, a przecież nie potrafią jeszcze myśleć o sobie w kontekście przyszłości, nie do końca rozumieją, co to jest dorosłość. Kojarzą ją najczęściej z wolnością i brakiem zakazów. Bez uwrażliwienia ich na sferę odpowiedzialności nie tylko za siebie, lecz także drugiej, zwłaszcza bliskiej osoby, łatwo pogrążają się w egoizmie, krzywdzą. Widzimy coraz częściej młodych ludzi, uczniów, którzy idą w marszach dumy LGBT pod hasłem „miłość to miłość”. Oni wierzą, że robią coś dobrego, że to jest światu potrzebne i właśnie zmieniają go na lepszy. I teraz pytanie, czy się oburzają, czy coś rozumieją, jeżeli usłyszą z ust chłopaka, który mówi o sobie, że jest kobietą, takie słowa: „Jesteśmy osobami poliamorycznymi. Ja mam jeszcze partnera. Łania ma swoje partnerki” lub:

„Nie mam kontaktu ze swoją rodziną. Jak każda dobra chrześcijanka odcięłam się od swojej rodziny”. Jeszcze takie: „I czy faktycznie moje pragnienie, by Polska była trochę bardziej rozpie...lona, się spełniło” oraz oświadczenia typu: „My, jako anarchistki, jesteśmy wroginiami tradycyjnego modelu polskiej rodziny, która jest głównym źródłem przemocy dla młodych osób w Polsce. Nigdy nie obchodziła nas dyskusja z prawicą na temat ich wizji rodziny”.

Obawiam się, że nie wzbudzą te słowa żadnej refleksji, chęci ucieczki od ludzi, którzy deklarują nienawiść do drugiego człowieka, wybiórczo stosowaną tolerancję, czyli represywną. Koszmarnie przynębiająca refleksja. Skutki zaniechania. Zapomnieliśmy, że jesteśmy odpowiedzialni za bezpieczeństwo młodych pokoleń, że musimy ich strzec, bo z umysłem dziecka można zrobić wszystko.

Dlatego tak szokuje, że kiedy mówimy o szacunku do wszystkich ludzi bez wyjątku, bo na tym polega prawdziwa tolerancja, młodzi ludzie zdają się tego nie słyszeć. Bezrefleksyjnie przyswajają żądanie przywilejów, wyróżniania jednych kosztem dyskryminowania innych jako objawy tolerancji.

Ogromnie zaniedbaną przez prawicę sferą jest kinematografia. Bardzo brakuje filmów, które promowałyby takie wartości jak: przyjaźń, szacunek, godność, wartość rodziny, miłość matki – to wszystko jest niszczone przez lewicowy przekaz. Naturalną rodzinę pokazuje się jako zacofanie, promuje jak najwcześniejsze inicjacje seksualne bez żadnych barier. Wierność jest czymś staromodnym. Doskonałym przykładem jest mocno reklamowany przez Netflix film „Gwiazdeczki”. Nasz przekaz jest niewidoczny, nieznan, nie jest podany nawet jako alternatywa. On po prostu nie istnieje. Piękna uniwersalna wizja cywilizacji, w której żyjemy, oparta na tysiącletniej tradycji i – co najważniejsze – prawach natury nie funkcjonuje w nowoczesnym obrazie filmowym, podobnie nie funkcjonuje we współczesnych sztukach czy też przedstawieniach teatralnych. Prawa strona, strona racjonalna została dziś zmuszona do obrony trwałości cywilizacji, obrony życia i godności człowieka jako istoty cielesnej, ale i duchowej.

ŻYCIE JEST W CENTRUM

Ta obrona jest nie tyle przemyślana, wynikająca z rozumowych przesa-

nek, ale w dużej mierze instynktowna, tak jak instynktownie broni się życia i bezpieczeństwa. Życie jest w centrum idei chrześcijaństwa, tak jak życie jest podstawowym prawem natury. Mamy więc dwa światy, dwa przeciwieństwa człowieka jako istoty duchowej, głębokiej, w każdym jej aspekcie, również tym fizycznym, oraz człowieka z wizji ideologów gender/LGBT skupionego na własnej szczęśliwości, rozumianej najczęściej jako przyjemności wynikającej z używanej intensywnie seksualności, która ma być jedynym wyznacznikiem wartości człowieka. Dzisiaj młodzież nie otrzymuje możliwości wyboru modelu życia. Ona natrafia na dyktat. Albo zgadza się na funkcjonowanie w świecie rozpasanej seksualności, która definiuje każdego uczestnika życia społecznego, albo wyrzuca się ją poza nawias z etykietkami typu homofob, faszysta.

Zadanie, które stoi przed dorosłymi, którzy chcą kształtować nową rzeczywistość ludzi wolnych, to zadbanie o właściwą edukację dzieci i młodzieży. Rozwiązaniem jest powrót do metod uczenia, których efektem jest poszanowanie procesu logicznego myślenia, umiejętność formułowania własnych wniosków i dążenie do odkrywania prawdy, świadome odrzucenie „mediotyzmu”. Tak wychowani ludzie zaangażują swoją naturalną potrzebę idei obrony świata przed zagrożeniem w walkę ze szczególnie agresywnymi lewicowymi ideologiami, które chcą zburzyć świat gwarantujący bezpieczeństwo, bo sami zdiagnozują je jako szkodliwe.

Do osiągnięcia tego celu potrzebne są ogromne środki finansowe, determinacja i wielka odwaga.

Należy podkreślić, że ważną cechą nowego przekazu do młodych Polaków musi być jego pozytywny wymiar. Nawet kiedy mówimy o sprawach trudnych. Dzieci i młodzież powinny być pewne, że wyznawanie tradycyjnych wartości daje im poczucie bezpieczeństwa. To niekwestionowany atut naszego świata, naszej cywilizacji. Powiedzmy młodym ludziom, naszym następcom w polskim szeregu pokoleń, że tylko w cywilizacji łacińskiej, cywilizacji życia mają gwarancję, że będą szanowani, że z godnością będą żyli bez względu na status społeczny, wiarę, orientację seksualną czy poglądy polityczne.

© All rights reserved

Autorka jest małopolskim kuratorem oświaty. W artykule wyraża wyłącznie swoje prywatne opinie i poglądy.

PZU mówi do klientów w jasny i prosty sposób

Prawie dwie trzecie klientów PZU ocenia, że w korespondencji, którą otrzymują, łatwo znaleźć potrzebne informacje. Niewiele mniej deklaruje, że informacje są napisane zrozumiałym językiem. Czyli sukces?

Biorąc pod uwagę, że wyniki tych samych badań w grupie klientów różnych firm wypadają wyraźnie gorzej, mamy powody do satysfakcji. Nie spoczywamy jednak na laurach.

Byliście jako PZU pionierami we wprowadzaniu zasad prostego języka w biznesie.

Zaczynaliśmy od projektu, a dziś w PZU działa Biuro Prostego Języka. Dbamy o to, aby prosty, jasny i zrozumiały język był u nas standardem. Upraszczamy liczne pisma i informacje dla klientów, szkolimy w tej dziedzinie pracowników i wydajemy poradniki językowe. Współpracujemy z najlepszymi językoznawcami, twórcami polskiego modelu efektywnej komunikacji.

Skąd pomysł?

Choćby z własnych doświadczeń. Nie ma chyba osoby, która nie otrzymałaby z firmy czy urzędu pisma, które musiała kilka razy przeczytać, by się domyślać, co „autor miał na myśli”. W PZU wszyscy ciężko pracujemy na zaufanie klientów i dbamy o to, by byli zadowoleni. Ale nie osiągniemy tego celu, jeśli będziemy się do nich zwracać w sposób niezrozumiały. Nie



– Zrozumiały język to warunek skutecznej komunikacji i dobrych relacji z klientami. Na to stawiamy – mówi Dorota Maciejka, członek zarządu PZU Życie, odpowiedzialna za Biuro Prostego Języka w PZU

każdy jest przecież ekspertem od ubezpieczeń.

Dlatego potrzeby jest prosty język?

Nie tylko! To cała „architektura informacji”. Jeśli klienci w przywołanym badaniu chwalą nas za to, że

w korespondencji łatwo znajdują potrzebne informacje, to także dlatego, że kierowanym do nich pismom nadajemy przejrzystą graficznie formę.

Jako jedyny w Polsce ubezpieczyciel macie aż cztery „Certyfikaty prostego polszczyzny” przyznawane

przez Pracownię Prostej Polszczyzny Uniwersytetu Wrocławskiego.

To znak jakości, który trafił m.in. do serwisu MojePZU. Jako pierwsza komercyjna instytucja podpisaliśmy też „Deklarację na rzecz upraszczania języka”, której inicjatorem jest Ministerstwo Inwestycji i Rozwoju. Chcemy pod tym względem wyznaczać rynkowe standardy. Cieszy nas, że coraz więcej firm idzie naszym śladem.

To się opłaca?

Wszystkim. Jasna, prosta, zrozumiała i czytelna także pod względem graficznego układu korespondencji to dla klientów oszczędność czasu. Dla firm – oszczędność pieniędzy. Podkreślam finansowy aspekt, bo takie argumenty mogą mieć w biznesie większą siłę przebicia. Przeciwdziałaliśmy to na własnym przykładzie. Im bardziej zrozumiałe są kierowane do klientów informacje, tym mniej mamy reklamacji i tym rzadziej klienci są zmuszeni kontaktować się z nami, by dopytać o kwestie, których nie rozumieli.

Ze zleconych przez was badań wynika jednak, że aż co piąty klient różnych firm, nie tylko PZU, podjął złą decyzję, przeoczył ważny termin lub popełnił błąd, dlatego że korespondencja była niezrozumiała.

Dlatego powiedziałam, że nie spoczywamy na laurach. Jest jeszcze wiele do zrobienia.

Biało- -czerwone



**Z Krzysztofem Szujekim,
historykiem sportu**
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert



Elżbieta Ziętkiewicz była doskonałą narciarką. FOT. NAC

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Pierwszą Polką uprawiającą sport była Karolina Kocięcka?

KRZYSZTOF SZUJEK: Uściślmy – pierwszą Polką traktującą go poważnie i osiągnącą międzynarodowe sukcesy. To były jeszcze czasy zaborów. Jednak warto przypomnieć, że w podobnym okresie głośno było również o pionierce kobiecego jeździectwa na ziemiach polskich – Marii Wodzińskiej – wielkiej orędownicze sportu w wydaniu żeńskim. Kocięcka wychowywała się w męskim towarzystwie – z ojcem oraz braćmi – co pewnie wpłynęło na ukształtowanie jej silnego charakteru. Wiadomo, że pracowała jako ekspedientka w sklepie w centrum Warszawy, a z czasem poświęciła się bez reszty kolarstwu, którego popularność wtedy gwałtownie rosła. Jeździła w stroju nazywanym „racjonalnym” – nie zakładała więc sukni, utrudniającej w oczywisty sposób poruszanie się na rowerze, tylko umożliwiające swobodną jazdę spodnie, czym wzbudzała zgorszenie konserwatywnej części społeczeństwa.

Elżbieta Ziętkiewicz próbowała sił w kilku dyscyplinach?

Była doskonałą narciarką. Do tego wszechstronną, bo nie tylko biegi, zjazdy i slalomy, lecz także nawet... skoki! Tak, tak, już ponad 100 lat temu Polka uczestniczyła w tak popularnych (zarówno wtedy, jak i dziś) konkursach skoków

narciarskich. Rywalizowała wyłącznie z mężczyznami, ponieważ osobnych zawodów kobiet w tamtych czasach nie przeprowadzano. FIS (Międzynarodowa Federacja Narciarska) długo nie mogła się przekonać do włączenia do programu nawet biegów narciarskich pań. Drugą pasję Elżbiety stanowiła gra na fortepianie, gruntownie kształciła się w tym zakresie w Wiedniu. Do końca okresu międzywojennego Ziętkiewicz mieszkała w Zakopanem, gdzie pracowała jako instruktorka narciarstwa, po czym – prawdopodobnie – podpisała volkslistę i wyjechała z kraju.

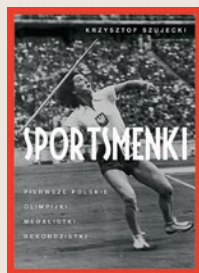
W sportowe szranki na wielu polach stanęła też córka premiera II RP...

Wanda Dubieńska to pierwsza polska olimpijka. Wystąpiła w igrzyskach w Paryżu (1924 r. – szermierka). Bakcyl sportowy przekazała jej matka, miłośniczka muzyki i malarstwa, a także tenisa i biegów narciarskich. Ojciec Wandy – Julian Nowak – był światowej renomy mikrobiologiem, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, politykiem, przez pewien czas sprawował nawet urząd premiera RP. Młodziutka Wanda została sportretowana przez Jacka Malczewskiego i Stanisława Wyspiańskiego, podobno grała także na fortepianie „na cztery ręce” z samym Ignacym Janem Paderewskim. Po rodzicach odziedziczyła ambicję i wytrwałość. Wyszła za mąż za mającego

żydowskie pochodzenie Jerzego Dubieńskiego – byłego dyrektora jednej z fabryk należących do znakomicie prosperującego przedsiębiorstwa, z tradycjami sięgającymi początku okresu zaborów – Zieleńskiego, Fitzner i Gamper, produkującego różne urządzenia, maszyny i wagony. Ich małżeństwo nie przetrwało jednak próby czasu. Dubieńska na łamach kobiecego pisma „Start”, poświęconego kulturze fizycznej (notabene redagowanego m.in. przez pierwszą polską mistrzynię olimpijską – Halinę Konopacką), zamieszczała artykuły zgłębiające tajniki szermierki i tenisa. Co ciekawe, egzamin dojrzałości Wanda zdała bardzo późno, bo dobiegając już 40! Na tym jednak nie poprzestała, ukończyła studia weterynaryjne, a wiele lat później – już w głębokim PRL, jako 69-latką (!) – obroniła pracę doktorską na Wydziale Weterynaryjnym Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu. Podczas drugiej wojny światowej – prawdopodobnie, by ochronić najbliższych przed represjami i ratować rodzinny majątek – ubiegała się, bez powodzenia, o wpisanie na volkslistę. Po wojnie, gdy te starania wyszły na jaw, poddano ją represjom – trzy lata przebywała w obozie pracy.

Za pioniera naszej medycyny sportowej uchodzi dr Maciej Weber.

Pierwszym kierownikiem referatu lekarskiego Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Sportu był dr Maciej Weber.



wania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego był kpt. dr Roman Rettinger, a poradnictwo sportowo-medyczne w II RP rozwijało się prężnie. Warto wspomnieć, że powstała na początku 1928 r. Poradnia Kliniczna Wychowania Fizycznego przy Klinice Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu Warszawskiego kierowała dr Eleonora Reicher. Kresowianka Eugenia Lewicka założyła przede wszystkim jako twórczyni Zakładu Kąpiei Słoneczno-Powietrznych nad brzegiem Niemna w Druskiennikach. Dzisiaj ta miejscowość znajduje się w granicach Litwy, ale przed 1939 r. należała do czołówki polskich kurortów. Lewicka zalecała kuracje przez ruch na świeżym powietrzu, gimnastykę, gry sportowe. W druskiennickim uzdrowisku poznała Józefa Piłsudskiego, któremu zalecano spędzanie tam corocznego wypoczynku. Z czasem bardzo się do siebie zbliżyli, plotkowano o ich romansie. Doktor Lewicka była wybitnym fachowcem, znała biegle języki obce, jeździła do zachodnioeuropejskich ośrodków badawczych, studiowała i gromadziła zagraniczną literaturę fachową, uczestniczyła w organizowaniu Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego na Bielanach (poprzednika dzisiejszej AWF). Aktywnie działała na rzecz propagowania sportu wśród kobiet. Przyczyny jej śmierci w młodym wieku do dziś pozostają zagadką. Nie jest jasne, czy popełniła samobójstwo (tę wersję oficjalnie przyjęto), czy też została otruta, w czym swój udział mogły mieć osoby z bliskiego otoczenia Marszałka.

Najwyższy pułap z polskich sportsmenek między wojnią osiągnęła Wanda Modlibowska?

Ustanowiła rekord świata w długo- i krótkotrwałości lotu szybowcem, utrzymując się w powietrzu przez ponad dobę, co było jednocześnie rekordem Polski... wśród mężczyzn! Pilotowała też samoloty, a jej umiejętności zostały wykorzystane we wrześniu 1939 r. (latała jako pilot łącznikowy). W czasie drugiej wojny światowej pracowała w Delegaturze Rządu na Kraj, m.in. jako kierownik komórki szyfrów. W okresie PRL była skazywana przez władze (otrzymała wyrok więzienia) i – co ją boleśnie dotknęło – Janusza Przymanowskiego, związanego z wojskiem autora zakłamanej książki „Czterej pancerni i pies”. Po spektakularnej ucieczce za gra-

nicę byłego pilota RAF (305. Dywizjon Bombowy Ziemi Wielkopolskiej) kpt. Henryka Kwiatkowskiego – wraz z kolegą uprowadzili z lotniska samolot, którym udali się do Niemiec – uwiedziony komunistyczną ideologią Przymanowski posunął się nawet do spalenia pamiątek dokumentujących przedwojenne polskie lotnictwo!

Dlaczego Stanisław Walasiewicz groziło odebranie olimpijskich laurów?

Po tragicznej śmierci sprinterki (w wyniku postrzału przez przypadkowego bandytę) sekcja zwłok wykazała, że posiadała zarówno męskie, jak i żeńskie narządy płciowe. Na wieść o tym w świecie sportu wybuchł wielki skandal. Ostatecznie jednak nie anulowano rekordów Polki ani nie pozbawiono jej medali.

Udział w igrzyskach berlińskich pomógł Jadwidze Wajsównie wyostać się z siedziby gestapo?

Ta nasza rekordzistka świata w rzucie dyskiem wychowywała się w rodzinie endeckiej. Jej bracia należeli do Stronnictwa Narodowego, za co spotykały ich przykrości ze strony sanacji. Ludomir Wajs trafił nawet do Berezy Kartuskiej, co spowodowało ostrą reakcję Jadwigi, która chciała nawet na znak protestu zbojkotować ważny lekkoatletyczny mecz międzypaństwowy. Polityczna przeszłość rodziny stała się też przyczyną zatrzymania lekkoatletki oraz jej męża – byłego kierowcy rajdowego i właściciela największej w przedwojennej Polsce szkoły jazdy – Franciszka Grętkiewicza przez gestapo, gdyż hitlerowcy poszukiwali brata wicemistrzyni olimpijskiej z Berlina. Po wielogodzinnych, brutalnych przesłuchaniach w al. Szucha (Jadwiga straciła zęby, jej mąż miał odbite nerki) Niemcy, dowiedziawszy się, że mają do czynienia z medalistką igrzysk z 1936 r., opamiętali się i zwolnili aresztowanych. Niestety Grętkiewicz nie odzyskawszy sił, zmarł po kilku miesiącach. W PRL sportsmenka wyszła ponownie za mąż i zamieszkała w rodzinnych Pabianicach. Warto podkreślić, że w latach 70. opublikowała na łamach „Przeglądu Sportowego” list protestacyjny adresowany do „złotej” dyskobolki z berlińskiej olimpiady – Niemki Giseli Mauermayer. Ta bowiem próbowała wybielić nazistowskich organizatorów tamtych igrzysk, twierdząc, że impreza odbywała się w całkowitej zgodzie z duchem olimpizmu...

Gdyby nie druga wojna światowa Helena Rakoczy osiągnęłaby większe sukcesy?

Z pewnością znacznie wcześniej mogłaby się dać poznać światu, wszak już u schyłku międzywojnia jej kariera w krakowskim „Sokole” nabierała rozpędu. Zawierucha wojenna odroczyła jedynie eksplozję tego niezwykłego talentu popartego ciężką pracą. Nastąpiło to na MŚ w Bazylei w 1950 r., kiedy Rakoczy wywalczyła aż cztery złote medale. Mało brakowało, a Polski – podobnie jak pozostałych państw bloku komunistycznego ze Związkiem Sowieckim na czele – zabrakłoby w Szwajcarii. Na szczęście sprytny zabieg działacza Edmunda Kosmana – późniejszego rektora AWF w Warszawie – spowodował, że dotknięta katastrofalnymi zniszczeniami wojennymi Polska nie poddała się presji „Wielkiego Brata” i była jednak w zawodach reprezentowana. Dwa lata później podczas igrzysk w Helsinkach Helena nie spełniła marzeń i nie zdobyła niestety medalu. Startowała po poważnej kontuzji, a na domiar złego padła ofiarą skandalicznego zachowania sowieckiego towarzysza Apolinarego Mineckiego, skierowanego do „opieki” nad polskimi sportowcami. Pod wpływem alkoholu – co zdarzało mu się ponoć regularnie – natrętnie adorował on gimnastyczkę. Z opresji wybronił ją znakomity pływak i późniejszy znany działacz Solidarności Marek Petrusiewicz. Ponieważ był to kolejny pijacki wybryk prominentnego działacza, miarka się przebrała i Mineckiego nie zdołali wybronić już nawet sowieccy przełożeni. Po igrzyskach został on w trybie pilnym wydalony do Moskwy. Natomiast Helena dopięła swego i stanęła na podium igrzysk olimpijskich cztery lata później – w Melbourne. Chociaż nigdy nie zabiegała o względy władzy ludowej, zawsze dystansując się od polityki, to rządzący usiłowali wykorzystać jej autorytet i popularność do celów partykularnych. Nazwiskiem Rakoczy sygnowano listy protestacyjne – publikowane na łamach polskiej prasy – w obronie skazanego na karę śmierci przywódcy Komunistycznej Partii Grecji. Sytuacji, gdy chciano wpręgnąć sportowców w maszynę propagandy, było zresztą więcej. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Krzysztof Szujewski to absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. Autor książek, m.in.: „Historii sportu w Polsce”, „Życia sportowego w II RP”, „Życia sportowego w PRL” i najnowszych „Sportsmenek”.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Szpiedzy na pograniczu

Na temat wielkich afer szpiegowskich powstają filmy, książki i seriale. O takich aferach szpiegowskich piszą tylko historycy. A te zupełnie malutkie padają ofiarą zapomnienia. A szkoda, bo często są nie mniej ciekawe. Na ich przykładzie można zobaczyć, jak wygląda codzienna, żmudna praca tajnych służb.

W nowym tomie znakomitego wydawnictwa „Wywiad i kontrwywiad wojskowy II RP” Artur Ochał ocalił przed zapomnieniem aferę szpiegowską „Niemira-Bobko”. Był to niewielki epizod wojny na cichym froncie, którą prowadziły ze sobą Polska i Związek Sowiecki. Rzecz rozegrała się w pogranicznym Kleku, na dzisiejszej Białorusi.

Wniedzielę 2 sierpnia dwaj strzelcy z kompanii Korpusu Obrony Pogranicza „Klek” – Piotr Studencki i Jan Witkowski – zostali zaczepieni na ulicy przez nieznanego osobnika. Mężczyzna ten zaprosił ich do knajpy, gdzie stawiał im wódkę i piwo, wypytując o szczegóły dotyczące ich służby. Żołnierze nabrali podejrzeń i zachowali ostrożność. Po powrocie do jednostki Studencki zameldował o całej sprawie przełożonym.

Polscy oficerowie uznali, że mają do czynienia z próbą werbunku dokonaną przez sowiecki wywiad. Polecili Studenckiemu, żeby

podtrzymał kontakt z nieznajomym i przekazywał mu, specjalnie spreparowane przez KOP, informacje. Chodziło oczywiście o wprowadzenie w błąd sowieckich służb i – przy okazji – rozpracowanie działającej w Kleku siatki czerwonych szpiegów.

Studencki spotykał się jeszcze kilkakrotnie z nieznajomym mężczyzną i prowadził grę. Przerwał ją niespodziewane aresztowanie sowieckiego szpiega i jego współnika przez policję. Obaj zostali zauważeni, gdy przez zieloną granicę wracali ze Związku Sowieckiego. Ktoś złożył donos i nastąpiła wyspa.

Okazało się, że szpiedzy są białoruskimi gospodarzami z pogranicza i nazywają się Jan Bobko oraz Jan Niemira. W toku przesłuchań przyznali się do pracy na rzecz sowieckiego wywiadu, za co otrzymywali pieniądze.

Na początku lutego 1932 r. zostali postawieni przed sądem dożywotnim w Baranowiczach. Strzelec Studencki – który nieoczekiwanie musiał zamienić się w uczestnika szpiegowskiej gry – dostał awans, trzy tygodnie urlopu i nagrodę 50 zł.

Trwająca przez 20 lat wojna między wywiadami Polski i ZSRS składała się z tysięcy takich epizodów. ©©



★★★★★
TADEUSZ DUBICKI
(RED.)
„WYWIAD
I KONTRWYWIAD
WOJSKOWY II RP”,
TOM XI
LITW



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Najsmutniejsze dni w roku

Jednym z powszechnych obyczajów ludzkości jest pamięć o zmarłych.

W niektórych regionach świata kult ten odgrywa zresztą tak ważną rolę, że nadaje odmienny charakter uniwersalnym wierzeniom religijnym, jak chociażby w Chinach czy Wietnamie.

Z pamięcią o przodkach i krewnych wśród ludów basenu Morza Śródziemnego usiłowało walczyć chrześcijaństwo. Władze kościelne pragnęły nadać mu nową treść, nie potrafiło jednak zdecydować o uniwersalnym terminie obchodu święta. Na Bliskim Wschodzie wspomniano bowiem zmarłych tydzień po Wielkanocy, ewentualnie w pierwszą niedzielę po Zielonych Świątkach. Podobne uroczystości odbywały się także 13 maja i była to pozostałość po rzymskim dniu poświęconym pamięci zmarłych.

Natomiast wśród zachodnich chrześcijan największą popularnością cieszył się dzień świętych Piotra i Pawła, czyli 29 czerwca. Ostateczną decyzję podjął papież Grzegorz III, w 741 r. decydując się na dzień 1 listopada. Nie była to przypadkowa data, gdyż właśnie w tym dniu Celtowie i Germanie (a więc znaczna część wyznawców chrześcijaństwa w zachodniej Europie), obchodzili święto końca lata. W ich tradycji zamieranie wegetacji było związane z pamięcią o zmarłych i z tego powodu w kalendarzu liturgicznym pojawił się dzień

sollemnitatis sanctissimae, czyli uroczystość na cześć wszystkich świętych. Połączono z nim wspomnienie o wszystkich, którzy odeszli, a ponad dwa stulecia później ustanowiono też Dzień Zaduszny, jako czas modlitw za nich.

Natomiast Słowianie czcili pamięć zmarłych kilka razy w roku, ale po wprowadzeniu chrześcijaństwa obchody zostały ograniczone do pierwszych dni listopada. Niewiele jednak wiadomo o oficjalnym, kościelnym przebiegu tych świąt na ziemiach polskich. Można jednak przypuszczać, że przez stulecia obchody odbywały się w dawny, pogański sposób, a chrześcijańskie naleciałości miały powierzchowny charakter. Jeszcze bowiem w XIX stuleciu na terenach dawnej Rzeczypospolitej żywa była tradycja, że tego dnia zmarli powracają na ziemię i odwiedzają swoje domy. Dlatego też na parapetach pozostawiano dla nich poczęstunek z wódką rozgrzewającą zmarznięte dusze. W tym samym celu w pobliżu cmentarzy i na rozstajach dróg rozpalano wielkie ogniska, czego pozostałością jest dzisiejsze zapalanie świeczek i zniczy na grobach.

Wyjątkowo żywotne okazały się Dziady – dawny obrzęd zaduszny, kultywowany na terenach dzisiejszej Białorusi, Litwy i Łotwy. Ale o nim i jego literackich reminiscencjach napiszę przy innej okazji. Może za rok? ©©



PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2020



Francuska dziwna wojna z islamizmem



Olivier Bault

Rodzina czeczeńskiego islamisty, sprawcy zabójstwa nauczyciela Samuela Paty, które niedawno wstrząsnęło Francją, dostała azyl we Francji w 2011 r. Od niedawna prezydent Francji Emmanuel Macron i niektórzy jego ministrowie głośno mówią o problemach z islamizmem i zapowiadają konkretne działania. Czy to przełom?

A zatem Francja nareszcie nazywa wroga po imieniu. Albo prawie. 2 października prezydent Macron miał ogłosić w podparyskim Les Mureaux plan walki z „separatyzmami”. Choć termin ten bywa często używany w liczbie mnogiej, Emmanuel Macron doprecyzował już w lutym podczas przemowy w alzackim mieście Mulhouse, że chodzi zwłaszcza o „separatyzm islamistyczny”. A zatem nie o separatyzm bretoński czy baskijski na modłę hiszpańską, ale o dążenie części ludności muzułmańskiej zamieszkującej Francję do życia według własnych reguł i zasad, a często też do narzucenia tych zasad reszcie lokalnej społeczności lub nawet całemu społeczeństwu. Po bestialskim ataku na nauczyciela gimna-

zjalnego 16 października w podparyskim Conflans-Sainte-Honorine, któremu za pokazywanie rysunków z Mahometem z gazety „Charlie Hebdo” na zajęciach poświęconych swobodzie wypowiedzi czeczeński uchodźca poderżnął gardło i odciął głowę, Macron rzucił jeszcze wyzywająco: „Ils ne passeront pas!”, nawiązując do słynnego „No Pasarán” Republikanów z czasów hiszpańskiej wojny domowej.

Natomiast już wcześniej w Les Mureaux prezydent doprecyzował, w jaki sposób zamierza walczyć z radykalnym islamem na terenie Francji. Wiemy już, że 9 grudnia, z okazji 115. rocznicy ustawy z 1905 r., która ostatecznie uregulowała kwestię rozdziału Kościoła od republikańskiego państwa oraz zasady laickości, minister spraw wewnętrznych ma przedstawić nowy projekt ustawy w radzie ministrów. Przyszła ustawa ma w założeniu oznaczać przełom w stosunkach Republiki Francuskiej z islamem, podobny do tego z 1905 r. z religią katolicką.

PLAN PIĘCIU PUNKTÓW

Na razie przełomem może się wydawać już to, że sam prezydent Francji i niektórzy jego ministrowie głośno mówią o problemach z islamizmem i zapowiadają konkretne działania. 2 października Macron zdefiniował pięć głównych kierunków walki z „separatyzmem islamistycznym”.

Po pierwsze, zasady laickości państwa mają być bardziej surowo egzekwowane. Koniec z osobnymi daniami dla wyznawców określonych religii na szkolnych stołówkach i koniec z tolerowaniem osobnych godzin, w których kobiety

i mężczyźni mogą korzystać z niektórych gminnych basenów.

Po drugie, można będzie łatwiej rozwiązywać stowarzyszenia czy kluby sportowe, które nie przestrzegają „wartości Republiki”. Aby otrzymywać fundusze publiczne, stowarzyszenia będą musiały najpierw podpisać kontrakt, na mocy którego zobowiążą się przestrzegać owych wartości republikańskich.

Warto zauważyć na marginesie, że od 2014 r. Republika Francuska uznaje aborcję za „niezbывalne prawo człowieka”. Czy przykładowo stowarzyszenia katolic-

Na początku października prezydent Francji Emmanuel Macron zdefiniował pięć głównych kierunków walki z „separatyzmem islamistycznym”

FOT. POOL/REUTERS/FORUM



kie zostaną tak samo odcięte od dotacji? Tego jeszcze nie wiemy. Za to wiemy już, że rodziny chrześcijańskie będą główną ofiarą trzeciej ważnej zapowiedzi Macrona. Dotyczy ona likwidacji możliwości prowadzenia edukacji domowej. W zamysłu prezydenta Francji, aby walczyć z „separatyzmem islamistycznym”, republikańska szkoła powinna wywierać swój dobroczynny wpływ na wszystkie dzieci, również na te z radykalnych rodzin muzułmańskich. Dlatego też przedszkole stanie się również obowiązkowe dla wszystkich dzieci w wieku od trzech lat,

a rodziny muzułmańskie będą musiały tak jak pozostałe pogodzić się z tym, że programy szkolne mogą być niezgodne z ich wiarą. Publiczne Radio France Info retransmitowało głos przedszkolanki obecnej na manifestacji poparcia dla laickości po zabójstwie gimnazjalnego nauczyciela. Przedszkolanka wyrażała swoje wielkie oburzenie, że zgłaszają się do niej rodzice i kwestionują program przedszkolny. Ponoć pytają: „Dlaczego rozmawialiście o książce, w której kochał się dwaj mężczyźni lub dwie kobiety? Dlaczego rozmawiacie o ciele kobiety

i o masturbacji?”. – To niewiarygodne, że mamy tłumaczyć się z tego, co jest w programie nauczania! – oburzała się przedszkolanka. To właśnie dlatego, że otwarcie rozmawiamy o tych sprawach, możemy przygotowywać istoty światłe tak, aby budować piękną demokrację.

No cóż, raczej to się Macronowi nie uda, jeśli nie powiedzie się jego plan działania określany jako czwarty kierunek strategii przeciw radykalnemu islamowi, który zapowiedział w Les Mureaux. Założenie jest takie, że doprowadzi się, we współpracy z francuskimi organizacjami muzułmańskimi, do rozwoju tzw. islamu oświeceniowego we Francji, czyli takiego islamu, którego wartości nie kłóciłyby się z (obecnymi) wartościami Republiki. W przyszłości imamowie działający we Francji nie będą mogli być oddelegowani z zagranicy, jak to ma miejsce teraz, na mocy porozumień z Marokiem, Algierią i Turcją, a napływ funduszy z zagranicy do organizacji muzułmańskich będzie ściślej kontrolowany. Na dodatek, aby dzieci nie radykalizowały się podczas nauki języka arabskiego, język ten będzie systematycznie uczony we francuskich szkołach.

Na koniec piąty pakiet działań ma dotyczyć republikańskiej rekonkwisty: przywrócenia obecności Republiki Francuskiej w dzielnicach, w których od lat rządzą miejscowe szajki. Odbywać się to będzie za pomocą klasycznej metody kija i marchewki. Jednym słowem, będzie więcej policji i sądy będą surowo traktować przestępców (jakoś trudno w to uwierzyć), ale będzie też więcej pieniędzy na kulturę i edukację tam, gdzie zauważalny jest największy „separatyzm”.

EWOLUCJA RETORYKI

Przypomnijmy, że według słynnego badania amerykańskiego instytutu Pew Research Center o wzroście obecności muzułmanów w Europie w 2016 r. muzułmanie stanowili już prawie 9 proc. ludności Francji, a w 2050 r. (w przypadku imigracji utrzymywanej na podobnym poziomie jak w latach 2015–2016) ma ich być 18 proc. Za prezydentury Macrona imigracja się nie zmniejszyła, a nawet z każdym rokiem bije kolejne rekordy. W 2019 r. wydano we Francji ponad 276 tys. nowych zezwoleń na pobyt i zarejestrowano ponad 130 tys. nowych wniosków azylowych złożonych przez nielegalnych imigrantów. Razem to ponad 400 tys. nowych imigrantów

W ciągu jednego roku, z których duża część na pewno już nigdy nie opuści Francji. Większość legalnych imigrantów przybyło bowiem w ramach łączenia rodzin, a – jak pokazuje doświadczenie – większość nielegalnych imigrantów nie zostanie nigdy wydalona, choć azylu nie otrzyma. Duża część tych nowych imigrantów to muzułmanie.

Trzeba też pamiętać, że skoro już dzisiaj ponad 20 proc. dzieci rodzących się we Francji dostaje imiona muzułmańskie (dwa razy tyle co 20 lat temu), to za 30 lat proporcja muzułmanów wśród tej młodszej części francuskiej ludności będzie dużo wyższa niż zapowiedziane 18 proc.

Przyznać trzeba jednak, że retoryka francuskiego mainstreamu, a także francuskich władz przeszła dużą ewolucję na przestrzeni zaledwie kilku lat. Kwestionować można wybór terminu „separatyzm” w odniesieniu do radykalnego islamu we Francji, skoro – jak powiedział sam prezydent w Les Mureaux – ostatecznym celem islamistów jest przejmowanie kontroli nad całym społeczeństwem. Jak zwróciła uwagę Marine Le Pen, dziwić może też użycie formuły „radykalny islamizm”. Tak jakby istniała też jakaś umiarkowana forma islamizmu. Le Pen pochwaliła niektóre aspekty przemowy Macrona w Les Mureaux, lecz uważa je za niewystarczające. Przykładowo liderka partii RN uważa, że należy zatrzymać imigrację oraz nie tyle lepiej kontrolować zagraniczne źródła finansowania meczetów, ile ich po prostu zakazać. Poza tym „ma się poczucie, że prezydent uważa, iż mówić znaczy to samo, co robić” – skwitowała Le Pen. Konserwatysta François-Xavier Bellamy, który przewodzi francuskiej centroprawicy w Parlamencie Europejskim, mówi wprost: „Twierdzić, że się walczy z separatyzmem, kiedy jednocześnie pozwala się na przybycie do Francji 450 tys. nowych imigrantów [rocznie], to po prostu kłamstwo”.

Najlepiej – choć nie po raz pierwszy ani zapewne po raz ostatni – ilustruje to właśnie zabójstwo nauczyciela Samuela Paty, które tak wstrząsnęło Francją. Według dokumentu francuskiego sądu azylowego opublikowanego 17 października na Twitterze przez francuskiego publicystę Patricka Edery, rodzina czeczeńskiego islamisty dostała azyl we Francji w 2011 r., natomiast w latach 2005–2007 przebywała w Polsce, gdzie odmówiono jej takiego azylu. W mar-

cu br. przyszły zabójca gimnazjalnego nauczyciela Abdullah Anzorow osiągnął pełnoletniość i otrzymał kartę stałego pobytu ważną do 2030 r. Jest to kolejny na terenie Francji islamski atak terrorystyczny z udziałem imigranta lub uchodźcy, a słowa prezydenta Macrona o tym, że „nie przejdą” i że „obskurantyzm i przemoc nie wygrają”, wywołały ogólny sarkazm i gniew. W mediach społecznościowych roilo się od wypowiedzi w stylu „już przeszli” z wyzwiskami pod adresem Emmanuela Macrona.

Liderzy prawicy w większości odmówili udziału w manifestacjach, które miały być powtórką pokazu jedności narodowej ze stycznia 2015 r., po ataku na gazetę „Charlie Hebdo”. Chociaż należy przypomnieć, że już wtedy manifestacje

Według Alexandre'a del Valle'a, Macron, zapowiadając walkę z niebezpiecznym dla Francji zjawiskiem, próbuje swoim zwyczajem jednocześnie zadowolić wszystkich

te odbyły się bez Marine Le Pen i innych przedstawicieli Frontu Narodowego, których ówczesny prezydent François Hollande nie chciał na nie zaprosić, i że wielomilionowe tłumy manifestujących składały się prawie wyłącznie z ludzi białych. Tym razem odnotowano jedynie udział kilkunastu tysięcy Francuzów w całej Francji, a przedstawiciel parlamentarnej skrajnej lewicy Jean-Luc Mélanchon musiał odpowiadać w czasie marszu na pytania dziennikarzy odnoszące się do zarzutów byłego premiera za prezydentury Hollande'a, socjalisty Manuela Vallsa, sformułowanych w czasie tego samego marszu wobec Mélanchona i części lewicy, których oskarżył o współudział i odpowiedzialność za rozprzestrzenianie się radykalnego islamu we Francji.

POBOŻNE ŻYCZENIE

Sama retoryka władzy na temat walki z radykalnym islamem jest pełna sprzeczności. Jako minister odpowiedzialny za nadzór nad kultami religijnymi minister spraw wewnętrznych Gérald Darmanin ma przełożyć zapowiedzi prezydenta z drugiego października na pro-

jekt ustawy. Niecałe dwa tygodnie przed „przełomowym” wystąpieniem głowy państwa w Les Mureaux minister Darmanin twierdził jednak podczas spotkania z muzułmańskimi liderami w Wielkim Meczezie w Paryżu, iż „w świetle historii, jeśli istnieje jedna religia, której jest łatwiej współpracować z Republiką, to islam. Dialog jest łatwiejszy, rozmowa bardziej spontaniczna niż z pozostałymi kultami”. Dzisiaj już wiadomo, że projekt ustawy, mający według prezydenta umożliwić walkę z „separatyzmem islamistycznym”, nie będzie zawierał słów „separatyzm” czy „islamizm”. Będzie to kolejna ustawa o laickości, jeśli wierzyć temu, co powiedział Darmanin już 6 października.

Plan walki z zagrożeniem islamskim został wyraźnie wypracowany w oparciu o założenie, że niezależnie od liczby muzułmanów zamieszkujących Francję możliwe będzie powstanie islamu oświeconego, który podobnie jak katolicyzm nie będzie na poważnie podważał prawa i wartości francuskiej Republiki. Na razie, patrząc na radykalizację nowego pokolenia muzułmanów, trudno odbierać to założenie inaczej niż w kategoriach pobożnego życzenia. Nawet założenie, że nowi imamowie wyszkoleni i certyfikowani we Francji za pośrednictwem Francuskiej Rady Kultu Muzułmańskiego (CFCM) będą propagowali we francuskich meczetach naukę bardziej zgodną z francuskimi „wartościami republikańskimi”, ma dość wątpliwe podstawy. Według francuskiego znawcy islamizmu Alexandre'a del Valle'a to Bractwo Muzułmańskie ma największe wpływy w CFCM obok bardzo konserwatywnych Marokańczyków, pro-Erdoğanowych Turków i tracących na znaczeniu Algierczyków z Wielkiego Meczetu w Paryżu. A Bractwo Muzułmańskie od początku swojego istnienia sprzeciwia się laicyzacji społeczeństw muzułmańskich, odrzuca prawo świeckie i dąży do ustanowienia prawa szariatu.

Według del Valle'a, zapowiadając walkę z niebezpiecznym dla Francji zjawiskiem, Macron próbuje swoim zwyczajem jednocześnie zadowolić wszystkich: „Z jednej strony samorządowców, którym potrzebne są głosy islamistów stojących na czele rozmaitych stowarzyszeń, a z drugiej strony [własną partię] LREM, gdzie krzyżują się dwa trendy – anglosaski multikulturalizm w stylu Trudeau, dążący do współistnienia różnych wspólnot, oraz antychrześcijański multikulturalizm skrajnej lewicy”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Bądź nieskończenie dobry

Nawet odchodząc z tego świata, możemy mieć wpływ na jego kształt, zgodnie z naszymi poglądami i wolą. Możemy pomagać innym. Jeśli sporządzimy testament, czynimy dobro w nieskończoność

Dzięki testamentowi jednego z darczyńców dziewięcioletnia Daria z Kolumbii nie znalazła się na ulicy. Dzięki przekazanym środkom na rzecz misji mogła zamieszkać w przytulnym domu dziecka Casa Hogar, jaki stworzyli misjonarze dla dzieci osieroconych i ubogich. Na pomoc czekają też inni. W Badeapuram, wiosce należącej do dystryktu Guntur w Indiach, mieszkają: Kanya, Manasa i Sagari Matha. Ich świat to gliniaste drogi i ubogie chaty. Kanya chodzi już do szkoły średniej. Dzięki pomocy misjonarzy udało jej się wspiąć na kolejne szczeble edukacji. Marzy o studiach. Manasa jest uczennicą piątej klasy. Chociaż wychowuje się w domu dziecka, w tym roku osiągnęła najlepsze wyniki w klasie. Sagari Matha uczęszcza do IV klasy. Trafiła do szkoły dla sierot po śmierci mamy. Szkołę prowadzi misjonarze. Pallotyni. Gdyby nie ich pomoc, dzieci byłyby wykorzystywane do pracy ponad siły na polach bawełny. W Indiach ten proceder dotyka aż 55 mln dzieci – pracując po 13 godzin dziennie, zarabiają jedynie 20 rupii. To zaledwie złotówka. W Andhra Pradesh w ten sposób pracuje prawie 250 tys. dzieci.

Na Wybrzeżu Kości Słoniowej Boris i Antoine z wioski Brobo marzą o tym, by chodzić do szkoły. Profesor Vincent Asse, miejscowy pediatra, szuka funduszy w różnych instytucjach pomocowych na świecie, by w swojej rodzinnej wiosce stworzyć dzieciom godne warunki do nauki. Wie, że ubóstwo pęta stopy. Nie pozwala iść dalej. A edukacja to bogactwo, którego nikt nie odbierze. Sam przeszedł tę drogę. Teraz chce pomóc dzieciom biec w stronę pragnień, by mogły wyrwać się z biedy.

Zapisana w testamentie darowizna może ocalić ich życie. – Jeśli sporządzimy testament, nawet po śmierci możemy uczynić wiele dobra. Zabezpieczymy przyszłość najbliższych, a możemy też ustanowić dodatkowe zapisy na rzecz organizacji dobroczynnej. Wtedy pomożemy

tym, o których świat zapomniał, a którym nasza pomoc jest najbardziej potrzebna. Mimo tego, że nasze życie tu, na Ziemi, dobiegło końca, dobro, które uczynimy, będzie trwało w nieskończoność i pomoże uzyskać nam życie wieczne – mówi ks. Jerzy Limanówka, prezes Pallotyńskiej Fundacji Misyjnej Salvatti.pl.

Najcenniejsze są takie dary, które zmieniają świat, a organizacje wyspecjalizowane w pomocy charytatywnej najlepiej wiedzą, jak je rozdysponować.

Pallotyńska Fundacja Misyjna Salvatti.pl prowadzi działania na rzecz edukacji

i ochrony zdrowia najuboższych w 15 krajach świata, w Afryce, Ameryce Południowej i Azji. Biorąc pod uwagę fakt, że jedynie 13 proc. Polaków sporządza testament, fundacja zapewnia profesjonalną pomoc prawną w sporządzeniu testamentu.

Chcesz być NIESKOŃCZENIE DOBRY – skontaktuj się z nami.

Pallotyńska Fundacja Misyjna Salvatti.pl

ul. Wilcza 8

05-091 Ząbki

Tel: 602 336 106 lub 698 815 636

www.salvatti.pl

Bądź
nieskończenie
dobry!



Twój testament
może ocalić
życie innych.

Możesz to zrobić na trzy sposoby:

OPCJA

1

Uczynić zapis, który zobowiązuje spadkobiercę do przekazania określonej rzeczy lub sumy pieniędzy na rzecz Fundacji

OPCJA

2

Uczynić Fundację jednym ze spadkobierców

OPCJA

3

Uczynić Fundację jedynym spadkobiercą

Bank Pekao SA

44 1240 1095 1111 0010 3468 8020

Chcesz dobrze i bezpiecznie sporządzić testament – skontaktuj się z nami.

Zdjęcie: Freepik.com

kontakt:

+48 602 336 106

+48 698 815 636

email: salvatti@salvatti.pl



NIEMCY ZNÓW RZUCILI SIĘ PO PAPIER TOALETOWY

Kolejka w supermarkecie i koszyki wypełniona papierem toaletowym – te obrazy widzieliśmy i w Polsce, gdy po raz pierwszy mieliśmy do czynienia z pandemią. Okazało się, że Niemcy znów reagują nerwowo. Po wzroście zakażeń sprzedaż papieru toaletowego za Odrą skoczyła o 89,9 proc., środków do dezynfekcji o 72,5 proc., a mydła o 62,5 proc. (dane podał niemiecki urząd statystyczny).

FOT. ADAM STOLC

CNN O ZMYŚLONYCH STREFACH W POLSCE

Dziennikarze CNN pojechali do Polski i przygotowali reportaż zatytułowany „Nie przynależysz tutaj. W polskich »strefach wolnych od LGBT« samo istnienie to już akt buntu”. Napisano w nim, że m.in. przez państwo i Kościół w Polsce głoszona jest „homofobiczna retoryka”, a na ulicach kipi od wrogości wobec takich osób. Interwieniowała polska ambasada w USA, która musiała m.in. tłumaczyć, że nie ma „stref wolnych od LGBT”, tylko są „prawnie niewiążące deklaracje podjęte przez nieliczną mniejszość samorządów w Polsce”.

POLICJA ROZBIŁA WESELE

W Nowym Jorku ze względu na pandemię przepisy dotyczące zgromadzeń publicznych zabraniają gromadzenia się w zamkniętych pomieszczeniach więcej niż 50 osobom. Tymczasem na Brooklynie zaplanowano wesele na 10 tys. osób. Władze zakazały takiej imprezy, choć organizatorzy z synagogi zarzekali się, że większość uczestników będzie tam obecna „rotacyjnie” i „przez krótki czas”.

Starszy pan z niemieckiego Akwizgranu postanowił wymusić na współobywatelach utrzymywanie odpowiedniego dystansu społecznego. Gdy uznawał, że ludzie nie zachowują wobec niego odpowiedniej odległości, rozpylał gaz pieprzowy. 71-letni pan najpierw rozpylił gaz w kierunku grupy biegaczy, a następnie potraktował nim parę rowerzystów. Cykliści zawiadomili policję. Senior odpowiadać będzie za spowodowanie niebezpiecznego uszkodzenia ciała.

MASECZKA Z KROKODYLA

Do tego, że są maseczki z siatki o dużych oczkach czy maseczki kosztujące fortunę, bo sygnowane przez domy mody, zdążyliśmy już przywyknąć. Funkcjonariusze z urzędu celnego w mieście Spira odkryli nowy, zaskakujący model. W przesyłce ze Stanów Zjednoczonych, zaadresowanej do mieszkańca Berlina, natrafili na maseczkę na twarz wykonaną ze skóry krokodyla. Według konwencji waszyngtońskiej handel tymi zwierzętami oraz produktami z nich wytwarzanymi jest możliwy jedynie po uzyskaniu specjalnych zezwoleń. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Samiec twój wróg

Pewien samiec imieniem Kain wynalazł zbrodnię i wypróbował ją na swojej siostrze Abli – przekonywały bohaterów „Seksmsji” członkinie matriarchalnej Ligi Kobiet, podkreślając, że zarówno Kopernik, jak i Einstein były kobietami.

Kultowej komedii Juliusza Machulskiego nigdy nie obejrzy Alice Coffin, paryska radna Zielonych (EELV) oraz autorka książki „Lesbijski geniusz”. Jak zadeklarowała, nie czyta bowiem żadnych książek napisanych przez mężczyzn, nie ogląda filmów nakręconych przez mężczyzn ani nie słucha muzyki skomponowanej przez mężczyzn.

W opublikowanym pod koniec września lesbijskim manifestie wezwała do totalnej wojny płci i rewolucji antypatriarchalnej. „Powinniśmy wyeliminować mężczyzn z naszych umysłów” – apeluje.

Lesbijska geniuszka nadal musi biedna chodzić po chodnikach zbudowanych przez mężczyzn, nie może z czystym sumieniem korzystać z komputera (wynalezonego przez mężczyzn), a jeszcze niedawno przyjmowała pieniądze z Instytutu Katolickiego (w którym też roi się od samców). Na domiar złego zarzutu hipokryzji nie może nawet oddalić sentencją „Pecunia non olet”, bo jej autorem też był samiec.

Co gorsza, nie wiadomo, jak pani Coffin patrzy w lustro – przecież w jej tworzeniu brał udział... samiec. Strach pomyśleć, kto odbierał poród. Oczywiście, wylęgarni kobiet jeszcze nie ma, ale rysa na życiorysie jest. Co więcej, 42-latką ubiera się tak, że trudno odróżnić ją od przeciętnego mężczyzny w tej grupie wiekowej. Być może dlatego, że sukienkę, długie włosy i chęć dbania o siebie też wymyślił podły samiec. A może jednak tęskni za mężczyzną. Tego nie wiadomo. Tak czy owak w słowach Coffin kołtunerię i formy „płciowego apartheidu” dostrzegły same feministki. I zaczęła się wojna. Niezły tam mają burdel, Siostry! ©

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Rzeź na wzgórzu 226.
Wstrząsający wywiad
z weteranem z Korei

Tomasz Stańczyk – **Największe zamachy OUN**

Jan Pisuliński – **Ukraińcy kontra II RP**

Piotr Zychowicz – **Kto postrzelił gen. Andersa?**

Arkadiusz Karbowski – **Obrona poczty w Gdańsku**

Nikołaj Iwanow – **Polscy Czekiści**

Maciej Rosalak – **Największe epidemie w historii**

Jakub Ostromięcki – **Tajemnica śmierci Rommła**

Krzysztof Masłoń – **Świadectwo sowieckiej barbarii**

Jacek Bartosiak – **Putin coraz bliżej...**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

To mała rocznica: 10 lat skończyła w tym roku spółka PGE EJ1, założona za rządów Platformy Obywatelskiej w celu zbudowania pierwszej polskiej elektrowni jądrowej. Politycy PiS pokpiwali przez jakiś czas z Aleksandra Grada, byłego ministra skarbu w rządzie Tuska, który ciepłą posadkę w spółce sprawował przez dwa lata (od 2012 do 2014 r.). Spółka PGE EJ1 była synonimem nieudolności w realizacji strategicznych energetycznych interesów państwa. Potem jednak kpiny się skończyły, ponieważ rządy Zjednoczonej Prawicy nie okazały się sprawniejsze od rządów poprzedników – przez pięć lat nie wybrano nawet lokalizacji dla elektrowni atomowej.

UMOWA Z AMERYKANAMI

Teraz być może się to zmieni, ponieważ 19 października podpisano między rządową polsko-amerykańską umowę o współpracy w ramach Programu Polskiej Energetyki Jądrowej i cywilnego przemysłu jądrowego w Polsce. Mówiąc prościej – jest to wstęp do zbudowania w naszym kraju pierwszej elektrowni jądrowej w amerykańskiej technologii. Czyimi rękami – to jasne jeszcze nie jest. Niedysyponujący amerykański potentat w budowie siłowni jądrowych, który prawdopodobnie zająłby się polskim przedsięwzięciem, Westinghouse Electric, w 2006 r. został kupiony przez japońską Toshiba. W 2011 r. Toshiba wniosła do sądu o ogłoszenie bankructwa firmy, a w 2018 r. sprzedała Westinghouse Electric kanadyjskiej firmie Brookfield Business Partners – właścicielowi różnych biznesów (takie firmy nazywa się wehikułami korporacyjnymi). Trudno zatem uznać, że Westinghouse Electric jest nadal firmą amerykańską.

Wśród tych, którzy zgadzają się, że elektrownia jądrowa jest Polsce niezbędna, są dwie grupy. Jedna wskazuje, że znów idziemy na rękę Waszyngtonowi, planując związać się z USA w kolejnej dziedzinie na lata (umowa ma obowiązywać trzy dekady), prawdopodobnie przepłacając przy ewentualnej budowie i uzależniając się od partnera, który i tak w wielu sprawach traktuje nas jak dojną krowę. Druga grupa uważa, że scementowanie związków z USA w kolejnej dziedzinie jest korzystne strategicznie, a poza tym jest to jedyny sposób, żeby elektrownia jądrowa w końcu powstała, bo amerykańskiemu partnerowi będzie zależało na doprowadzeniu sprawy do finału.



Łukasz Warzecha

Zmuszeni jesteśmy zrezygnować z węgla na rzecz innych źródeł energii. Jednym z nich może być elektrownia jądrowa. Czy w ogóle ma jednak szanse w Polsce powstać?

Atomowa zagadka

Pamiętajmy jednak, że na razie nie jest to umowa na budowę bloku jądrowego, lecz jedynie międzyrządowa umowa o współpracy. Jej skutkiem ma być przygotowany w ciągu 18 miesięcy raport, w którym dopiero mają się znaleźć konkretniejsze propozycje, w tym te dotyczące sposobu finansowania przedsięwzięcia. A to przecież niebagatelna sprawa, skoro koszt budowy jednego bloku jądrowego jest szacowany na minimum kilkanaście lub nawet 25 mld zł. Takich bloków jądrowych – według aktualnej strategii energetycznej, z perspektywą sięgającą lat 40. – Polska docelowo ma mieć sześć w dwóch miejscach w kraju. Cenę całości bardzo ostrożnie w ostatnich latach oceniano na 100 mld zł – to tylko trochę więcej niż wielkość tegorocznego deficytu budżetowego. Bardzo jednak możliwe, że w sumie byłoby to więcej – wzrost cen w trakcie budowy to raczej standard w przypadku konstruowania elektrowni atomowych.

DROŻEJ NIŻ Z WIATRU?

Koszt budowy oraz utrzymania elektrowni jądrowej przekłada się oczywiście na koszt produkowanej energii. Tu istnieją największe wątpliwości. Może się bowiem okazać, że cena megawatogodzi-

ny (MWh) prądu z naszej elektrowni atomowej będzie wyższa niż z innych źródeł. Prąd z siłowni wiatrowych kosztuje dzisiaj w dużym przybliżeniu 160–200 zł za MWh. Prawie dwa lata temu przedstawiciele rządu prezentowali optymistyczne założenia, że prąd z polskich bloków jądrowych będzie kosztować podobnie, ale wydaje się to mało realne. Niektóre szacunki mówią o cenie nawet powyżej 300 zł za MWh. Przy tym nie wiemy, na jakich warunkach zostałaby podpisana umowa z firmą budującą elektrownię, która przecież musi na tym zarobić.

Umowa dotycząca sposobu zbywania produkowanej energii jest jednym z kluczowych aspektów przedsięwzięcia. Z takiego właśnie powodu jednym z budzących dziś największe kontrowersje projektów jądrowych jest elektrownia Hinkley Point C w Wielkiej Brytanii. Konstrukcja realizowana przez brytyjskie i francuskie firmy według aktualnych szacunków ma kosztować 25 mld euro, natomiast sprzeczny budzi umowa dotycząca cen energii, w której państwo zobowiązuje się dopłacać operatorom elektrowni do ceny 11,3 centów za kilowatogodzinę (kWh), niezależnie od uwarunkowań rynkowych, przez 35 lat.



FOT. ANDRZEJ STOK

gdyby miał zostać dotrzymany i tak już w ostatnich latach przesuwany cel, jakim jest start bloku w 2033 r. Czy to jest wykonalne? Patrząc na to, jak do tej pory wyglądały prace – jeśli w ogóle o pracach można mówić – wydaje się to wątpliwe. Wszystkie zakładane sześć bloków ma być gotowe już 10 lat później – w 2043 r. To wygląda jeszcze bardziej życzeniowo.

ZIELONY ŁAD NAS POPĘDZA

Tymczasem czas goni, ponieważ – z czego zapewne wielu Polaków nie zdaje sobie sprawy – Polska przyjęła na siebie wszystkie zobowiązania wynikające z europejskiego Zielonego Ładu. Musimy zatem zasadniczo zmienić nasz mikś energetyczny. Rząd niedawno zaktualizował strategię energetyczną Polski. Obecne założenia są takie, że w ciągu 20 lat udział źródeł węglowych – czyli tych, z których prąd będzie kosztował coraz więcej z powodu konieczności zakupu uprawnień do emisji CO₂ – sięgnie od 11 do 28 proc. Ten niższy próg w sytuacji, gdyby ceny uprawnień poszybowały, ten wyższy – gdyby były niższe. Udział odnawialnych źródeł energii ma sięgnąć minimum 23 proc. już za dekadę od dziś. Według nieco starszych (z 2018 r.) założeń w 2040 r. udział energetyki jądrowej w polskim mikś miałby wynosić ok. 17 proc. Odświeżone założenia mówią, że ostatecznie polska energetyka jądrowa miałaby mieć moc do 6 GW.

Mówiąc w uproszczeniu – następstwem rezygnacji ze źródeł wysokoemisyjnych (węgiel brunatny, z punktu widzenia polityki energetycznej UE, pierwszy do odstrzału, w Polsce już w 2030 r.) musi być uzupełnienie naszego mikś energetycznego przez inne źródła. To mogą być źródła odnawialne, może to być atom, może to być gaz – aczkolwiek ten ostatni również znajduje się na celowniku UE. Przy czym Polska nie musi energii z poszczególnych źródeł produkować sama – mikś odnosi się do tego, z czego korzystamy jako kraj, a nie do tego, co produkujemy. Jeśli zatem nie będziemy w stanie sprostać produkcji z własnych źródeł, to czystą energię będziemy musieli po prostu kupować za granicą. Na przykład od Niemiec.

Drugie ważne zastrzeżenie to to, że mimo fiksacji polityków na punkcie OZE nie gwarantują one stabilności dostaw prądu – stąd potrzebny jest im backup, czyli elektrownie, które mogą przejąć obciążenie w sytuacji, kiedy prąd jest

potrzebny, a nie wieje albo nie świeci słońce. To mogłoby się nieco zmienić, gdybyśmy dysponowali już technologią pozwalającą magazynować energię na dużą skalę. Prace nad takimi rozwiązaniami są prowadzone, ale żadne z nich nie jest nawet na etapie bliskim wdrożenia i nie zapewnia możliwości zgromadzenia energii wystarczającej dla większej liczby odbiorców, o przemyśle nie mówiąc. Dlatego elektrownia jądrowa ma tak duże znaczenie.

OZE nie są też w stanie pokryć całego zapotrzebowania energetycznego. Ich wydajność jest po prostu nieporównywalnie mniejsza od tradycyjnych elektrowni w stosunku do zajmowanego obszaru. Przykładowo jedna siłownia wiatrowa to moc ok. 1 MW, podczas gdy jedna elektrownia konwencjonalna (także atomowa) to przynajmniej 1 GW, czyli tysiąc razy więcej. Farma wiatrowa, odpowiadająca mocy jednego bloku elektrowni konwencjonalnej, musiałaby zajmować dziesiątki kilometrów kwadratowych. W dodatku Polska nie ma optymalnych warunków do korzystania ze wszystkich rodzajów energetyki odnawialnej – panele słoneczne mogą się sprawdzić jako drobna energetyka prosumencka, ale nie jako rozwiązanie w skali systemu. Spory potencjał w naszym przypadku mają natomiast farmy wiatrowe na morzu.

Budowa sześciu bloków jądrowych to wielkie przedsięwzięcie, porównywalne z obejmującym lata programem zakupu zaawansowanego uzbrojenia. Dlatego, aby w pełni ocenić, czy nam się to opłaca, musielibyśmy znać szczegółowe warunki. Musielibyśmy również wiedzieć, czy jest szansa na to, że na tym przedsięwzięciu skorzystają jakieś polskie firmy – a to akurat wydaje się bardzo mało prawdopodobne, ponieważ w Polsce nie ma przedsięwzięć, które byłyby w stanie działać na poziomie technologicznym niezbędnym przy budowie tak skomplikowanej instalacji.

Niektórzy eksperci są zdania, że z tych między innymi powodów sens budowy polskiej elektrowni jądrowej jest wątpliwy – zwłaszcza że czystą energię można będzie po prostu kupować w ramach jednolitego europejskiego rynku energii. W odpowiedzi można jednak argumentować, że to kwestia naszego bezpieczeństwa energetycznego. Nie znaczy to jednak, że powinniśmy budować polski atom za każdą cenę i na każdych warunkach.

Są jednak obrońcy tego rozwiązania, wskazujący, że na poziomie strategicznym to się Wielkiej Brytanii opłaca, a cena wcale nie jest wyższa niż w przypadku energetyki słonecznej.

Czy jednak polska elektrownia w ogóle powstanie? Zawarty w podpisanej przez Polskę i USA umowie termin prezentacji raportu (który ma być jedynym jej konkretnym rezultatem) oznacza, że sprawa znów odwleka się niemiłosiernie. Osiemnaście miesięcy od dzisiaj to kwiecień 2022 r. W jakiej będziemy wówczas sytuacji politycznej? W jakiej finansowej i gospodarczej? Kto będzie zasiadał w Białym Domu i jak będą wyglądały nasze stosunki z amerykańską administracją, gdyby wybory już za kilka tygodni wygrał Joe Biden – co dzisiaj wcale nie wydaje się nieprawdopodobne? No i będzie to półtora roku przed planową datą kolejnych wyborów parlamentarnych, o ile nie przydarzą się wybory przyspieszone, czego również nie da się dzisiaj całkowicie wykluczyć.

Poza tym od momentu opracowania raportu pozostanie nam bardzo wąskie okno czasowe na rozpoczęcie budowy pierwszego bloku jądrowego, co ma potrwać dekadę (a może się opóźnić),



Raj dla nurków

W Deepspot będą mogli nurkować zarówno freediverzy, jak i miłośnicy nurkowania z butlą

FOT. DEEPSPOT



Jacek Przybylski

Najgłębszy i najnowocześniejszy basen na świecie powstał w Mszczonowie niedaleko Warszawy. Po otwarciu Deepspot nurkowie będą mogli schodzić na głębokość ponad 45 m

Lustro wody w basenie w Mszczonowie ma wymiary 20 x 25 m. A cały basen mieści aż 8 tys. m sześć wody, a więc tyle, ile znajduje się w 27 basenach olimpijskich.

Plusem w polskim klimacie jest zawsze przejrzysta i ciepła woda o temperaturze 32–34 st. C, co umożliwia nurkowanie bez pianki neoprenowej. Największą atrakcją jest jednak wielka tuba dla nurków, której głębokość sięga dokładnie 45 m i 40 cm.

Dla porównania: najgłębszy w Polsce całoroczny basen to Aquadrom w Rudzie Śląskiej – ma obecnie głębokość 7 m. Nurkować do głębokości 5 m można zaś w Termach Maltańskich w Poznaniu oraz w Łódzkiej Zatoce Sportu.

Po otwarciu Mszczonów stanie się najgłębszym basenem nie tylko Polsce, lecz także na całym świecie. Polski Deepspot straci z podium zlokalizowany niedaleko Padwy we Włoszech kompleks o nazwie Y-40 Deep Joy. Otwarty w roku 2014 obiekt – zaprojektowany przez architekta Emanuele Boaretto – ma 42 m i 15 cm głębokości oraz lustro wody o rozmiarach 20 x 18 m.

Na trzecim miejscu podium znajduje się zaś Nemo 33, czyli basen zbudowany w 2003 r. niedaleko Brukseli.

Polski rekord jest tym ważniejszy, że Belgom i Włochom było dużo łatwiej zbudować nurkowe baseny. Pierwsi skorzystali bowiem z gotowego szybu kopalnianego,

a drudzy kuli basen w skale. – U nas było mnóstwo technologicznego nowatorstwa, ale i sporo ryzyka. Dla przykładu wyłożyli się na tym szejkowie w Dubaju. Ich tuba po włożeniu do ziemi została dosłownie skrzycona i musieli porzucić budowę – poinformował „Do Rzeczy” pochodzący z Częstochowy inwestor Michał Braszczewski.

Inżynierowie w Polsce mieli nie lada wyzwanie. Ściany oporowe w 50-metrowej niecce basenu muszą bowiem wytrzymać siłę 50 ton. W kompleksie zamontowano też specjalny system filtracji o wydajności 80 razy większej niż w tradycyjnym basenie, dzięki któremu woda ma być filtrowana cztery razy na dobę.

O KROK OD REKORDU GUINNESSA

Inwestycja pod Mszczonowem, sfinansowana całkowicie z polskiego kapitału, kosztowała ok. 50 mln zł. Plany hucznego otwarcia pokrzyżowała pandemia. Napełnianie basenu Deepspot wodą zaczęło się jednak 10 września. Odbyły się już też pierwsze testowe nurkowania.

– Jesteśmy gotowi do otwarcia. Realny termin to listopad. Niestety ze wzglę-



ok. 200 tys. W Deepspot dla miłośników tzw. freedivingu, czyli nurkowania bez skomplikowanego sprzętu na wstrzymanym oddechu, umieszczono też specjalną windę oraz linę. To dobra wiadomość dla polskich sportowców. Obiekt do ćwiczeń może jeszcze poprawić ich wyniki, choć już teraz Polacy, a głównie Polki, są mistrzami w tej dziedzinie. Agnieszka Kalska w 2019 r. ustanowiła rekord świata w dyscyplinie DYN (pływanie dynamiczne z płetwami), gdy jako pierwsza z freediverek osiągnęła 253 m. Niezwykłe osiągnięcia ma na koncie również Magdalena Solich-Talanda, do której od 2017 r. należy m.in. rekord świata kobiet w konkurencji DNF (pływanie dynamiczne bez płetw).

Miłośników nurkowania z butlą na plecach do Mszczonowa przyciągać ma jednak nie tylko rekordowa głębokość. W Deepspot na głębokości 20 m umieszczono pięciokondygnacyjne jaskinie ze stalaktytami i z płaskorzeźbami stylizowanymi na jaskinie Majów. Jest również tunel niczym w afrykariach. Oprócz tego w Deepspot jest też to, co nurkowie lubią najbardziej, czyli zatopiony wrak. Basen we Mszczonowie może również służyć jako miejsce treningowe dla strażaków, żołnierzy oraz innych specjalistycznych służb.

– Najważniejsi w całym przedsięwzięciu są tzw. first timerzy, czyli ludzie mający ochotę spróbować nurkowania. Zatem czekamy i na tych, którzy zadebiutują w podwodnym świecie, i na tych, którzy chcą tu kontynuować swoją pasję – zaprasza Michał Braszczyński. Podkreśla, że dzięki doświadczaniu uczucia zbliżonego do nieważkości nurkowanie to euforyczny stan. W obiekcie mają być prowadzone m.in. kursy nurkowania. Niestety, gdy zamykaliśmy ten numer tygodnika „Do Rzeczy”, ceny nie były jeszcze znane.

W ramach inwestycji zrealizowano również niewielki podwodny hotel z pięcioma pokojami, których okna wychodzą 5 m pod powierzchnią wody. Jest też podwodny tunel dla widzów, do którego można wejść, by podglądać pasjonatów nurkowania.

NAJWIĘKSZE W EUROPIE

Basen Deepspot to kolejna głośna inwestycja Michała Braszczyńskiego, który wcześniej w podwarszawskich Morach, a także w Katowicach i we Wrocławiu, wybudował tzw. Flyspoty, czyli tunele aerodynamiczne dla miłośników skydi-

vingu. Skydiving to dyscyplina sportu polegająca na wykonywaniu w czasie swobodnego spadania ewolucji w powietrzu. Tunele aerodynamiczne umożliwiają podobne treningi bez konieczności wcześniejszego przygotowania i – co najważniejsze – bez potrzeby drogiego lotu samolotem i skoku ze spadochronem. Jeden lot w tunelu trwa tyle co skok ze spadochronem z wysokości 4 tys. m. Spełnienie marzenia o lataniu w tunelu aerodynamicznym nie jest jednak tanią rozrywką. Ceny pakietu składającego się z dwóch 1,5-minutowych lotów zaczynają się od 199 zł, a pakietu, w skład którego wchodzi cztery loty, od 389 zł.

Atrakcja robi jednak wrażenie. Co prawda „podniebne” akrobacje są zarezerwowane dla osób zaawansowanych, ale już podczas pierwszych lotów z trenerem strumień powietrza o prędkości 150–200 km/h może błyskawicznie unieść w górę amatorów mocnych wrażeń. Sam tunel aerodynamiczny w Katowicach jest wysoki na blisko sześć pięter (17 m). Komora lotów ma 4,2 m szerokości. Maksymalna symulowana prędkość spadania wynosi zaś aż 335 km/h. Cały budynek w Katowicach ma 38,5 m, z czego 11 m znajduje się pod ziemią. Jeszcze wyższy jest budynek w Warszawie, który mierzy 27 m (pozostałe 11 m kryje się pod ziemią).

Podobnych inwestycji, dzięki którym to w Polsce znajdują się obiekty z serii „naj”, przybywa z roku na rok.

Pod Mszczonowem otwarto z kolei inną wielką inwestycję – Suntago Park of Poland. To największy w Europie zadaszony park wodny, w którym z założenia przez cały dzień można odpoczywać pod kilkuset palmami w temperaturze przekraczającej 30 st. C. Obiekt zbudowany na działce o powierzchni aż 20 ha za ponad 170 mln euro może pomieścić jednocześnie nawet 15 tys. osób i poza basenami oraz palmami oferuje też m.in. wodną dżunglę, strefę relaks (z ponad 700 palmami sprowadzonymi z Malezji, Florydy i Kostaryki), saunarię oraz ponad 30 zjeżdżalni, w tym najdłuższą w Europie krytą zjeżdżalnię o długości aż 320 m.

Mimo stosunkowo wysokich cen – za bilet całodzienny dla osoby dorosłej trzeba było w weekend zapłacić 139 zł – po otwarciu Suntago cieszył się ogromną popularnością. I w tym przypadku pandemia koronawirusa pokrzyżowała plany inwestorów i Suntago Park of Poland został zamknięty do odwołania.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Drapieżne gołębie a banki

Polska przez długie lata mogła się szczycić nadzwyczaj stabilnym systemem bankowym. Rzecz jasna, od czasu do czasu któryś z banków wpadał w tarapaty, zdarzały się afery i bankructwa, na tyle jednak – biorąc pod uwagę ów wielki system – niewiele znaczące, że oceniane były one raczej w kategoriach incydentów. Jednak – jak wiadomo – „dla chcącego nic trudnego”. No więc zaczęło się sprawdzanie, zaczęło się testowanie przez władze, ileż to obciążeń (i tych potrzebnych, i tych niepotrzebnych) jest w stanie wytrzymać – i przy tym nie upaść – ten nasz znakomity, solidny system bankowy. Czy udźwignie mocno wysrubowane zobowiązania kapitałowe, gwarantujące lokującym w nich swe pieniądze klientom bezpieczeństwo ich oszczędności? Czy udźwignie konieczność przejmowania tych – na szczęście nie aż tak dużych – banków spółdzielczych i innych, które sobie nie radzą z utrzymaniem się samodzielnie na powierzchni? Dalej – czy udźwignie jeden z najwyższych na świecie, najżarłoczniejszych podatków bankowych? I wreszcie, niedawno: czy udźwignie, czy nie zawali się pod ciężarem kolejnego, jeszcze jednego obciążenia – konieczności działania po ścięciu przez Radę Polityki Pieniężnej (RPP) niemal do zera stóp procentowych – przy wysokiej, ponad trzyprocentowej inflacji? Czyli w warunkach obecnie jednych z najtrudniejszych w świecie, do którego Polska podobno wciąż przynależy.

No i co – udźwignie? Nie zawali się? Przetrwają rządy cieszących się w RPP wielkością drapieżnych gołębi? Gołębi tak drapieżnych – sądząc tylko po dotychczasowych skutkach ich posunięć dla stanu polskiego systemu bankowego – że jastrzębie z RPP to przy nich prawdziwe gołąbki pokoju i rozwoju? Jeszcze kilka lat temu właściwie oczywista – twierdząca! – odpowiedź na powyższe pytanie, dziś paść już nie może. Chociaż oczywiście należy mieć nadzieję, że nasz system bankowy da sobie radę, że ostanie się i nie runie, pociągając za sobą – w otchłań – resztę gospodarki. Wszelako na razie jego stan z roku na rok się pogarsza. Nie miejsce tu, by żonglować danymi, a bez trudu by się dało, zwrócić więc uwagę tylko na jeden wskaźnik: ROE, czyli „zwrot z kapitału własnego” polskiego sektora bankowego, który w latach 2006–2007 sięgał 17–22 proc., w 2019 r. spadł do 6,7 proc., czyli poniżej kosztu pozyskania kapitału, w lipcu 2020 r. do zaledwie 4,3 proc., a na koniec tego roku wyniesie, jak się prognozuje, jedynie 3,5 proc. Gdyby o przyszłości działających w Polsce banków – w tym polskich, także tych niedawno z przytupem zrepolonizowanych – sędzić po cenach ich akcji – a któż trafniej od „rynków” (czyli inwestorów) wycenia, a więc i ocenia spodziewaną kondycję firm w nadchodzących miesiącach i latach – to podstaw do optymizmu mamy naprawdę niewiele. Mniej więcej tyle, co kot napłakał. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Kciuki za Trumpa

Za tydzień zdecyduje się, kto zasiądzie w Białym Domu na kolejne cztery lata. Te wybory na najważniejszy urząd na świecie w Polsce będą całkowicie przyćmione epidemią. Tymczasem z naszego punktu widzenia są bardzo istotne. Donald Trump rządzi Ameryką od 2016 r. Relacja rządu PiS z Waszyngtonem bardzo wyraźnie się zmieniła, gdy obecny prezydent wygrał Biały Dom. Jej kształt to w znacznej części kwestia nawet nie republikańskiej administracji, ale tego

w wielu sprawach. W sumie można powiedzieć, że mamy bliskie relacje, ale oparte na bardzo merkantylnym podejściu Waszyngtonu.

Nie słychać jednak o tym, aby polski rząd miał pomysł na ułożenie sobie stosunków z administracją Joe Bidena, której podejście do Polski może być radykalnie odmienne. Charakterystyczna była tu zeszlotygodniowa wypowiedź kandydata demokratów. Mówiąc o niebezpieczeństwie podziału NATO wobec wątpliwości sojuszników co do amerykańskiego zaangażowania w sojusz, Biden powiedział: „Zobaczcie, co się dzieje od Białorusi, poprzez Polskę i Węgry, jak pojawiają się na świecie totalitarne reżimy. Obecny prezydent wspiera zbirów na całym świecie”. Dla Warszawy to powinien być dzwonek ostrzegawczy, bo jeśli nie mamy pomysłu, w jaki sposób podejść do ewentualnej nowej administracji, to zostaniemy z naszą inwestycją w świetne relacje z Ameryką Trumpa jak Himilbach z angielskim.

Jasne – Amerykanie nie wyniosą się z Polski z dnia na dzień. Może nawet nie zmniejszą swojej obecności. Polska jednak swoją wagę również w relacjach z Unią oparła w dużej mierze na wsparciu Trumpa. Innego wariantu, jak się zdaje, brak. Z czysto pragmatycznego punktu widzenia powinniśmy zatem 3 listopada trzymać kciuki za obecnego prezydenta USA, choćbyśmy go nawet nie cenili. ©

Nie słychać o tym, aby polski rząd miał pomysł na ułożenie sobie stosunków z administracją Joe Bidena

konkretnego prezydenta. Stosunki są z jednej strony bardzo bliskie, sojusz ma konkretne skutki w postaci wzmocnionej amerykańskiej obecności w Polsce – z drugiej jednak są poważne wątpliwości co do ceny, jaką musimy za niego płacić, oraz sposobu, w jaki jesteśmy przez naszego sojusznika traktowani. W szczególności chodzi o sposób działania ambasador Georgette Mosbacher, całkiem otwarcie strofującej polskie władze

Casus Szwecji daje do myślenia

W ostatnich dniach liczba wykrytych zakażeń wirusa SARS-CoV-2 w Polsce niebezpiecznie oscyluje w pobliżu 10 tys. Zwracam przy tym uwagę, że mówimy o wykrytych przypadkach zakażenia, a nie o chorych na COVID-19. Te rzeczy należy odróżniać. W każdym razie wzrost jest znaczny i budzi zaniepokojenie. Rodzą się bowiem pytania o to, czy służba zdrowia jest

obowiązuje m.in. we Francji czy w Wielkiej Brytanii. Podobnie jest w Polsce, pół naszego kraju jest obecnie w czerwonej strefie, zamykane są siłownie i kluby fitness, wróciły godziny dla seniorów (tym razem dostępne dla osób już od 60. roku życia). Media wciąż opowiadają o kolejnych przypadkach zarażeń.

Jest jednak także inne podejście do walki z pandemią. W Europie słyną z niego przede wszystkim

„Land of the mask-free. The real lessons from Sweden's approach to covid-19” wskazuje m.in., że brak lockdownu wcale nie uratował Szwecji przed zapaścią gospodarczą, a dodatkowo kraj ten odnotował najwyższy odsetek zgonów wśród państw skandynawskich.

Warto jednak zwrócić uwagę na kilka innych faktów. Kiedy piszę ten tekst (19 października), siedmiodniowa średnia nowych zakażeń wynosiła w Szwecji 446. Mniej więcej tyle samo wynosi ona w Danii, ale warto pamiętać, że Szwedów jest dwa razy więcej niż Duńczyków. Dla porównania: w Polsce, czyli kraju, w którym wiosną był lockdown i w którym w zasadzie jest on także obecnie, wskaźnik ten oscyluje ok. 8 tys. Kilkanaście tysięcy nowych przypadków dziennie notują Brytyjczycy, rekordy z już 30 tys. przypadków koronawirusa na dzień występują we Francji. Jeśli chodzi o zgony, to średnia z siedmiu dni dla Szwecji to jeden. W Polsce średnio dziennie umiera już ponad 80 osób (oczywiście warto mieć na uwadze, że dużo lepsze wskaźniki niż nasz kraj notują także inne kraje skandynawskie).

Warto zatem stawiać pytania o strategię walki z pandemią i dyskutować nad różnymi modelami. Coraz odważniej robią to także niektórzy lekarze, by wymienić tu prof. Ryszardę Chazan z Katedry i Kliniki Chorób Wewnętrznych Pneumonologii i Alergologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego czy dr. Pawła Basiukiewicza, kardiologa i specjalistę chorób wewnętrznych. W tym kontekście na pewno należy przyglądać się i dokładnie analizować przypadek Szwecji.

**Autor jest prezesem
Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa
www.radagospodarcza-sws.pl**



Piotr Hofman, prezes Rady
Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

przygotowana na tę sytuację, ale także czy gotowa jest na to nasza gospodarka. Szerzej zaś stawiając sprawę, pojawia się dojmujące pytanie, jak sobie z wirusem radzić, jaką obrać strategię w walce z tym przeciwnikiem.

Większość państw stawia na pełzający lockdown. Chociaż tak się teraz tego nie nazywa, to mamy w praktyce do czynienia z zamykaniem gospodarki i ograniczaniem kontaktów między ludźmi. Polityka izolacji ma doprowadzić do przyhamowania rozprzestrzeniania się wirusa i odciążenia służbę zdrowia. Ostatnio np. Angela Merkel zachęcała obywateli Niemiec do pozostawania w domu, jeśli naprawdę nie ma potrzeby, aby wychodzić na zewnątrz. Coraz więcej restrykcji

Szwedzi. W tym kraju nie było lockdownu na wiosnę, nie ma go także teraz. Przyjęto tam założenie, że wirus był, jest i prawdopodobnie będzie krążył w społeczeństwie przez wiele miesięcy, jeśli nie lat. A to oznacza, że trzeba się oswoić z jego obecnością, nie ma bowiem na świecie kraju, który stać na zamykanie gospodarki co pół roku. Logikę taką wyznaje Anders Tegnell, główny epidemiolog tego skandynawskiego kraju. Jeszcze latem twierdził, że Szwecję ominie druga fala pandemii. I wiele wskazuje na to, że się nie pomylił.

Postawa Szwedów wywołuje liczne polemiki i ostrą krytykę. W tony takie uderza m.in. autor tekstu, który ukazał się na łamach „The Economist”. Artykuł zatytułowany



Łukasz Zboralski

Z badań wynika, że Polacy swój patriotyzm realizują często poprzez kupowanie polskich produktów. „Do Rzeczy” już po raz piąty pomaga im wybierać najlepsze z nich, przyznając wyróżnienia w konkursie 100% Polski Produkt

Patriotyzm gospodarczy w wymiarze konsumenckim liczył się zawsze. Dzisiaj – gdy pandemia COVID-19 poważnie uderza w gospodarki całego świata – jest on jeszcze ważniejszy niż zwykle. Polacy na szczęście dobrze sobie z tego zdają sprawę. Jak wynika z opublikowanego we wrześniu badania ICAN Institute, polskie pochodzenie produktu jest nadal ważnym czynnikiem przy dokonywaniu zakupu. 62 proc. badanych twierdziło, że w okresie pandemii kupowało polskie produkty i wybierało polskie marki. Szczególnie chętnie robili to seniorzy. W dodatku w dobie koronawirusa mamy też ogromną chęć dopomagania rodzimym firmom. 51 proc. badanych twierdziło, że podczas pandemii (sondaż przeprowadzono w lipcu 2020 r.) jeszcze chętniej sięga po polskie produkty niż w poprzednim roku.

JAK ZNALEŹĆ TO, CO POLSKIE?

Oczywiście, Polacy wybierają rodzime produkty nie tylko dlatego, że są polskie, lecz także dlatego, że są one wysokiej jakości. W badaniu ICAN Research na pytanie o motywację wyboru takich produktów najczęstszą odpowiedzią respondentów była: „Bo są smaczne” (62 proc.). Z kolei 41 proc. odpowiadało, że dlatego, iż są to produkty wysokiej jakości.

Wielu ankietowanych przyznawało też, że kupuje polskie produkty, bo chce wspierać polskich przedsiębiorców (52 proc.), oraz dlatego, że ma to wpływ na rozwój polskiej gospodarki (46 proc.). Świadomość konsumentów jest na tyle wysoka, że 13 proc. badanych zauważało, iż „kupowanie zagranicznych produktów osłabia pozycję gospodarczą Polski”.

Konsumenci mają zbieżne postawy z menedżerami firm, których też w tym sondażu badano. Na pytanie: „Dlaczego



Patriotyzm

firma współpracuje z polskimi dostawcami produktów i usług?” najczęściej osób wskazało na chęć wspierania polskich przedsiębiorców (79 proc.), a 48 proc. zauważało, że taki wybór ma wpływ na rozwój polskiej gospodarki.

Z sondażu ICAN Research wynika, że za „polski produkt” konsumenci uważają ten, który jest wyprodukowany z polskich surowców, w kraju i przez firmę z polskim kapitałem. 77 proc. sprawdza więc, czy produkcja odbywa się nad Wisłą. 46 proc. bada pochodzenie surowców, z których powstał produkt. A 40 proc. sprawdza też, czy producent ma siedzibę w Polsce.

Co ważne, połowa badanych twierdzi, że częściej sięgałaby po polskie produkty, gdyby były one lepiej oznaczone. I tę potrzebę znakomicie zaspokaja marka 100% Polski Produkt, którą tygodnik „Do Rzeczy” od lat wyróżnia najbardziej polskie produkty. Partnerem głównym konkursu jest PKN Orlen.

LAUREACI 2020

W ubiegłym tygodniu już po raz piąty przyznaliśmy wyróżnienia podczas uroczystej gali w hotelu Arche Krakowska w Warszawie. Uroczystość prowadził Piotr Gociak.

– Staramy się docenić firmy, producentów, tych wszystkich, którzy w szczególny sposób promują polskie marki, polskie produkty, polską myśl techniczną, polskie rozwiązania i wszystko to, co łączy się

z dobrą, polską gospodarką – mówił podczas uroczystego otwarcia gali Paweł Lisicki, redaktor naczelny „Do Rzeczy”.

Rafał A. Ziemkiewicz wspominał, jak polscy pracownicy zaskoczyli Francuzów, gdy okazali się na rynku pracy lepsi, czego symbolem był słynny „polski hydraulic”. Zauważał też, że by zatamować polską siłę transportową, w UE przeforsowano dyrektywę o pracownikach delegowanych – bo tylko w taki, nieładny sposób inne kraje były w stanie przyhamować rozwój i potencjał polskich firm. – Jesteśmy narodem przedsiębiorców. I wiemy to ze wskaźników makroekonomicznych – podkreślał Ziemkiewicz.

– Wybieramy polskie produkty, ponieważ są synonimem doskonałej jakości – mówi „Do Rzeczy” wicepremier i minister rozwoju, pracy i technologii Jarosław Gowin. – Jak wskazuje Centrum Badań i Analiz Rynku, aż 90 proc. Polaków chętnie decyduje się na zakup rodzimych produktów. Doskonała jakość charakteryzuje zarówno rzeczy tak podstawowe jak polska żywność – zdrowa i naturalna, a dzięki temu coraz bardziej pożądana we współczesnym świecie, jak i produkty zaawansowane technologicznie i innowacyjne, jak komponenty używane w przemyśle kosmicznym, czy wreszcie tę sferę rodzimych produktów, która związana jest ze stylem i z walorami estetycznymi, jak moda i meblarstwo. Trzy dekady rozwoju



Na zdjęciu (od lewej): Piotr Gociek, publicysta „Do Rzeczy”; Paweł Strączyński, wiceprezes PGE; Radosław Zacharek, dyrektor Zakładu KSC SA „Polskie Przetwory”; Paweł Lisicki, redaktor naczelny „Do Rzeczy”

FOT. DO RZECZY

w praktyce

gospodarczego i wolności pozwoliły więc na prawdziwą eksplozję talentów, przedsiębiorczości i pomysłowości Polaków, które materializują się w atrakcyjności produktów „made in Poland”. Poza doskonałą jakością istnieje jeszcze jeden wymiar naszych decyzji konsumenckich związanych z wyborem polskich produktów. Pamiętajmy, szczególnie teraz, że ich kupowanie to najprostszy sposób na wsparcie naszej gospodarki, ponieważ aż 79 gr z każdej złotówki wydanej na produkty, które powstały w naszym kraju, zostaje w polskiej gospodarce, w przypadku zakupu produktów importowanych to tylko 25 gr – wylicza.

Tegoroczną nagrodę główną konkursu jury przyznało PGE Polskiej Grupie Energetycznej za promocję aplikacji POLA, stworzonej przez Klub Jagielloński. Dzięki niej można sprawdzić, czy produkt został wytworzony w Polsce. Promocja aplikacji jest jedną z odsłon kampanii społecznej „Polskie – kupuję to!”. PGE będzie ją wspierać w rozwoju, by obejmowała coraz więcej branż. Algorytm aplikacji pozwala na rozpoznawanie na podstawie kodu kreskowego produktu tego, w jakim stopniu w Polsce odbywa się produkcja, czy prowadzone w kraju były badania nad produktem, czy firma jest zarejestrowana nad Wisłą

i czy jest częścią zagranicznego koncernu. Nagrodę dla PGE odebrał Paweł Strączyński, wiceprezes Zarządu PGE Polska Grupa Energetyczna ds. finansowych. – Na Polskiej Grupie Energetycznej, która jest jednym z największych inwestorów na rynku krajowym, spoczywa szczególna odpowiedzialność we wspieraniu polskiego biznesu – mówi Strączyński. – Każdy z nas, kupując polskie produkty, wspiera tym samym polskich przedsiębiorców i zyskuje na tym cała polska gospodarka. Zachęcam wszystkich do wspierania tej cennej inicjatywy – apelował.

W kategorii „Duże przedsiębiorstwa” nagrodzono markę „Polskie Przetwory” Krajowej Spółki Cukrowej SA. Pod tą marką spółka sprzedaje na rynku keczupy, koncentraty pomidorowe i soki. Nagrodę odebrał Radosław Zacharek, dyrektor Zakładu Krajowej Spółki Cukrowej SA „Polskie Przetwory” z siedzibą we Włocławku. – Polscy konsumenci coraz częściej zwracają uwagę na pochodzenie nabywanych produktów. Cieszy fakt, że taka postawa szczególnie widoczna jest w odniesieniu do dóbr wytwarzanych w rodzimym sektorze spożywczym. Tego typu decyzje zakupowe prowadzą nie tylko do nabywania wysokiej jakości lokalnych produktów, lecz także wspierają krajową gospodarkę, w tym polskie przedsiębiorstwa i cały

sektor rolny – mówi Radosław Zacharek, dyrektor Zakładu KSC SA „Polskie Przetwory”. – Jesteśmy dumni z otrzymanej nagrody. Każdego dnia dokładamy wszelkich starań, by dostarczać naszym odbiorcom najwyższej klasy produkty w każdym z segmentów działalności Krajowej Spółki Cukrowej.

W tej kategorii wyróżniono też firmę Arche SA za profesjonalne usługi deweloperskie. Grupa Arche do tej pory zbudowała m.in.: Osiedle Albatrosów na Ursynowie, Osiedle Woronicza na Mokotowie, Osiedle Łamana we Włochach, Villa Vogla na Wilanowie, Osiedle Postępu 10 na Mokotowie oraz Osiedle Wybickiego w Żąbkach, wieloetapowe Osiedle Bema w Piasecznie, Osiedle Tobacco Park w Łodzi i wiele innych. Łącznie wybudowano ponad 6,5 tys. domów i mieszkań. Do Grupy Arche należy również 12 hoteli. Poza działalnością deweloperską i hotelową Grupa Arche zarządza siecią barów Kuchnia za Ścianą w Warszawie oraz Parkiem Handlowym w Siedlcach. – Firma Arche wiele już nagród dostała, ale ta szczególnie jest nam bliska, bo jesteśmy polską firmą i jest dla nas dużym zaszczytem, że nas zauważono – mówi prezes Arche Władysław Grochowski.

W kategorii „Małe i średnie przedsiębiorstwa” nagrodę za beton anty-smogowy otrzymała firma HM Factory sp. z o.o. Firma opracowała własną technologię produkcji gotowych elementów do budownictwa mieszkalnego – ścian, schodów, balkonów – z mieszanki betonu o obniżonej emisji CO₂.

Polskie Centrum Fotoniki i Światłowodów zostało nagrodzone za program edukacyjny. W jego ramach odbywają się: demonstracje, wykłady i spotkania naukowe. Centrum dociera z wiedzą do uczniów wielu szkół i uczelni, m.in. pomaga organizować kierunek fotoniczny na UMCS. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

PARTNER GALI



TEST „DO RZECZY”: JABRA SPEAK 750

Swietna jakość dźwięku podczas telekonferencji i rozmów telefonicznych, intuicyjna obsługa, możliwość łatwego łączenia ze sobą kilku urządzeń oraz kompaktowy, nowoczesny design – to największe zalety najnowszego profesjonalnego zestawu głośnomówiącego duńskiej firmy Jabra.

W czasach pandemii koronawirusa regularne spotkania on-line stały się codziennością dla tysięcy pracowników, na których COVID-19 wymusił nagłe przejście na pracę zdalną. Często zdarza się jednak, że telekonferencje bardziej niż spotkanie profesjonalistów przypominają amatorskie seanse spirytystyczne sprzed stu lat. Wiele z nich zaczyna się od słów: „Wszyscy są. A czy ty nas słyszysz?” lub: „Nie widzimy cię, ale powiedz coś, żebyśmy wiedzieli, że jesteś z nami”. Z raportu Frost and Sullivan Global Audio Conferencing Endpoint Report wynika, że 10 proc. telekonferencji trwającej średnio 60 minut marnuje się na rozwiązywanie problemów technicznych.

Często zdarza się też, że cały dział podczas spotkania on-line słyszy nie tylko eksperckie wypowiedzi pracowników, lecz także głośne dowody obecności w mieszkaniu najmłodszego

pokolenia. Dla osób, które chciałyby, aby ich telekonferencje lub np. internetowe lekcje i szkolenia wyglądały bardziej profesjonalnie, producenci sprzętu elektronicznego co rusz wprowadzają nowe modele przenośnych zestawów głośnomówiących.



Model Speak 750 może nieźle sprawdzić się zarówno jako zestaw do użytku na stole w domowym salonie, jak i w małych oraz średnich salach konferencyjnych podczas zebrań, w których uczestniczy do sześciu osób jednocześnie. Okrągły głośnik jest stosunkowo niewielki i można go bezprzewodowo podłączyć do komputera, tabletu czy smartfona. Zasięg Bluetooth wynosi 10 m dla połączeń z komputerem czy smartfonem (30 m przy użyciu adaptera Bluetooth). Zestaw można też podłączyć do laptopa za pomocą dołączonego kabla USB. Bateria na jednym ładowaniu wytrzyma maksymalnie 11 godzin.

Plusy to wyjątkowo prosta obsługa i opcja bezprzewodowego podłączenia jednocześnie do dwóch urządzeń (np. smartfona i laptopa), a sparować go można z ośmioma urządzeniami. Kierownik działu administracji w firmach ucieszyć może z kolei możliwość bezprzewodowego łączenia kilku zestawów tego typu, co pozwala na zorganizowanie zebrania, w którym np. kierownicy działów siedzą na miejscu w biurze z zachowaniem bezpiecznych odległości, a ich podwładni łączą się ze wszystkimi on-line.

Dzięki niewielkim rozmiarom głośnik można bez problemu wrzucić do aktówki czy plecaka i zabrać ze sobą, gdziekolwiek danego dnia chce się stworzyć home office. Na pochwałę zasługuje także jakość wykonania, która odpowiada klasie premium.

Jakość dźwięku podczas rozmów telefonicznych i telekonferencji jest bardzo dobra. Dźwięk jest czysty, bez zakłóceń czy wyraźnego efektu echa. Dzięki technologii redukcji szumów mikrofon zmniejsza hałasy, jednocześnie zbierając głos w zakresie 360 stopni. Dużo gorzej Speak 750 sprawuje się w roli głośnika do odtwarzania muzyki i multimediów – w tym przypadku jakości dźwięku wydobywającego się z testowanego modelu bliżej jest do taniego głośniczka z chińskiego bazaru niż do urządzenia za ponad 1 tys. zł renomowanego producenta sprzętu audio. Dla niektórych minusem może być też wysoka cena, która wynosi ok. 1,3 tys. zł. ©

Jacek Przybylski

INTELIĞENTNY KASK ROWEROWY



Światła LED z przodu i z tyłu, automatycznie wyświetlany sygnał stopu, a także kierunkowskazy – to tylko niektóre z funkcji, którymi chwali się producenci nowego kasku rowerowego. Opracowany przez start-up Unit 1 model Faro ma też ponoć możliwość wykrywania uderzenia i automatycznego inicjowania w telefonie połączenia SOS. Oczywiście do sterowania inteligentnym kaskiem stworzono odpowiednią aplikację, a także – płatny dodatkowo 29 dol. – pilot na kierownicy do obsługi kierunkowskazów. To mógłby być fajny gadżet dla miłośników zimowych eskapad, ale niestety pierwsze zamówienia mają być realizowane dopiero w maju. Cena wersji podstawowej wynosi 129 dol. (ok. 500 zł). Wersja stworzona we współpracy z MiPS – szwedzką firmą specjalizującą się w bezpieczeństwie kasków – kosztuje 159 dol. (ok. 620 zł).

JEŹDŹĄCY „LAPTOP”

„Samochód schowany w torbie” – tak ten gadżet reklamują jego twórcy z japońskiej firmy Cocoa Motors. Model Walkcar waży zaledwie 2,9 kg i ma rozmiary przeciętnego 13-calowego laptopa z dokręconymi czterema kołami niczym z biurowego fotela. Dwa pierwsze koła są napędzane przez silniki elektryczne, które pozwalają rozpędzić tego malucha do prędkości 16 km/h w trybie sport i 10 km/h w trybie normalnym. Bateria na jednym ładowaniu pozwala pokonać 5 km w trybie sportowym i 7 km w trybie standardowym. Na ponowne naładowanie akumulatora wystarczy jedynie 60 minut. Podstawa została wykonana z aluminium lotniczego oraz włókien węglowych. Sterowanie odbywa się poprzez balansowanie ciałem. Niewielka waga i rozmiary pozwalają schować „lazika” np. do torby na laptopa. Niestety, zalecana waga użytkownika to maksymalnie 80 kg. Cena: ok. 7,5 tys. zł. ©

Jacek Przybylski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NA KONCERT GINTROWSKI

*A ja mam
coś po was
zostawić*

ZAPRASZA

**ME
CE
NAS**
KONCERTU





JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Gdańska latarnia

FOT. WIKIPEDIA



RYS. PEGAZ



ją i zniszczyły oddziały Husytów, które w 1433 r. wtargnęły na Pomorze, kolejną zrujnował sztorm. Wreszcie po zakończeniu wojny trzynastoletniej powstała murewana strażnica, którą w 1482 r. wzmocniono o okrągłą wieżę, będącą jednocześnie latarnią morską, pokazującą bezpieczną drogę statkom zmierzającym w stronę portu. Kiedy wybuchła ostatnia już wojna z Krzyżakami w 1519 r., wokół twierdzy wybudowano umocnienia ziemne. Znacznie później, bo w latach 80. XVI w., zbudowano tutaj prawdziwą fortecę – czterobastionowy fort według nowowłoskiej szkoły fortyfikacji. Był on dodatkowo broniący przez fosę; wówczas też powstał charak-

terystyczny, okrągły obrys wieży otoczonej domami mieszkalnymi dla załogi i oficerów. Prace fortyfikacyjne skończono w roku 1602, ale twierdzę zwaną już od przeszło 30 lat Latarnią, rozbudowano w latach 1624–1626, w chwili zbliżania się i wybuchu wojny polsko-szwedzkiej o ujście Wisły. Usypano wówczas szańce – zachodni i wschodni po obu stronach rzeki, wzmacniające i otaczające umocnienia Wisłoujścia linią kilku bastionów. W połowie XVII w., po zakończeniu potopu szwedzkiego, Latarnię włączono do systemu obronnego Gdańska. Dalsze umocnienia budowano już po drugim rozbiórce w 1793 r.

Latarnia stała się wielokrotnie świadkiem dramatycznych wydarzeń z historii Rzeczypospolitej. Pierwszy raz jej umocnienia oblegało w sierpniu 1577 r. wojsko... polskie. Miało to miejsce podczas buntu Gdańska przeciwko nowo wybranemu królowi Stefanowi Batoremu, który nie mając sił, by oblegać i zdobywać miasto, postanowił odciąć je od morza. 7 sierpnia zaczęły się oblężenie i ostrzał Latarni, królewskie działa zdruzgotały wieżę, jednak atak zakończył się klęską. 1 września ochotnicy z Gdańska zdobyli most na łodziach zbudowany powyżej twierdzy, odcinając 600 żołnierzom Batorego. Król Latarni nie zdobył, upokorzony musiał zawrzeć z Gdańskiem układ potwierdzający przywileje miasta.

Począwszy od roku 1623, twierdza stała się bazą wypadową polskiej floty wojennej budowanej z wielkim wysiłkiem przez Zygmunta III Wazę. Stąd właśnie wyruszały polskie okręty na bitwę pod Oliwą 28 listopada 1627 r. Tutaj też spotkał je szwedzki odwet; Gustaw Adolf bowiem boleśnie odczuł na honorze porażkę swojej floty i zdobycie admirałskiego okrętu

„Tygrysa”. Dlatego rok później postanowił zniszczyć polską flotę cumującą na Wiśle pomiędzy Latarnią a Mleczną Karczmą niespodziewanym atakiem z lądu. W tym celu podciągnął w nocy piechotę i artylerię w pobliże wału wiślanego i przed świtem 6 lipca 1628 r. zaatakował okręty, używając polowych, lekkich dział zwanych „skórczanymi”, które dla cienkości ścianek miały lufy owinięte sznurami i okręcone skórą. Dzięki tej konstrukcji były tak lekkie, że na polu walki przetaczali je żołnierze.

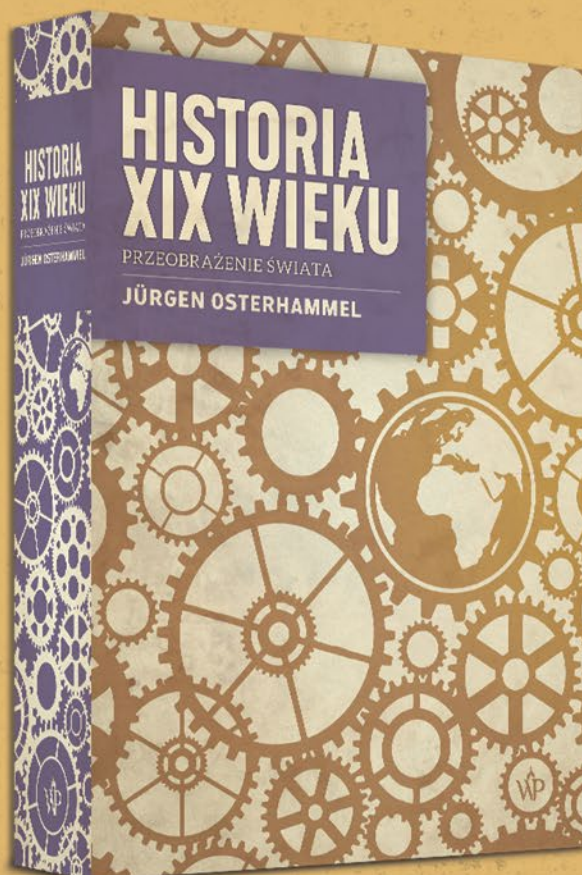
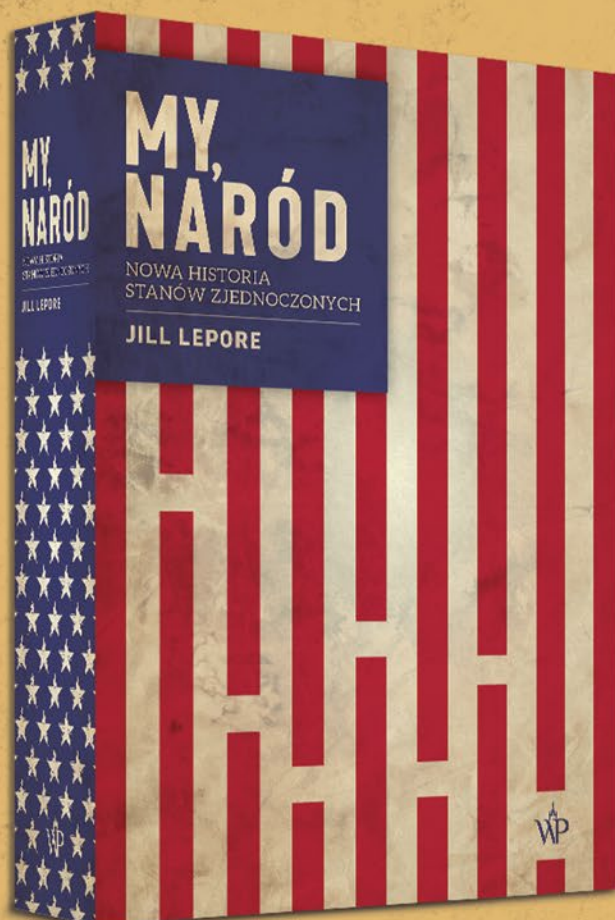
Zaskoczenie powiodło się. Od niespodziewanego ognia, prowadzonego z bliskiej odległości ucierpiał flagowy galeon „Rycerz Święty Jerzy”, który osiadł na mieliźnie, zapalił się i następnie eksplodował. W powietrze wyleciała też pinka „Żółty Lew”, pierwszy okręt wojenny zbudowany dla naszej floty w 1622 r., kiedy pocisk trafił go w komorę prochową. Reszta jednostek zdołała ująć w górę rzeki, chroniąc się koło Polskiego Haka, a następnie w pobliżu karczmy Holm.

Aż do końca XVII w. Latarnia odpierała zwycięsko kolejne ataki. W czasie potopu Szwedzi nie zdołali zdobyć Wisłoujścia ani Gdańska. Dopiero w 1734 r., po kapitulacji miasta przed oddziałami moskiewskimi, które wkroczyły do Rzeczypospolitej i osadziły na tronie Augusta III Sasa, twierdzę przejęły wojska carskie.

Kres znaczeniu Latarni położyła sama natura. Mniej więcej od 1758 r. Wisła zmieniła swój bieg, skręcając na zachód i usypując półwysep znany dziś jako Westerplatte. Na wieży wygaszono wówczas ogień, aby nie wskazywał niebezpiecznej drogi do portu. Otaczająca ją twierdza pozostała jednak częścią systemu obronnego Gdańska aż do pierwszej wojny światowej. ©

ZŁOTA JESIEŃ

W WYDAWNICTWIE POZNAŃSKIM



ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA wydajenamsie.pl

Wydaje
nam się

ZWYCIĘZCA RAJDU DAKAR SERWUJE ŁOSOSIA W SOSIE TERIYAKI

Każdy dzień mam precyzyjnie zaplanowany. Jest w nim zawsze czas dla najbliższych, czas na trening i zazwyczaj wiele obowiązków zawodowych. Taki dzień trwa zwykle 18 godzin, więc odpowiednia dieta jest konieczna. Dieta nie oznacza jednak jedzenia na siłę zdrowych, ale mało smacznych potraw. Uważam, że jedzenie to przyjemność. Przyjemność, która zostawia poczucie lekkości. Ociężały człowiek jest mało kreatywny. Dlatego polecam łososia jurajskiego – to najlepszy gatunek z polskiej hodowli ekologicznej, wykorzystującej źródła krystalicznie czystej wody.

Składniki (porcja dla 2 osób):

- 300 g łososia jurajskiego
- sos sojowy
- 10 g świeżego imbiru
- 1 limonka
- 2 łyżki miodu
- 1 łyżeczka wędzonej papryki
- 8 szt. szparagów
- 100 g czarnego makaronu ryżowego (z dodatkiem atramentu kałamarnicy)

Przygotowanie:

Dwa filety z łososia jurajskiego marynujemy w sosie sojowym z dodatkiem utartej skórki z limonki oraz wyciśniętego z niej soku, startego korzenia imbiru, dwóch łyżek miodu oraz łyżeczki wędzonej papryki. Odstawiamy rybę na dwie godziny. Nagrzewamy piekarnik do 150 st. C. Łososia wyjmujemy z marynaty i pieczemy w naczyniu żaroodpornym (skórką do dołu) przez 15 min. W tym czasie gotujemy szparagi w osolonej wodzie z dodatkiem łyżeczki miodu (5 min). Czarny makaron ryżowy wrzucamy do gotującej się, osolonej wody (5 min). Na talerzu układamy szparagi, a na nich podajemy upieczonego łososia. Obok układamy odcędzony makaron ryżowy. Pozostałą marynatę z łososia podgrzewamy w rondelku i gdy zmniejszy objętość o połowę, polewamy nią całe danie. ©©

oprac. raw

**Rafał Sonik – zwycięzca
Rajdu Dakar, dziewięciokrotny
mistrz świata FIM, przedsiębiorca
i filantrop.**



FOT. ARCHIWUM RAFAŁA SONIKA

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Fachowcy. Nihil novi

SZKLARZ

Odkleiła się szyba od balustrady przy schodach. W każdej chwili może spaść na łeb. Dzwonimy do fachowca, który szybę zakładał. Przyjdzie w czwartek.

W czwartek go nie ma.

Telefon do niego. Nie wyrobił się. Będzie w poniedziałek.

W poniedziałek ogląda szymbę. – Nie mam zamocowania. Dam znać, jak znajdę.

Znać nie daje, więc dzwoni. – Nie mam wymiarów... W piątek wpadnę, to zmierzę. (My: – Przecież był pan. Cemu pan nie zmierzył?).

Mija 10 dni. Dzwonimy. – Eee panie, to taka drobna rzecz... Może lepiej, żeby pan do stolarza zadzwonił? Nie opłaca mi się, nie mam czasu.

HYDRAULIK

Woda w kranach skacze, trzeba dopompować powietrza w hydroforze. Hydraulik, młody, sympatyczny: – Podjadę jutro.

Nie podjeżdża. – O kurde, zapomniałem. Będę jutro – tłumaczy. Nie śmiemy zapytać o godzinę, żeby nie poczuł się ograniczony, ale niech powie chociaż porę: będzie rano czy po południu? – Po południu.

Do wieczora się nie pokazuje. Przepraszam: – Będę w środę. Do dziś nie przyszedł.

STOLARZ

(Duża firma z ul. Bartyciej). Trzy tygodnie temu.

Od framugi odpadł kawałek forniru.

– Panie, nie mam ludzi, nie mam kim robić. Pan zadzwoni za tydzień.

Mimo telefonów do dzisiaj nikt nie przyszedł.



FOT. ADRIEN STOCK

Zmienił się ustrój, zmieniły się czasy, fachowcy się nie zmienili. Zepsuty kran, odpadający kafelek, kaloryfery zapowietrzone – mała robota, nie opłaca się. Stówka za naprawę ciekącego kranu, 20 minut pracy. Za godzinę wychodzi 250, trochę więcej niż średnia krajowa. Ale nie opłaca się. Duża robota to co innego. 30-piętrowy wieżowiec na przykład. To się opłaca.

Człowiek, któremu coś się psuje, jest w desperacji. Ma do wyboru: albo zatkać szmatą/papierem/scotchchem, co podziała pół godziny, albo zapłacić. Chce naprawić i zapłacić.

Ile to będzie kosztowało, nie wypada zapytać, bo po pierwsze fachowiec może się zdenerwować bezczelnym pytaniem, po drugie i tak nie odpowie, bo nie wie, jak potoczy się interwencja na zepsutym sprzęcie.

Człowiek, który sam jest administratorem własnego domu, musi mieć nie tylko gruby notes z telefonami. Musi mieć gruby portfel i grubą skórę.

Jedno się zmieniło – fachowcy z serwisu. Jeśli tylko uda się tam dozwonić, to umówieni na godzinę przychodzą, naprawiają, kasują stawkę oficjalną. O ile nie każą trzyletniej pralki, której właśnie skończyła się gwarancja, wymienić na nową. ©©

CZAS PRZEDSIĘBIORCÓW V

Jolanta Pawlak i Krystian Kaźmierczyk podczas czterech debat ekonomicznych z cyklu „Czas Przedsiębiorców” analizowali najważniejsze wydarzenia gospodarcze ostatnich miesięcy. Poruszyli tematy od rozliczeń podatkowych, przez kredyty inwestycyjne po fundusz Trójmorza.

Główna debata ekonomiczna na antenie Telewizji Republika odbyła się we czwartek 15 października. Wzięło w niej udział aż 18 ekspertów. Jednym z poruszanych tematów była strategia rozwoju rynków kapitałowych. Michał Kłos, dyrektor biura podatków PKN ORLEN starał się odpowiedzieć na pytanie, jak zachęcić przedsiębiorców mechanizmami podatkowymi do obecności na Giełdzie Papierów Wartościowych. – *Jeżeli chodzi o podmioty, które chciałyby zdobywać kapitał poprzez giełdę, należy spojrzeć na te instrumenty, które w tym momencie są osiągalne i na sposób ich implementacji. Pierwsze, co przychodzi na myśl, to zatrzymywanie zysków w przedsiębiorstwie w celu ich reinwestowania. Jest to dobry instrument dla podmiotów, które są nastawione na rozwój. Przykładem jest estoński CIT, którego oceniam jako metodę inwestowania państwa. Każda złotówka zainwestowana i zwolniona z podatku CIT, przekłada się na kolejne kilka złotych podatków obrotowych, czy dochodowych w obszarze podatku dochodowego od osób fizycznych. To także dodatkowe wpływy do budżetu państwa w obszarze podatku dochodowego od osób prawnych od MŚP – skomentował.*



CZAS PRZEDSIĘBIORCÓW

Inwestowanie poprzez obniżenie danin

Dyrektor Kłos tłumaczył, że wszelkie ulgi, jakie oferuje legislator w zakresie podatków są pewną lokatą, która zacznie procentować dla gospodarki i budżetu państwa za kilka miesięcy, jeśli chodzi o wpływy do budżetu, lub kilka lat, jeśli chodzi o dochód z inwestycji, które będą one generować. Spytany o to, w jaki sposób Orlen skorzysta z ulg podatkowych, przykładowo na robotyzację, odpowiedział, że trwają prace, aby wykorzystać te ulgi w sposób optymalny. – *Jesteśmy podmiotem inwestującym w wiele branż i wiele obszarów gospodarki. Korzystamy z ulg na badania i rozwój. Inwestujemy duże środki w polski rozwój petrochemii i współpracy z instytucjami badawczymi, w szczególności z Politechniką Warszawską i Gdańską. Te ulgi przekładają się również na obniżenie podatków dla osób, które współpracują z nami, choćby poprzez zastosowanie specjalnych rozliczeń, jeśli chodzi wytwarzanie wartości intelektualnych – skomentował.*

Mechanizmy rozwojowe

Dziennikarze Telewizji Republika sprawdzali również, jak państwowe podmioty bankowe wspierały przedsiębiorców w czasie epidemii. – *Wszystkie rozwiązania, które zaczęliśmy stosować podczas pandemii, to zdobywanie nowych doświadczeń. Zmieniliśmy istniejące już instrumenty, przykładowo gwarancje de minimis – tłumaczy Robert Kasprzak z BGK. – Dzięki temu, że uczyniliśmy je bardziej elastycznymi poprzez wydłużenie okresu obowiązywania gwarancji, zwiększenia zakresu ochrony gwarancyjnej aż do 80 proc. kredytu, czy rezygnacji z jakichkolwiek prowizji za ich udzielanie, cieszą się one ogromnym powodzeniem. Skorzystało z nich już ponad 36 tysięcy firm, a kwota finansowania to 22 miliardy złotych – mówił Kasprzak. Wyjaśniał również, że BGK zaskoczyła ogromna skala wykorzystania pożyczek płynnościowych ze środków Unii Europejskiej. – Pożyczki z Programu „Operacyjny i inteligentny rozwój” przerosły wszelkie oczekiwania. Przewidziana kwota została szybko powiększona do 2 miliardów. BGK wspólnie z Ministerstwem Rozwoju będzie obserwowało, jaka jest dynamika i zapotrzebowanie na rynku. Staramy się reagować elastycznie na to, co się dzieje – zapewnił Kasprzak.*

Sytuacja na giełdzie

Główną debatę poprzedziły również trzy wcześniejsze spotkania poświęcone ekonomii. Krystian Kaźmierczyk rozmawiał z Maciejem



Bombolem z GPW oraz Piotrem Palutkiewiczem z ZPP. Przypomnieli przedsiębiorcom o tym, że giełda jest miejscem, gdzie można zdobyć kapitał. Ocenili również giełdowy debiut spółki Allegro, której wycena sięgnęła 70 miliardów. O funduszu Trójmorza rozmawiała Jolanta Pawlak z dr Dawidem Piekarczykiem, ekspertem ds. bezpieczeństwa energetycznego. Omawiali aktywność inwestycyjną banków rozwoju, szczególnie w obszarze Północ-Południe. Trzecia dyskusja była poświęcona przyszłości rozwoju polskiej gospodarki w obliczu nowych obostrzeń związanych z pandemią koronawirusa i metodach rozliczeń podatkowych z tym związanych.

Pełne rozmowy ze wszystkich debat są dostępne na kanale YouTube Telewizji Republika. Przypomnijmy, że już po raz piąty w formule „Czas przedsiębiorców” udało się dokonać dogłębnej i wieloaspektowej analizy kondycji polskiej gospodarki.

Opracowała Maria Kądzelska

SPONSOR
STRATEGICZNY:



SPONSORZY:





IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Meksyk o smaku Wietnamu

Czy w ponury czas pandemii, kiedy siedzisz wieczorem w domu, przydarzają się zabawne historie, o których można napisać felieton? Otóż mnie tak.

Pewnego dnia, po bardzo intensywnym dniu pracy, postanowiliśmy zrobić sobie święto i spożyć w domu smaczną kolację. Od pewnego czasu jestem gorliwym użytkownikiem pewnej aplikacji do zamawiania jedzenia, więc ochoczo podjąłem się organizacji kolacji. Postanowiłem zrobić rodzinie niespodziankę i zamówiłem zestaw tapasów w hiszpańskiej restauracji.

Oczekując na jedzenie, zabijaliśmy głód rozmową i czas mijał szybko. Po godzinie zorientowałem się, że coś jest nie w porządku, zerknąłem do aplikacji, a tam czekała na mnie informacja, że moje zamówienie zostało anulowane. Mocno się wkurzyłem – nie dość, że wyliszyliśmy już z głodu, to jeszcze pobrano mi pieniądze, nie dając nic w zamian.

Aplikacje mają to do siebie, że w sytuacjach kryzysowych trudno o szybki kontakt z żywym człowiekiem, na którym można by się chociaż wyładować. Bot z aplikacji zasugerował mi, żebym zadzwonił do restauracji, w której zamawiałem jedzenie. Tak zrobiłem. Pani, która odebrała, wyjaśniła mi, że zamówieniami zajmuje się ich nowa filia i do niej mam zadzwonić. – To poproszę numer – powiedziałem. Nastąpiła długa pauza i odgłos przeszukiwania papierów. – Wie pan co, mamy tu mały

bałagan i nie mogę znaleźć tego telefonu. Poszukam i oddzwonię do pana – usłyszałem. Nie oddzwoniła.

Tymczasem nasz głód narastał. Postanowiliśmy chwilowo się obrazić na aplikację i zamówić jedzenie w starym stylu. Akurat niedawno znaleźliśmy w drzwiach ulotkę meksykańskiej knajpy. Tym razem sprawy w swoje ręce wzięła żona. Zadzwoniła i usłyszała: „Ty, czego chcesz?”. Po dalszej wymianie zdań nie było już wątpliwości – meksykańskie żarcie serwują Wietnamczycy. Nie było już jednak odwrotu. Konaliśmy z głodu.

Po kolejnej godzinie oczekiwania wkurzona żona zadzwoniła ponownie. „Już jechać do ciebie” – dostała informację. I faktycznie po chwili ktoś zapukał do drzwi. Był to – na moje oko – Hindus ewentualnie Pakistańczyk. Nie znał słowa po polsku. Więc po angielsku dowiedzieliśmy się, że zapomniał wziąć terminal. „It is no problem. You will pay tomorrow” – zaproponował uroczo, zapowiadając powrót z terminalem następnego dnia. Na myśl, że ten ciąg niefortunnych zdarzeń miałby się ciągnąć do jutra, rzuciliśmy się do skarbonki syna i mimo jego protestów wyciągnęliśmy kilka banknotów.

Zasiedliśmy do kolacji. Jakieś trzy godziny po pierwszym zamówieniu. Byliśmy wściekle głodni, więc fakt, że zamiast tapasów dostaliśmy meksykańskie jedzenie z wietnamskim posmakiem nie stanowił dla nas problemu. ©©



MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Porządek w chaosie

Koronawirusowe próby wyjaśnienia świata – czy to w postaci memów i infografik, czy teorii spiskowych oraz paranaukowych analiz – w ostatnich tygodniach zalewają wręcz media społecznościowe. W jakimś sensie trudno się dziwić. Mózg ludzki posiada ewolucyjnie wykształconą zdolność do upraszczania skomplikowanej rzeczywistości oraz szukania wzorów i porządku w chaosie. Psychologowie nazywają to zjawisko heurystyką. Bez niej w natłoku albo przy niepełnych danych nie moglibyśmy podejmować instynktownych decyzji, które często ratują życie. Dzisiaj nie mamy już jednak dylematów naszych przodków, których mózgi w ułamku sekund musiały zidentyfikować zwierzę poruszające się w trawie i na tej podstawie wybrać wariant ataku albo ucieczki. Obecne zagrożenia są rozproszone, ich działanie rozwleczone w czasie, nieustannie jesteśmy również bombardowani wzajemnie wykluczającymi się informacjami. W tej narracyjnej kakofonii prawda – jakkolwiek by była – staje się towarem tak deficytowym, że część osób postanawia stworzyć własną.

W ten sposób rodzą się teorie, które w oparciu o wyrywki i często niespójne ze sobą dane oraz uproszczenia tworzą całościowe wizje przyszłości świata, roli pandemii oraz medycznych i politycznych konsekwencji koronawirusa. Jak to działa w praktyce? Oto skrócona wersja jednej z krążących po sieci grafik, przedstawiających 12 etapów

wdrażanych w życie w celu ustanowienia „Nowego Porządku Świata”. Zaczyna się niewinnie. Pierwszych sześć kroków to „stworzenie problemu” z niegroźnego w istocie wirusa grypopodobnego, „sprowokowanie medialnej paniki” poprzez pokazywanie liczby ofiar, nakładanie restrykcji „oznaczającej transfer kasy do korporacji i finansjery światowej”, „wymuszenie noszenia masek, które powodują infekcję dróg oddechowych” oraz promowanie aplikacji na smartfony, pozwalających zlokalizować chorego.

Dalej zaczyna się już jednak prawdziwa abstrakcja. Anonimowi „oni”, wprowadzając „paszporty zdrowia”, bez których nigdzie na świecie nie będzie można „czegokolwiek załatwić”, zaczynają de facto przejmować nad nami władzę. Gdzieś na boku pandemii rządy i finansjera rozkręcają równocześnie sieć 5G, która po „wynalezieniu szczepionki aktywuje jej ukryte funkcje”. Bo oczywiście szczepienia na całym świecie będą obowiązkowe, a ich cel to „osłabienie odporności, zwiększenie bezpłodności” oraz „modyfikowanie ludzkiego DNA”, aby „wyhodować ludzi posłusznych”. Gdy się już ich wyhoduje, pozostają dwa ostatnie etapy: „zaczepowanie” całej populacji, która poddana permanentnej kontroli zamieni się w wyniku „Wielkiego Resetu” w rasę niewolników – „biologicznych maszyn żyjących na łasce swoich panów”. Czy to nie ciekawsze niż wyjaśnienie, że mamy do czynienia z trudnym do zwalczania wirusem i nikt nad niczym nie panuje? ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

W paryskim rynsztoku

Anka, córka Władysława Broniewskiego, popełniła samobójstwo, bo jej kochanek, pisarz Bohdan Czeszko, sypiał również z jej własną matką, wyzwoloną seksualnie komunistką Janiną Broniewską. Poniosła też dwie wielkie zawodowe klęski – miała problemy z zaliczeniem swego filmu dyplomowego „Komuna paryska” i nie potrafiła dokończyć filmu „Wisła”. Nie najtrafniej jednak chyba wybrała sobie zawód reżyserki, nie była typem artystki, ale działaczki, fanatycznej komunistki, zindoktrynowanej przez swoją matkę. Dowodzi tego jej korespondencja do rodziców z lat 1949–1951 z Paryża, opublikowana przez jej córkę Ewę Zawistowską w książce „Dziadek Władek”. Otrzymała w Paryżu stypendium na studia na IDECH-u, w prestiżowej szkole filmowej. Pojechała razem z mężem, Stefanem Kozickim, początkującym dziennikarzem, który został attaché prasowym ambasady polskiej w Paryżu, ale za cenę współpracy z SB i donosów o pracownikach ambasady.

Nie doceniła niebywałego luksusu i daru, jakim był taki wyjazd w latach szczerze zasłoniętej w Polsce żelaznej kurtyny. Nie otworzyła się, jak wypadałoby reżyserce, na nowy, nieznan

jej kraj. Nic się jej we Francji nie podobało. „Żarcie drogie i paskudne, jakieś korzonki i trawki, chleb z kukurydzą – ohyda” – pisała. „Metro paryskie stare, niewygodne, nie ma porównania z moskiewskim, przypominało szalet na placu Zbawiciela. Paryskie dzieci grzebały w rynsztokach i wyławiały stamtąd jakieś rupiecie”. Hotel Michelet na rue Vaugrain, gdzie początkowo z mężem zamieszkała, „prześląknięty był jakimś dziwnym smrodem, a sądząc z natężenia brudu, tapety pamiętały co najmniej emigrację mickiewiczowską”. Straszny był też ich pokój kolejny, w ambasadzie polskiej w Paryżu, w pięknym zabytkowym pałacyku na rue Tallierand, przypominał jej ubikację madame Pompadour, ambasada znajdowała się w „nieprzyjemnej, burżujskiej dzielnicy”, a najbliższym sąsiadem był attaché Czesław Miłosz, który wybrał właśnie wolność, co oczywiście potępiali. „Uciekł, bo za mało mu w Polsce kadził” – kpił Stefan. „Za ścianą mieszkała para gorliwych komunistów – dziennikarz Kozicki z żoną Anką. Bardzo przykra, z tych fanatyczek o wąskich, zaciśniętych ustach. Odnosili się do mnie jak do wroga klasowego” – pisał Miłosz w „Roku myśliwego”. Nie podobało się jej nawet na „francuskich wczasach”, gdzie pojechała, na Riwierze, Lazurowym Wybrzeżu, w Nicei ani Monako. „Snobistycznych, ulizanych, takich Sopotach, tyle że większych, bogatszych”.

Koszmarne było też na IDECH-u. Studenci byli np. przekonani, że Polska znajduje się pod sowiecką okupacją, i w żaden sposób nie potrafiła im wytłumaczyć, że to nieprawda. W rocznicę rewolucji październikowej zorganizowała im więc zbiorową recytację poematu swego ojca „Słowo o Stalinie”. Recytowały dzieci polskiej górniczej emigracji. Chciała, aby „Słowo

o Stalinie” znał świat, przekazała je więc komunistycznemu poecie, Paulowi Éluardowi, dzięki któremu ukazało się również w przekładzie francuskim. Na zajęciach z literatury omawiała „Matkę” Gorkiego, a studenci IDECH-u – twórczość homoseksualistów.

Jedynie, co jej się we Francji podobało, to „milionowe (tak!) manifestacje robotnicze, 1-Majowe pochody, organizowane przez zwyciężającą coraz bardziej Francuską Partię Komunistyczną”, na które, zamiast na wykłady, z radością biegła. „Byłam wczoraj na fantastycznym święcie »L'Humanite« i zaczęłam zazdrościć Francuzom nie Łuków, Concordów i innych tam Etoili, ale właśnie szarych i czerwonych robotników, czytających podczas przerw obiadowych »L'Humanite« i świetnie robionych, masowych materiałów propagandowych” – pisała do ojca. Po jednej z demonstracji, razem z kilkoma innymi uczestnikami, została „zwiniona” przez policję i spędziła noc na dwóch komisarzatkach.

Mimo narzekań na „burżujski” Paryż robiła ciągle, wysyłane do Polski, zakupy dla całej rodziny. Ojcu, zgodnie z życzeniami, kupiła krótkie gatki z gumką, wodę lawendową Yardleya, mydełko Gibbs, ostrza Gillette, Gauloisy i camele. Matce – torebkę, oliwę nicejską, kawę w paczkach i neskę, wino Chianti w butelkach oplecionych rafią. Najwięcej małej córeczce, którą urodziła przed wyjazdem do Paryża i zostawiła matce: witaminy, pomarańcze, cytryny, kombinezonik, kolorowe sweterki, spodnie na szelkach, rękawiczki, skarpetki. Dla siebie: futerko z farbowanych królików, aksamitną kurtkę, sukienkę, spodnie. Słowem jednak nie wspomniała, że są tu świetne sklepy. Może wygrzebała to wszystko w paryskim rynsztoku?



Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Reporter TVP nadaje w masce. Stoi samotnie, kamera daleko od niego i dookoła nie ma nikogo, pusty plac. Po co ten cyrk z maską na pustym placu?

To „reżim sanitarny”. Reżim to reżim niezależnie od przymiotnika. Reżim jest gwałceniem praw, również praw logiki.

Europejski reżim sanitarny się nie sprawdził. Ameryka poszła drogą wolności i ma się lepiej. Oto dane:

Liczba zgonów dziennie w krajach Unii Europejskiej wzrosła od sierpnia o 493 proc., a w USA spadła o 37 proc. Liczba chorych, którzy umierają: w Unii 4,3 proc., a w USA tylko 2,8 proc. Liczba zachorowań w UE wzrosła o 722 proc., a w USA spadła o 21 proc. Wszystko w tym samym czasie.

Europejski reżim przynosi skutki odwrotne do oczekiwanych. W Wielkiej Brytanii, gdy zastosowano metody drakońskie, zachorowania wzrosły o 2500 proc. Podobnie było w kilku rejonach USA, gdzie rządzą demokraci i zastosowano rozwiązania z Europy. Na szczęście demokraci nie rządzą w całym kraju i to znacząco poprawia ogólne statystyki USA. Lockdown się NIE sprawdza, jest to metoda głupia i groźna – generuje śmierć.

Badania dotyczące skuteczności masek zrobiono w kilku krajach rozwiniętych (Japonia, USA, Francja...). Dwie grupy ludzi – jedni stale nosili maski, inni wcale (grupa kontrolna). Wynik: obie grupy łapią COVID tak samo często, zarażają się i umierają identycznie. Grupa bez masek jest ostrożniejsza i dba o siebie lepiej,



FOT. W. CEJROWSKI/LOJ. KRZYZWASKI

BUNT

zamaskowani ufają maskom, a przy okazji częściej dotykają twarzy brudną ręką – żeby maskę poprawić. Wniosek: noszenie masek nic nie zmienia. Mimo to reżim w Europie trwa i jest zacieśniany.

Jaki sens logiczny ma ograniczenie godzin urzędowania banku? Przecież robi się gęściej od ludzi w tych zawężonych godzinach. Skrócenie godzin otwarcia knajp – czy wirus zaraża dopiero po godz. 22 i dlatego zamykamy wcześniej? Jaki sens logiczny ma skrócenie do 90 minut dozwolonego czasu przebywania w pubie (Irlandia)? Czy przez pierwsze 90 minut chiński wirus nie zaraża? Ponadto klient pubu nie zostanie obsłużony, jeżeli do piwa nie zamówi obowiązkowej porcji jedzenia. Gdzie jest medycznie uzasadniony sens tego przepisu? Jedząc orzeszki, pcha się je do buzi palcami. Toż chyba lepiej po prostu pić piwo z czystej szklanki, prawda?

Reżim nie musi być sensowny, ma być twardy – taka jest cecha reżimów.

Polacy radzą sobie jak za reżimu komunistycznego – oporem biernym i próbami ogrywania systemu. Na początku pandemii zakazy wydawały się wszystkim sensowne. Wiedzieliśmy wtedy mało i akcja „zostań w domu” została przez społeczeństwo przyjęta. Buntować zaczęliśmy się, gdy reżim okazał się bezsensowny, a egzekwowanie przepisów bezmyślne i siłowe. Polak stawiał opór wobec bezsensu: pozamykane przez władzę siłownie przekształcają się w kościoły i sklepy – zapraszają na „spotkania religijne” oraz na „odpłatne testowanie sprzętu przed ewentualnym zakupem”. Kto nie chce nosić maski ani przyłbicy, ten załatwia sobie kwit od psychiatry, że ma klaustrofobię.

A co powinno być WŁAŚCIWĄ i roztropną odpowiedzią na chińską zarazę?

Więcej swobody, a nie reżim. Rząd powinien zbierać dane i dostarczać nam wiarygodnych informacji, a potem obywatele powinni podejmo-

wać decyzje we własnym zakresie. Lekarzom powinno się dać pełną swobodę decydowania o tym, co robić w konkretnych przypadkach, czym leczyć, jak leczyć... W przypadku zagrożenia życia pełna swoboda w doborze leków, nawet eksperymentalnych (tak jest w USA). Wszelkie decyzje powinien podejmować lekarz w porozumieniu z pacjentem – nikt więcej! Zamiast skierowań – zero skierowań. Dlaczego pacjent musi mieć skierowanie, skoro chce sobie zrobić badanie za pieniądze?

W USA robię sobie testy na COVID, gdzie chcę i ile chcę. Namioty przejazdowe ustawiono na parkingu przed wal-martem. Nikt mnie o nic nie pyta, przyjeżdżam tyle razy, ile sam uznaję za stosowne. Bez skierowania!

Restauracja, siłownia, kościół, basen – właściciel obiektu powinien samodzielnie wprowadzać (lub nie) różne rozwiązania i restrykcje, a potem klient albo wchodzi, albo nie. Jeżeli wydaje mi się, że na tej pływalni jest za gęsto, to wtedy nie wchodzi.

Zarządzenie o liczbie osób na metr kwadratowy w kościele i knajpie jest bez sensu. Jedna knajpa to otwarta sala, inna ma mniejszą powierzchnię, ale całą masę zakamarków, gdzie ludzie mogą się schować. Decyzje indywidualne powinni podejmować obywatele, nie władza.

Polski Episkopat dał ciała z dyspensą od Mszy. Powinien udzielić dyspensy księżom na odprawianie tyłu Mszy, ile w danej parafii potrzeba, aby rozproszyć wiernych. Więcej Mszy, a nie mniej wiernych. Więcej swobody w podejmowaniu indywidualnych decyzji, a nie mniej. Więcej wolności, a nie więcej reżimu. „Ludzie, którzy dla tymczasowego bezpieczeństwa rezygnują z podstawowej wolności, nie zasługują ani na bezpieczeństwo, ani na wolność” – Benjamin Franklin. ©©

**UWAGA – OD LISTOPADA
NOWE CENY PRENUMERATY**

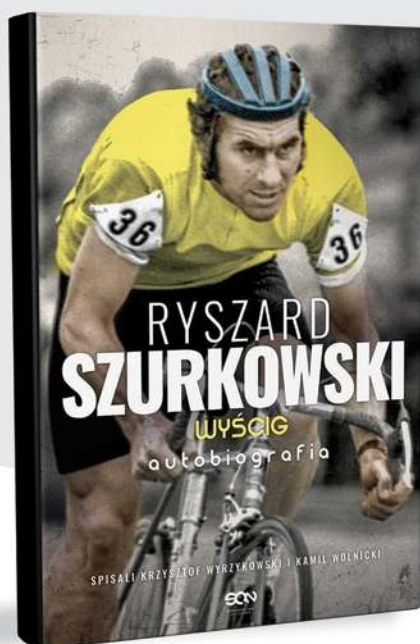
TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
AUTOBIOGRAFIA
„RYSZARD SZURKOWSKI. WYŚCIG”



~~337~~ zł

136,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 201 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmgp.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl a2002c8a8d

Zbudujemy dla Ciebie instalację fotowoltaiczną

Oferta dla domu i firmy

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ NA
**energa.pl/
fotowoltaika**



- ✓ Od projektu do wykonania
- ✓ Bezpłatna wizja lokalna
- ✓ Dofinansowanie do 5000 zł z rządowego programu "Mój Prąd"

Usługa dedykowana jest klientom indywidualnym ENERGIA-OBROT S.A., będących właścicielami wolnostojących domów jednorodzinnych lub klientom prowadzącym działalność gospodarczą z tytułem prawnym do obiektu, na którym ma być zamontowana instalacja PV. Montaż instalacji PV realizowany jest przez certyfikowanych partnerów technologicznych ENERGIA-OBROT S.A. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego.



Energa

Obrót